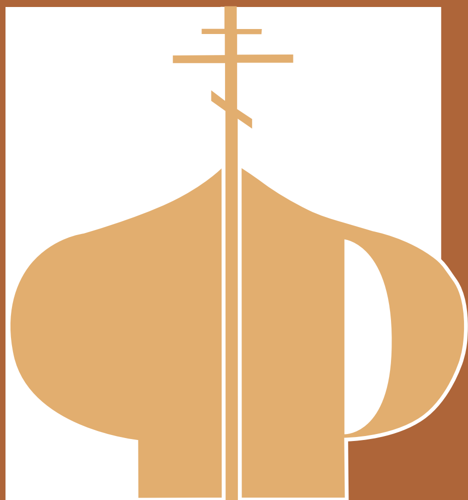


ISSN 1230-1078
Nr indeksu 371416

- Akcja Wisła. Przez piekło na ziemi
- Łemkowie. Za tamtą górą
- Rzeczypospolita. Rozmowa o jej ruskiej kulturze
- Armenia. O najstarszym chrześcijańskim kraju

PRZEGLĄD PRAWOSŁAWNY

Miesięcznik ogólnopolski Nr 8 (386) sierpień 2017 cena 6 zł (w tym 5% VAT)

28 czerwca zmarł arcybiskup łódzki i poznański Szymon

O hierarsze, nauczycielu i literacie oraz jego pożegnaniu, piszemy na ss. 2-6 oraz 45-49

Fot. Anna Radziukiewicz

W numerze

Odszedł Władyka Szymon

Arcybiskup łódzki i poznański Szymon nie żyje. Odszedł do Pana 28 czerwca, w szpitalu, po ciężkiej chorobie, przy śpiewie prokimnu *Kto Bog wielij jako Bog nasz*. Przez 36 lat kierował najrozleglejszą, ale z najmniejszą pod względem liczby wiernych, diecezją naszej Cerkwi, obejmującą kilkanaście miejskich parafii. Lubił podkreślać ich często greckie bądź rosyjskie korzenie i wielonarodowy charakter. Teolog i filolog, arcypasterską służbę łączył z pracą na Uniwersytecie Łódzkim, a w swych kazaniach, zwłaszcza tych najwcześniejszych, niejednokrotnie odwoływał się do Dostojewskiego. Także człowiek pióra, autor nie tylko esejów o rosyjskich pisarzach czy haseł do leksykonu „Idee w Rosji”, lecz także mniejszych form literackich, z jednakową łatwością wyrażający swoje myśli po polsku, rosyjsku i białorusku.

Pogrzeb władyki odbył się w sobotę, 1 lipca, w katedrze św. Aleksandra Newskiego w Łodzi, ciało przywieziono do cerkwi już w piątek. Pierwszą panichidę duchowni odprawili o osiemnastej, przez całą noc czytali Ewangelię. Do cerkwi przyjeżdżali władycy, kapłani ze wszystkich diecezji, wierni. W uroczystości uczestniczyło kilkaset osób.

Liturgii przewodniczył metropolita **Sawa**, z którym współsłużyli arcybiskupi **Abel**, **Jakub** i **Jerzy**, biskupi **Grzegorz** i **Paisjusz** oraz pomocniczy biskup szumperski **Izajasz** z diecezji ołomuniecko-brneńskiej Cerkwi Ziem Czeskich i Słowacji. Na uroczystości przybyli także biskup **Marek Marczak**, administrator łódzkiej archidiecezji Kościoła rzymskokatolickiego, biskup **Maria Włodzimierz Jaworski**, kierujący śląsko-łódzką diecezją Starokatolickiego Kościoła Mariawitów, biskup warszawski Kościoła ewangelicko-augsburskiego **Jan Cieślar**, pastor Kościoła chrześcijan baptystów **Leszek Wakuła**, pastor Kościoła ewangelicko-reformowanego **Semko Koroza**.

– Błogosławiona droga, którą idziesz duszo, gdyż przygotowano tobie miejsce odpoczynku – mówił w mowie pożegnalnej metropolita



Sawa. Hierarcha przywołał słowa cierpiącego Hioba, które uzmysławiają nieunikniony kres naszego ziemskiego życia: „Moje dni przeminęły, rozwiały się pragnienia mojego serca. Noc obracają mi w dzień, światło blisko jest ciemności. Czego mam oczekiwać?





Kraina umarłych moim domem. W ciemności uścielę sobie łoże – jeżeli na grób muszę wołać: Tyś moim ojcem, a na robactwo: Matko moja i siostro moja! To gdzież jest moja nadzieja? Kto może dostrzec moje szczęście? Czy wraz ze mną zstąpią do krainy umarłych, gdy razem położymy się w prochu?" (Hiob 17,11-16), O kresie życia decyduje Pan Bóg, podkreślał metropolita, przywołując słowa św. Efrema Syryjczyka: „Szczęśliwy jest ten, kto ma nadzieję w Chrystusie, który nadchodzi znów w chwale, sądzić wszechświat w prawdzie. Każdy mający nadzieję w Chrystusie wyśpiewywać będzie z radością Jego chwałę w dniu zmartwychwstania".

Metropolita przypomniał życiorys władyki **Szymona** (**Romańczuka**), który urodził się 12 sierpnia 1936 roku we wsi Guszczewina na Podlasiu. Po ukończeniu studiów filologicznych w Mińsku pracował jako nauczyciel języka rosyjskiego, białoruskiego i łacińskiego w liceum w Michałowie. W 1965 roku wstąpił do Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, którą ukończył z tytułem magistra teologii, a następnie uzyskał stopień doktora teologii. Śluby zakonne złożył 20 lutego 1970, święcenia kapłańskie, po diakońskich, otrzymał dwa dni później.

Przez wiele lat pełnił obowiązki dyrektora kancelarii metropolitalnej. Święcenia biskupie z tytułem biskupa lubelskiego otrzymał 26 listopada 1979 roku, katedrę łódzką i poznańską objął dwa lata później. Pozostawał na niej przez 36 lat.

Władyka Szymon był wykładowcą na uniwersytecie w Łodzi oraz członkiem Rady Naukowej wydawanego w Łodzi leksykonu „Idee w Rosji". Reprezentował naszą Cerkiew na licznych konferencjach krajowych i zagranicznych. Był uczestnikiem soboru panprawosławnego na Krecie w 2016 roku.

– Władyka pełnię służby biskupiej rozwinął w diecezji łódzko-poznańskiej – podkreślał metropolita. – To tu, w centralnej Polsce, w parafiach usytuowanych na terenie województw łódzkiego, wielkopolskiego, małopolskiego, kujawsko-pomorskiego, świętokrzyskiego, śląskiego realizował swój dar kapłaństwa, pełen duchowego romantyzmu

Troszczył się o rozwój i stabilność parafii, znajdujących się w diasporze – o Łódź, Piotrków, Kraków, Poznań, Kielce, Sosnowiec, Częstochowę, gdzie razem z patriarchą ekumenicznym **Bartłomiejem** poświęcił kamień węgielny pod budowę cerkwi. Bóg nie błogosławił mu doczekać się jej poświęcenia. Z oddaniem i cierpliwością służył Cerkwi. We wszystkim cechowała go wiara i umiłowanie swoich *radnych kutkou*, *wiosak i ich życharou*. Kochał *swoj rodny kraj* i *rodny dom* w Puszczy Białowieskiej.

Władyko! Sionnia jany proszczajutsia z Toboju i haworać – Władyko dziakujam za usio!

Władyko – Arcybiskupie Szymonie! W imieniu pełni Cerkwi, żegnając się z Tobą, dziękuję Ci za wszystko, co uczyniłeś dla Świętej Cerkwi – mówił hierarcha. – Odprowadzamy Cię dzisiaj na miejsce wiecznego spoczynku, w nadziei, że spotkamy się przed tronem Bożym na Sądzie Ostatecznym. Łodzi służyłeś 36 lat. Czuwaj nad Łodzią i dzisiaj, znajdując się w innym wymiarze czasu.

O swoim smutku i żalu z powodu śmierci arcybiskupa Szymona zapewniał także biskup rzymskokatolicki Marek Marczak: – Świętej pamięci arcybiskup Szymon zapisał się w naszej pamięci jako otwarty i pogodny człowiek, wielki humanista, skromny biskup, który ubogacał nas świadectwem swego życia i głębią słowa podczas nabożeństw ekumenicznych w ramach Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. Niech źródłem nadziei i pociechą będą dla nas słowa śpiewu troparionu Paschy: „ Chrystus powstał z martwych, śmiercią podeptał śmierć i będącym

w grobach życie dał". Wyrażają one prawdę, że w wydarzeniu Zmartwychwstania Pańskiego odnajduje się sens naszych dziejów i możemy żywić nadzieję naszego zmartwychwstania. Jestem głęboko przekonany, iż zmartwychwstały Chrystus wskrzesi ciało swego wiernego sługi do życia, gdy powtórnie przyjdzie w chwale. W intencji zmarłego arcybiskupa Szymona modlimy się za wstawiennictwem Matki Miłosierdzia słowami z prawosławnej Liturgii pogrzebowej mnichów: „Ubłagaj Chrystusa, z ciebie zrodzonego, Matko Dziewico, aby darował grzechy słudze Twemu, który ciebie, Bogarodzico, pobożnie głosił i słowem prawdziwym głosił światłość Świętych i uczyń go godnym radości w Królestwie Twoim. Amen".

Specjalny list pożegnalny skierował także arcybiskup **Marek Jędraszewski**, który do początku tego roku sprawował godność rzymskokatolickiego metropolity łódzkiego.

W imieniu władz miasta Łodzi pożegnalne słowo wystosowała prezydent miasta **Hanna Zdanowska**, podkreślając że zmarły władyka był także wykładowcą Uniwersytetu Łódzkiego a nade wszystko „prawdziwym przyjacielem Łodzi".

„To bardzo smutny dzień dla wyznawców prawosławia, ale także dla mieszkańców naszego miasta, które w swej tradycji ma zakorzenionych tak wiele kultur i religii" – napisała. „Właśnie z takim przesłaniem i odwołaniem do historii i tożsamości Łodzi sprawował swoją posługę, przewodząc duchowej społeczności Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego diecezji łódzko-poznańskiej arcybiskup Szymon, dobry duszpasterz, człowiek głębokiej wiary i wielkiego serca, którego będzie nam brakowało".

Metropolita Sawa serdecznie podziękował wszystkim osobom, które towarzyszyły władyce w ostatnich, trudnych miesiącach jego życia. Specjalne słowa podziękowania skierował do proboszcza łódzkiej parafii o. **Eugeniusza Fiedorczuka**, wikariusza **Jakuba Dmitruka**, diakona **Gieorgija Wodopianowa**, dyrygenta **Adama Tomaszewskiego** z żoną **Joanną**, a także **Raisy** i **Andrzeja Łosiów**, **Stanisława** i **Beaty Bębnów**.



Po *otpiewaniu* kondukt żałoby, prowadzony przez samochód policyjny, wyruszył na prawosławny cmentarz na Dołach. Tam władyka został pochowany na wybranym przez siebie miejscu, tuż obok cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej i pierwszego biskupa utworzonej w 1951 roku łódzko-poznańskiej diecezji, władyki **Jerzego** (**Korenistowa**).

– Arcybiskup Szymon był osobą nietuzinkową – wspomina dziekan krakowski o. **Sergiusz Dziewiatowski**, proboszcz parafii w Sosnowcu. – Poznałem go, gdy był młodym, świeckim człowiekiem, który dopiero co wrócił ze studiów w ZSRR. Razem ze swym tatą, o. **Antonim Dziewiatowskim**, pojechałem na *prazdnik* do Narewki. Tam na *klirosie* dostrzegłem młodego, aktywnego człowieka, który czytał, śpiewał. Zainteresowałem się, kim jest. – To Szymon Romańczuk, profesor liceum w Michałowie – usłyszałem. Później przez dwa lata spotykaliśmy się w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, ja rozpoczynałem studia, on kończył.

Gdy w 1978 roku pierwszy władyka łódzki i poznański Jerzy udzielał mi święceń kapłańskich, *jeromonach* Szymon był dyrektorem kancelarii metropolitalnej. Dwa lata później objął tę eparchię. Tak więc ponad trzydzieści lat mojej służby duszpasterskiej było związanych z arcybiskupem Szymonem. Władyka miał szerokie zainteresowania. Był utalentowanym literatem. Jeszcze jako osoba świecka publikował swoje utwory w ramach Stowarzyszenia „Białowieża", także na łamach „Niwy", czy wydawanego w Łodzi czasopisma „Russkij Gołos". Pisał po białorusku, rosyjsku, dobrze znał też język angielski. Był uzdolniony muzycznie, miał bardzo dobry słuch i głos. Był wymagający, ale jednocześnie potrafił zrozumieć. Miał w sobie dużo cierpliwości, bardzo lubił dzieci, także moich dwóch synów.

Zawsze przyjeżdżał na nasze święto parafialne do Sosnowca, odwiedzał nas także prywatnie. Nie był dokuczliwym gościem, nie narzucał swojej obecności.

Sosnowieccy parafianie dobrze go wspominają, bliska mu była także krakowska parafia, ceniło go środowisko naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego.

O. **Mirosław Antosiuk**, proboszcz parafii w Kaliszu od 19 lat, przez poprzednie sześć diakon w Łodzi, i Adam Tomaszewski, dyrygent łódzkiego chóru, byli przy śmierci władyki.

– Władyka kochał śpiew, odszedł przy prokimenie *Kto Bog wielij*, był świadomy do końca, podśpiewywał stichiry – wspomina o. Mirosław Antosiuk. – Niedawno jeszcze zapewniał mnie, że we wrześniu przyjedzie do Kalisza na święto ulicy, przy której stoi cerkiew. Jak zawsze tę uroczystość planował rozpocząć od nabożeństwa w cerkwi, prosił, by kolację zjeść w altance, na świeżym powietrzu, przy szumie drzew i śpiewie ptaków, chciał poczuć się jak w swojej wsi na skraju Puszczy Białowieskiej. Przy każdym

Na spotkaniu autorskim w Centrum Kultury Prawosławnej, 28 października 2013 roku, z lewej Jan Zieniuk



pobycie w Kaliszu przypominał o Grekach, którzy przybyli tu w 1774 roku i zaczęli organizować życie parafialne. Wybudowali cerkiew, założyli przy ulicy Górnośląskiej cmentarz. W latach międzywojennych władze zleciły rozbiórkę cerkwi. Gdy świątynię rozebrano do połowy, znaleziono w murze akt erekcyjny i przekonano się, że została zbudowana przez Greków, nie przez Rosjan. Wtedy pozwolono prawosławnym kaliszanom wznieść nową, z cegły pochodzącej ze zburzonej cerkwi. To rzadki przypadek wzniesienia prawosławnej świątyni w centralnej Polsce w latach międzywojennych.

Władyka cieszył się też z poświęcenia nowego ikonostasu we Włocławku. Był wymagającym, ale dobrym hierarchą.

– Władyka Szymon nas, duchownych ze swojej diecezji, traktował jak rodzony ojciec – podkreśla o. **Władysław Tyszuk**, proboszcz parafii w Kielcach. – Ze wszystkimi trudniejszymi problemami zawsze można było się do niego zwrócić, interweniował na wyższych szczeblach, najczęściej z dobrym skutkiem

Władyka Szymon przyjaźnił się z ludźmi o różnych światopoglądach.

– Jak piękna i otwarta może być taka przyjaźń, niech zaświadczy związek mojej rodziny i przyjaciół z arcybiskupem – podkreśla prof. **Andrzej Lazari**, politolog, filolog i tłumacz. – Był dla nas ojcem, choć wielu z nas jest agnostykami, by nie powiedzieć ateistami. Był wzorem postawy ekumenicznej. Z pastorem Kościoła ewangelicko-reformowanego Semką Korozą pochował moją mamę, z franciszkaninem ojcem **Fabianem** (śp. Stefanem Piętką) i pastorem Semką uczestniczył w ekumenicznym ślubie naszej córki. Był członkiem Interdyscyplinarnego Zespołu Badań Religioznawczych na Uniwersytecie Łódzkim, który powołałem przed laty, by skupić w nim uczonych duchownych różnych wyznań. Wykładał też u nas – najpierw w Instytucie Rusycystyki, potem w Instytucie Studiów Międzynarodowych – i był jednym z najpłodniejszych autorów wydawanego przez nas rosyjsko-polsko-angielskiego leksykonu „Idee w Rosji”. Smutne, że nie będzie już z nami tak otwartego, serdecznego i pogodnego człowieka.

Swoimi wspomnieniami o zmarłym podzielił się z czytelnikami Przeglądu prof. **Jan Czykwin**, białoruski poeta, historyk literatury, tłumacz, prezes Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”. Jego tekst, w języku białoruskim, zamieszczamy na stronach dodatku „Sami o Sobie”.

W pogrzebie władyki uczestniczyła **Irena Łozowik** z Bielska Podlaskiego.

– Władykę traktowaliśmy jak członka rodziny – podkreśla. – A wszystko zaczęło się ponad czterdzieści lat temu. W 1981 roku, podczas intronizacji biskupa Sawy w Białymstoku, podeszłam do władyki Szymona, poprosiłam o błogosławieństwo, zapytałam, czy mogę do niego napisać list. Zgodził się. Od tej chwili cały czas był obecny w życiu naszej rodziny, chrzcił nasze wnuki, obecny był na różnych uroczystościach. Zapraszał nas do swojej rodzinnej Guszczewiny, do swoich rodziców, **Aleksandra** i **Marii**, którzy z czasem zaczęli nazywać mnie „swoją córką”. Gdy władyka zachorował, odwiedzałam go w szpitalu. Był świadomy do końca. Podczas odwiedzin zacytowałam mu wiersz: *Poemy spoju ja na arfie stostrunnoj o złotoustom jepiskopie Simonie, szto zasijał kak miesiac nocz'ju łunnoju na prawosławnom niebosklonie*, a on na to: Szeluk. Od razu rozpoznał autora.

Władyka zawsze podkreślał swoje związki z Podlasiem, a w szczególności z Bielskiem. Tutaj, w Bielsku, uczył się przecież w Liceum Pedagogicznym. Przy okazji zjazdu absolwentów odwiedził polonistkę **Olgę Tokarzewicz**, rozmawiali chyba z sześć godzin. – Nigdy nie sądziłam, że władyka wybierze drogę duchownego, sądziłam, że zostanie poetą, literatem czy nawet tancerzem – nie kryła zdumienia nauczycielka.

Wiem, że władyka pisał opowiadania po białorusku, podpisywał je pseudonimem Masza Sasza, od imion swoich rodziców, Marii i Aleksandra, ale nie doczekał się ich publikacji. Po śmierci władyki wyjęłam jego listy, kazania, zdjęcia. Dużo się tego nazbierało…

I jeszcze dwa epizody, już z pamięci redakcji. To na ręce władyki Szymona, obecnego na drugiej majowej pielgrzymce młodzieży prawosławnej na Grabarce w 1981 roku, świeżo wyłoniona Rada Bractwa złożyła podanie do metropolity z prośbą o błogosławieństwo na działalność tej organizacji. I drugi epizod, dużo późniejszy. Gdy przed czterema laty Fundacja Tolerancja wypowiedziała nam umowy o pracę władyka Szymon, rezygnując z honorarium, wyraził zgodę na publikację swoich esejów „ Pisarz i Bóg”. Papier i druk sfinansował **Jan Zieniuk**, a uzyskany dochód przeznaczyliśmy na wydawanie „Aniołka”.

Wiecznaja pamiat'.

Ałła Matreńczyk
fot. **Irena Łozowik**, **Wojciech Leśniewski**, **Anna Radziukiewicz**

Eliasz Potężny

Dzisiaj porozmawiamy o wielkim człowieku, jednej z najbardziej znaczących postaci Starego i Nowego Testamentu.

Wiele osób uważa, że nie trzeba znać Starego Testamentu. To duży błąd!

Zacznę od tego, że w rosyjskim prawosławiu – nie wiem jak w serbskim czy gruzińskim, ale wydaje mi się, że u nich podobnie – nie ma tradycji wyświęcania cerkwi, którym patronują święci ze Starego Testamentu.

Wyjątek stanowi prorok Eliasz. Cerkwi Eliasza na Rusi jest wiele. Jedna z najważniejszych stoi na obecnym kijowskim Podolu – spełniła historyczną misję, z nią związane jest przyjęcie chrześcijaństwa przez Ruś, w niej chrzczono Rusów.

Panuje powszechne przekonanie, że Eliasz powinien interweniować w przełomowych momentach historii.

Znamy i lubimy Eliasza. Znają go i nadzwyczaj lubią także Żydzi. Wystarczy powiedzieć, że Żydzi do dziś, kiedy dokonują obrzezania swoich chłopców – w ósmym dniu życia – specjalnie stawiają puste krzesło dla Eliasza, żeby przekonać się, czy nie przyjdzie, żeby pomazać niemowlę i wskazać, że jest wybrańcem. Przypomnijcie, kiedy Pan zawołał na krzyżu: „Eli, Eli, lema sabachthani" (Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?) Żydzi zaczęli mówić: „Eliasza woła. Zobaczmy, czy przyjdzie Eliasz go wybawić". Przekonanie, że Eliasz powinien interweniować we wszystko, co dotyczy ostatecznych losów świata, jest więc powszechne.

Prorok Boży Eliasz żył podczas najcięższych prób Bożego narodu, jego odejścia od sprawiedliwości i prawdy. Życie świętych często przebiega z wielkimi wydarzeniami w tle – to tak jak aktor gra na tle scenografii. A scenografią dla świętego jest często wielka niegodziwość. Dla Abrahama taką dekoracją, dalszym planem, była Sodoma. Abraham działa na tle Sodomy, dokąd odszedł jego krewny. Abraham wojuje z sodomskimi książętami. Abraham przyjmuje trzech aniołów, idących do Sodomy, by przekonać się, czy sprawy mają się tak jak widać to z nieba, krzyk Sodomy sięga bowiem niebios. Abraham i Sodoma połączeni są na zasadzie kontrastu. Każdy święty żyje na tle strasznego bezeceństwa. Eliasz też.

Eliasz żyje z Achabem i Izebel w tle. Achab, król żydowski, otwarcie wprowadził kult Baala w kraju, zasadził święte gaje, ustawił posągi bałwanów i bożków, a jego żona Izebel karmi niezliczone rzesze proroków i kapłanów Baala i Astarte. O Bogu się zapomina, a pogaństwo rozkwita.

A pogaństwo nie jest rzuceniem pestki na ołtarz ofiarny przed bożkiem. Pogaństwo to obowiązkowo nierząd i rozpusta. To święta z charakterystycznymi muzycznymi procesjami, satanistycznymi antypodami *krestnych chodów*. To kazirodztwo, to nienaturalna męska i żeńska prostytucja, to składanie ofiar, w tym także dziecięcych, to takie kłęby nieprawości, w których człowiek traci nie tylko obraz Boga, ale i człowieka, zapomina o wszystkim co święte. I właśnie w tym czasie kiedy o imieniu Bożym się nie pamięta, kiedy Jego imię wypowiadają tylko wybrani, przychodzi Eliasz, przychodzi bezpośrednio do Achaba.

Imię Eliasz (*Eliyyahu*) składa się z dwóch słów: „Eliya" i „Jahwe". Eliya to Bóg, a Jahwe to Pan. To imię oznacza więc „Bóg mój Pan". Imię jego mówi: nie ma innego Boga oprócz Jahwe (Pana). I Eliasz podejmuje się tej misji – przekonywania, że nie ma innego Boga prócz Jahwe. I każdy przywołujący Eliasza z imienia, przywołuje w istocie imię Boga Żywego.

Eliasz przychodzi do Achaba i grozi mu suszą i głodem na ziemi, mówiąc: „Żywy jest Bóg, przed którym stoję". Achab bał się Eliasza, zawsze traktował go jak wroga, bo obecność świętego paliła go i męczyła.

W tym samym duchu będzie nauczać potem Jan Chrzciciel. Nawet ubierali się podobnie – we włosienicę, przepasaną skórzanym pasem. Nie jedli typowego pożywienia, prowadzili ascetyczny tryb życia, żyli w celibacie. I jeden, i drugi krytykowali królów– Eliasz Achaba, Jan Heroda. Królowie ci pojęli za żony niegodziwe kobiety – Herodiada to dokładna kopia Izebel. I jedna, i druga prześladowały proroków, tylko Izebel nie pojmała Eliasza, a Herodiada przelała krew Jana swoją chytrością i bezwstydnym tańcem swojej córki. Jak widzimy, podobieństw jest wiele i stare w nowym a nowe w starym odbija się jak w lustrze.

Eliasz zapowiada głód i zamyka modlitwą niebo na trzy lata i sześć miesięcy. Trzy lata i sześć miesięcy – to bardzo ważny okres, nie przypadkiem jest podkreślany, jest to bowiem czas panowania Antychrysta.

Zauważmy, że apostoł Jan w liście apostolskim mówi: Eliasz był podobnym do nas człowiekiem. Ale się pomodlił i niebo nie dało deszczu przez trzy lata i sześć miesięcy. A potem znowu się pomodlił – i niebo dało deszcz. Tak więc jest on niezwykłym człowiekiem, wyróżniającym się nadzwyczajną gorliwością w wierze w Pana, który widzi niegodziwość i modli się do Boga Żywego.

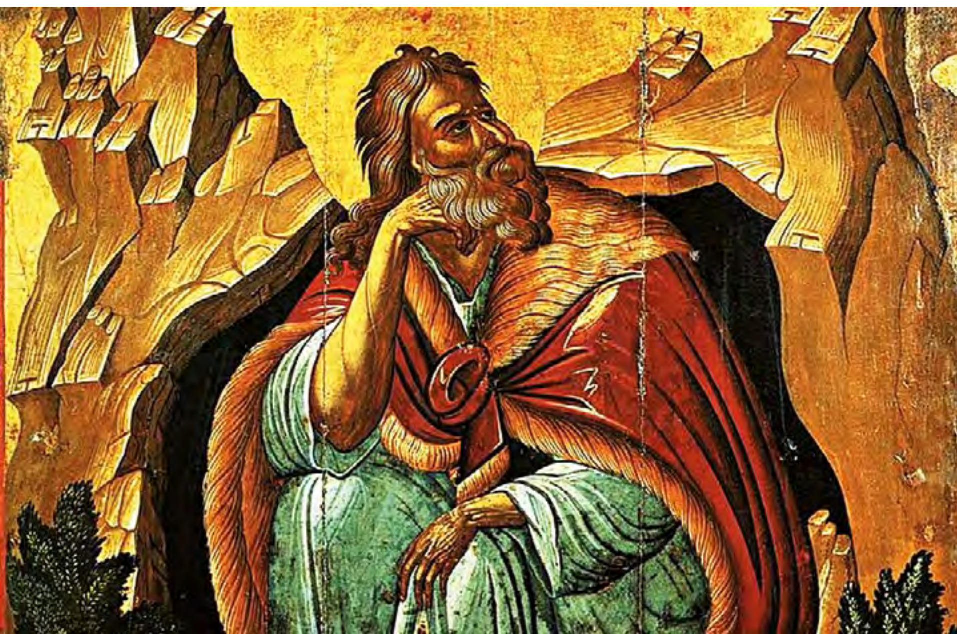
Podczas suszy Eliasza karmi wdowa z Sarepty Sydońskiej, pewna Fenicjanka. O tym w swoim pierwszym nauczaniu – w synagodze w Nazarecie – wspomina Pan Jezus Chrystus. Mówi, że wiele było wdów w Izraelu, ale do żadnej z nich nie został skierowany Eliasz, tylko do wdowy z Sarepty Sydońskiej (patrz. Łk 4,25). To strasznie rozeźliło wtedy Żydów, przypomniało im bowiem: Bóg miłuje także pogan. I chcieli zrzucić Chrystusa z góry, na której leży Nazaret, ale czas męki Chrystusa jeszcze nie nadszedł, zresztą nie w ten sposób miał cierpieć.

Tak więc Eliasz mieszka u wdowy w Sarepcie Sydońskiej i z Bożego błogosławieństwa jej skromne zapasy żywności nie maleją. A przedtem, nim wysechł potok Kerit, przy którym na pustyni zatrzymał się Eliasz, Bożego męża karmi kruk, przynosząc mu chleb i mięso. Tak więc zwierzęta karmią Eliasza, kobieta karmi Eliasza i nie zmniejszają się jej zapasy żywności…

Nawet aniołowie karmią Eliasza. Eliasz, nim udał się na górę Horeb na rozmowę z Bogiem, zjadł przyniesione przez anioła cudowne jedzenie – podpłomyk i picie. Po przyjęciu tego pokarmu, bez przystanku, szedł czterdzieści dni.

Ale przedtem poskromił kapłanów Baala, pokazał im, kto jest Panem, wezwał na duchowy pojedynek. jest to czas działania Boga, tak więc w czasie, kiedy w świątyni składana jest wieczorna ofiara, Eliasz wezwał Boga i Bóg go usłyszał, ogień zstąpił na ofiarę i pochłonął i ofiarę, i kamienie, i wodę, i wszystko wokół. Nóż w ręce Eliasza nad kapłanami Baala – dzieło Boże: Bóg nie tylko miłuje, ale i karze.

A potem Eliasz zadźgał kapłanów Baala. I niech nie niepokoi to chrze-



Takie sytuacje były powszechne wśród świętych, kiedy spotykali się z czarownikami, służącymi demonom albo zwolennikami diabła – ludźmi prawdziwie służącymi ciemnym siłom, obdarzonymi mocą, energią, diabelskim jasnowidztwem, złą władzą nad życiem.

Kiedy święci spotykają się z nimi, dochodzi do duchowej wojny. Eliasz walczył z kapłanami Baala. Powiedział, by sprowadzili ogień na ofiary, jeśli potrafią, jeśli potrafi to ich bóg . I kapłani do zachodu słońca nakłuwali siebie nożami, skakali wokół stołu ofiarnego i modlili się: „Usłysz nas, Baalu, usłysz nas". I Eliasz udowodnił, kto jest prawdziwym Bogiem. Polecił złożyć na kamieniu ofiarę, wykopać dookoła rów, nalać wody. Prorok powiedział: „Nalejcie drugi raz". I nalali wody po raz drugi. „Nalejcie po raz trzeci". I naleli po raz trzeci. I w czasie, kiedy w świątyni przynoszona jest wieczorna ofiara, co bardzo ważne, bo

ścijańskiego sumienia. Sprawa nie polega tutaj na różnicy obyczajów w Starym i Nowym Testamencie – przed Eliaszem znajdowało się kilkuset prawdziwych sług szatana, wątpliwe czy gotowych do skruchy, którzy, utraciwszy swoją moc, stali jak jagnięta, a on wymierzył swoją ręką Bożą karę. Takie epizody w historii także bywają.

Nie powinniśmy ich powtarzać, nie mamy przecież siły Eliasza, ale wiedzieć o tym, że Bóg jest Bogiem karającym i mszczącym, a nie tylko Bogiem miłującym, także powinniśmy. Potop to dzieło Boże, spalenie Sodomy dzieło Boże, nóż w ręce Eliasza nad kapłanami Baala także dzieło Boże. To straszne, to dziwne, ale to prawda. I dokonawszy tego wielkiego czynu, Eliasz opadł z sił.

Ludzie wielcy także opadają z sił. I ludzie, którzy dokonali wielkich rzeczy, boją się małych. Eliasz, którzy nie bał się kapłanów Baala i który sprowadził ogień z niebios na ziemię, przestraszył się Izebel. Prosił, żeby Bóg zabrał jego duszę. To także ciekawa, wyraźna cecha. Wielcy często proszą o śmierć. O śmierć prosił Jeremiasz. O śmierć prosił Hiob. O śmierć także prosił Eliasz.

Mówił: „Zabierz duszę moją, Panie. Twoje ołtarze rozwalili, Twoich proroków zabili, ja dłużej nie mogę…" – taki był sens jego słow. Na co Bóg odpowiedział mu bardzo ważnymi dla nas słowami: „Zachowałem dla siebie siedem tysięcy mężów, których kolana nie ugięły się przed Baalem oraz których usta nie ucałowały go".

Dlaczego te słowa są ważne? A dlatego, gdyż potwierdzają, że zawsze, nawet przy maksymalnym nagromadzeniu bezprawia, w narodzie Bożym, w cerkwi Bożej, są potajemni *bogougodnicy*, których oficjalnie nie znamy. Mogą nie afiszować się ze swoją wiarą, ale strzegą jej i wyznają ją w swoich modlitwach, wyrzekają się zła i czynią dobro, odcinają się od tych, którzy łamią Zakon.

O tym trzeba pamiętać. Nie znamy wszystkich sprawiedliwych. Wydaje nam się, że grzech wszystko wypełnił. Nie wszystko wypełnił. Nawet w czasach Achaba byli sprawiedliwi, którzy pozostali wierni Bogu swych ojców, Bogu żywemu, wymagającemu świętości, a nie grzechu. To bardzo pocieszyło Eliasza.

Wspominałem już o tym, że Eliasz, po spożyciu pokarmu przyniesionego mu przez anioła, szedł na górę Bożą Horeb bez przystanku przez czterdzieści dni. To przypomina nam o naszej śmierci. Przed śmiercią także powinniśmy przyjąć Ciało i Krew Chrystusa, żeby potem iść przez czterdzieści dni, bez przystanku, do Tronu Pana i na czterdziesty dzień spotkać się z Nim. W tym czasie Cerkiew Boża będzie modlić się za nas, za naszą dziwną, zaskakującą, jedyną w swoim rodzaju podróż.

Kiedy Eliasz stał na górze (podobnie jak kiedyś Mojżesz stał na Synaju, a przed nim szedł Pan, zasłaniał się ręką, wykrzykując: „Pan Bóg miłosierny i miłujący" i widział Mojżesz odblask jego chwały), poczuł obecność Pana. Było trzęsienie kamieni, ale w tym

nie było Pana. Był straszny wicher, niszczący wszystko, ale w tym nie było Pana. Po tym nastąpił szmer łagodnego powiewu, taki uspokajający, i w nim był Pan. Taki orzeźwiający powiew, z rodzaju tych, który ocalił życie trzem młodzieńcom wrzuconym do ognistego pieca w Babilonie.

Wkrótce Eliasz został zabrany na niebo, jest jednym z tych, którzy nie umarli, którzy do tej pory nie doznali śmierci. Nastąpiło to na oczach proroka Elizeusza, jego ucznia. Eliasz rzucił mu wierzchnią odzież, płaszcz, z którym w sposób fizyczny przekazał swoją siłę i władzę, nawet pomnożoną, Elizeuszowi.

A ogniste rumaki i ognisty rydwan uniosły świętego na niebo. Nie widział śmierci.

Nie widział śmierci Enoch, ósmy od Adama. Nie widział śmierci Eliasz – prorok Boży. Enoch żył przed potopem, Eliasz żył w czasach Zakonu. Potem widział śmierć, ale zmartwychwstał z martwych, zwyciężając śmierć, Jezus. I Matka Boża przeżyła śmierć, ale została wzięta do nieba przez swego Syna i Boga. Możliwe, że to samo stało się też z Janem Teologiem, dlatego że w grobie go nie ma, a jego los jest nieznany.

I dwoje ludzi, którzy śmierci nie widzieli, znowu przyjdzie na ziemię głosić Ewangelię, głosić Chrystusowe Królestwo Boga, prawdziwego Mesjasza w czasie panowania obrzydliwego Antychrysta, kiedy lud będzie ogłupiony i skuszony. Ludzie na całym świecie będą miłować zło i kłamstwo, uchylać się od prawdy. Wtedy Eliasz i Enoch przyjdą z tego miejsca, gdzie obecnie się znajdują, głosić Ewangelię Prawdy. I wtedy zostaną zabici, to znaczy zaznają śmierci.

Eliasz jest nowotestamentowym świętym także dlatego, że tak bardzo chciał ujrzeć chwałę Bożą i prawdę, doczekać się Mesjasza, że razem z Mojżeszem dostąpił tej łaski: na górze Tabor, gdzie Chrystus przemienił się przed swoimi uczniami, przyszli do niego dwaj rozmówcy z innego świata – Mojżesz podniósł się z otchłani swoją duszą, a Eliasz przybył z tajemnych, nieznanych nam miejsc, zjawił się przed Jezusem Chrystusem w ciele, żeby rozmawiać z Nim o jego odejściu, które miało się dokonać w Jerozolimie. Tak więc na Taborze z Chrystusem zebrali się ludzie przybyli z niebios, z ziemi i z otchłani: z niebios – Eliasz, z ziemi – apostołowie, z otchłani – Mojżesz. I każde kolano ugięło się przed imieniem Chrystusa,



jak było powiedziane: „Aby na imię Chrystusa zgięło się każde kolano istot niebieskich, i ziemskich i podziemnych, i aby wszelki język wyznał, że Jezus Chrystus jest Panem, ku chwale Boga Ojca” (Flp 2,10).

I tak Mojżesz na górze Synaj, a Eliasz na górze Horeb ujrzeli Chwałę Bożą, a potem swoimi oczyma ujrzeli wcieloną prawdę, którą odczuwali podczas swoich widzeń i objawień.

Eliasz to potężny obrońca wszystkich skrzywdzonych, nauczyciel i opiekun wszystkich miłujących Pismo Święte, pomocnik wszystkich żarliwych zwolenników prawdy, przełożony wszystkich mnichów. Katolicy mają nawet zakon karmelitów, który wywodzi swoją nazwę od góry Karmel, wspomnianej w Piśmie Świętym w związku z *podwigami* i pracą proroka Eliasza. My nie mamy takiego „punktowego” miejsca oddawania czci prorokowi Eliaszowi, ale jest on czczony przez kaznodziejów, mnichów i wszystkich, których boli, gdy deptana jest prawda i triumfuje niegodziwość.

Eliasz pomaga także tym, którzy latają w przestworzach, którzy biorą do rąk broń w słusznej sprawie i biorą do rąk, niczym broń w słusznej sprawie, Pismo.

Eliasz to pomocnik, Eliasz jest silny, Eliasz jest wielki, Eliasz do dziś nas broni i nam pomaga. W Rosji święto wojsk desantowo-powietrznych obchodzone jest właśnie w dniu św. proroka Eliasza. Pierwszy desant naszego wojska ze spadochronami, kiedy jeszcze skakano ze skrzydeł, odbył się 2 sierpnia 1930 roku.

O życiu Eliasza opowiada *Trzecia Księga Królewska*. Św. Jan Złotousty przekonywał, że wszyscy, którzy chcieliby żyć w czystości i modlitwie, tzn. po monastersku, powinni brać przykład z proroka Bożego Eliasza i ze św. Jana Chrzciciela.

Jak często w troparionach śpiewamy: „Chrzciciela i Tiszbitę [Proroka Eliasza, który pochodził z Tiszbe – am], naśladując, byłeś, święty, przebogaty duchem”. Śpiewamy tak o Onufrym Wielkim i o innych świętych. I w miarę sił będziemy go naśladować, ale zaczniemy od lektury. Zaczniemy od Trzeciej Księgi Królewskiej o proroku Eliaszu. W dniu jego pamięci pójdziemy do cerkwi, by wziąć udział w nabożeństwie i przywołać imię żywego – nie zmarłego – proroka na pomoc nam, którzy odbywamy ziemską wędrówkę.

o. **Andrej Tkaczew**
tłum. **Ałła Matreńczyk**

Władyka supraski Grzegorz podczas Liturgii w cerkwi św. Jana Teologa, obok ambasador Serbii Nikola Zurovac

Vidovdan po raz szósty

I znów, 28 czerwca, Białystok stał się najbardziej serbskim miejscem w Polsce. Tego dnia Serbowie i – jak pokazuje białostocki przykład – ich przyjaciele, świętują Vidovdan. Wspominają bitwę na Kosowym Polu, stoczoną w 1389 roku, jedną z największych bitew średniowiecznej Europy, w której starły się wojska chrześcijańskie i muzułmańskie. Tego dnia poległ serbski święty – car Łazarz, cząsteczka relikwii którego znajduje się w parafii św. Jana Teologa na białostockich Bacieczkach. Vidovdan to też nazwa szóstej edycji festiwalu kultury serbskiej w Białymstoku. W tym roku trwającego od 24 do 30 czerwca, którego myślą przewodnią były wzajemne wpływy bizantyńsko-słowiańskie.



WAŻNA DATA

Vidovdan znaczy dzień św. Wita, którego Cerkiew wspominała w dniu kosowskiej bitwy, stąd nazwa święta, które w Serbii ma status państwowego i religijnego. W sensie duchowym Vidovdan to święto priorytetów. W noc poprzedzającą bitwę na Kosowym Polu, Łazarza odwiedził anioł, który przedstawił mu możliwość wyboru pomiędzy wielkim królestwem na ziemi a Królestwem Niebieskim. Władca wybrał Królestwo Niebieskie, które trwać będzie „na wieki wieków". Spowodowało to jednak upadek jego ziemskiego władania i śmierć w bitwie na Kosowym Polu. Reperkusje bitwy kosowskiej trwają właściwie do dziś. Kosowo, historycznie i kulturowo integralna część Serbii, uświęcona modlitwami i trudami mnichów z istniejących tu od wieków prawosławnych monasterów, przez wiele państw współczesnego świata zostało uznane za samodzielne, niechrześcijańskie już państwo. Muzułmańscy mieszkańcy Kosowa, którzy dziś stanowią tu zdecydowaną większość, niszczą prawosławne cerkwie i monastery, istniejące tam od wieków, stanowiące nie tylko serbskie, ale też chrześcijańskie dziedzictwo Europy.

Vidovdan to data ważna dla Serbów i parafian z białostockich Bacieczek. Młoda wspólnota pod kierunkiem proboszcza o. **Marka Wawreniuka** i wikariuszy, o. **Michała Czykwina** i o. **Adama Jakuca**, buduje swoją cerkiew (zbudowała już plebanię, w której jest kaplica poświęcona św. Mikołajowi Serbskiemu), ale też przez cały rok modlitewnie łączy się z Serbią. Za sprawą osobistych kontaktów o. Michała, który studiował w Serbii, poza relikwiami św. Łazarza, na Bacieczkach pokłonić się można także relikwiom wspomnianego św. Mikołaja i przywiezionym z Kosowa, relikwiom świętych lekarzy cudotwórców Kosmy i Damiana. We wsparcie świętych tutejsi parafianie nie wątpią.



LITURGIA NA FRESKACH I WZAJEMNE WPŁYWY

Organizatorzy starają się, aby festiwalowe wydarzenia miały różnorodny charakter. Od początku w programie są wystawy, z czasem dołączyły konferencje. O tegorocznym spotkaniu naukowców, poświęconym tradycji bizantyńskiej w obrzędowości słowiańskiej, więcej na kolejnych stronach, w tekście Doroty Wysockiej.

„Liturgia w ikonografii" to tytuł wystawy, na którą składały się fotografie średniowiecznych serbskich fresków. Wystawa, skądinąd bardzo ciekawa, wzbudziła mniejsze zainteresowanie



Chór im. Moiseya Petrovicha w cerkwi Hagia Sophia, z prawej koncert chóru Constantine

niż te prezentowane w latach poprzednich. Pokazywane we wcześniejszych edycjach fotografie i możliwość porozmawiania z ich autorami przyciągały też białostockich fotografów niezwiązanych z prawosławiem. W szerszym odbiorze wystawy przeszkodziła pogoda. Z powodu ulewnych deszczy plenerowa wystawa nie mogła być prezentowana przez cały czas trwania festiwalu.

Wystawą zainteresują się być może katecheci lub prawosławne domy kultury. Warto, by w ten sposób przedłużyć i rozszerzyć zasięg festiwalu.

ŚPIEW BIZANTYŃSKI NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

Po raz pierwszy w ramach festiwalu odbyły się warsztaty śpiewu bizantyńskiego. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę.

Helena Tokarska informację o warsztatach znalazła w internecie. Namówiła też koleżankę **Zenaidę Lewandowską**: – Bardzo chciałam się sprawdzić. Ten śpiew wpada i w ucho, i w serce, i w duszę.

Dla **Jerzego Czyżewskiego**, supraskiego chórzysty, nie był to pierwszy kontakt ze śpiewem bizantyńskim. Ten pierwszy miał miejsce wiele lat temu, kiedy do Supraśla przyjechał z Moskwy prof. **Anatolij Konotop** z chórem, który wykonywał utwory z Irmologionu Supraskiego i inne w tradycji bizantyńskiej, wywarł na nim ogromne wrażenie: – To było duchowe przeżycie!

Potem pan Jerzy został członkiem Zespołu im. Bogdana Onisimowicza, prowadzonego przez dr. **Marcina Abijskiego**. Z doświadczenia wie, że wysiłek włożony w naukę bardzo się opłaci: – Można przeżyć niebo na ziemi.

– Ogłoszenie o warsztatach znalazłem na tablicy przy cerkwi św. Eliasza, gdy wyruszała pielgrzymka do Jabłecznej – mówi **Grzegorz Kozłowski**. – Myśl o tym, by uczyć się śpiewu bizantyńskiego chodziła za mną od dawna. Przed kilkoma laty przez rok byłem w Grecji w ramach programu Erasmus. Tyle, że wtedy tego nie doceniłem. Mogłem uczyć się na miejscu. A w muzyce bizantyńskiej liczy się przede wszystkim słowo.

Warsztaty prowadzili prof. **Nikola Popmihajlov** z Serbii i dr Marcin Abijski z Polski, specjaliści w tej dziedzinie. Gość z Serbii ukończył Narodowe Konserwatorium w Belgradzie, specjalizując się w bizantyńskiej muzyce cerkiewnej, a także historię. Jako wykładowca pracuje w Belgradzie w szkole śpiewu liturgicznego im. Moiseya Petrovicha. Prowadzi też znakomity – goszczący na festiwalu – chór tego samego imienia. Wcześniej wykładał na Wydziale Teologii w Belgradzie i na Akademii Muzyki Prawosławnej w Petersburgu. Jest autorem podręczników do nauki muzyki bizantyńskiej. I przede wszystkim praktykiem – pełni funkcję protopsalty w belgradzkiej cerkwi św. Archanioła Gabriela. Dba o śpiew w czasie świąt i podczas codziennych nabożeństw.

Obydwaj muzycy kładą nacisk na duchowość. – Prawosławne podejście to nie śpiewanie dla samego śpiewania, ale nauka pozwalająca na czynny udział w Liturgii. Dlatego przygotowujemy konkretne fragmenty nabożeństwa do świętego Łazarza – tłumaczy profesor. – Chcieliśmy przedstawić muzykę bizantyńską i połączyć ją z językiem polskim, by pokazać, jak integralnie związany z tekstem jest ten rodzaj muzyki – dodaje Marcin Abijski, który pracował z uczestnikami warsztatów nad troparionem i kondakionem do św. Łazarza w języku polskim.

LITURGIA I KONCERT

Cerkiew, znajdującą się w domu parafialnym na Bacieczkach, można nazwać serbską. Jej patronem jest współczesny święty – władyka Mikołaj. Polichromie w niej wykonali serbscy artyści, wielu na nich serbskich świętych. – Ale musimy pamiętać, że Cerkiew jest jedna – mówił w kazaniu biskup supraski **Grzegorz**, kiedy we środę 28 czerwca świątynia wypełniła się wiernymi. – Kiedy zapytano świętego Mikołaja Serbskiego, czy są święci w naszych czasach, odpowiedział, że są. Są i będą. A ci, którzy głoszą inaczej, są w błędzie, bo świętość zawsze jest możliwa. Chrystus zawsze jest ten sam, na wieki. I jeśli świętość jest niezauważalna, to nie znaczy, że jej nie ma, ale że nie chcemy jej zauważyć.

Hierarcha mówił też, że współczesny świat ucieka od świętości, do której – tak jak wspominany car męczennik – wszyscy mamy powołanie.

Duchowej atmosferze niewątpliwie przysłużył się bizantyński śpiew chóru im. Moiseya Petrovicha i uczestników poniedziałkowych warsztatów.

W poprzednich latach obecni byli serbscy duchowni. Tym razem o serbskiej duchowości zaświadczali wierni, członkowie chóru, którzy przystąpili do *pryczastija*.

Po modlitwie głos zabrał **Nikola Zurovac**, ambasador Republiki Serbii, który objął festiwal patronatem: – To dzień wyjątkowy dla wszystkich Serbów. To dzień, który ukształtował sposób naszego myślenia, pamięć historyczną. To potwierdzenie wyboru, którego dokonał naród, przyjmując chrześcijaństwo – podsumował dyplomata i w ciepłych słowach dziękował organizatorom, bo choć swą funkcję pełni od niedawna, festiwal dobrze zna.

Obok parafii współorganizatorami festiwalu są miasto Białystok i urząd marszałkowski województwa podlaskiego. – Tożsamość narodów słowiańskich niewątpliwie związana jest z chrześcijaństwem – mówił **Zbigniew Nikitorowicz**, zastępca prezydenta miasta. – Chrześcijaństwo przyniosło nie tylko wiarę w Chrystusa, ale też kulturę, pismo. Dzięki chrześcijaństwu jesteśmy ludźmi osadzonymi w określonym kontekście kulturowym.

– Województwo podlaskie jest wyjątkowym regionem pod względem wielokulturowości – mówił **Maciej**





Żywno, wicemarszałek województwa podlaskiego. – Szczycimy się też tym, że inne kultury do nas docierają i chcą się swoim dorobkiem podzielić. Dziękuję, że festiwal po raz kolejny zawitał do Białegostoku.

Wśród obecnych byli **Aleksiej Korniłow**, zastępca dyrektora Rosyjskiego Ośrodka Kultury i Nauki w Warszawie, prawosławni społecznicy **Sławomir Nazaruk**, dr **Adam Musiuk**, **Stefan Nikiciuk**, nasz redaktor naczelny **Eugeniusz Czykwin**, media.

Po południu białostocka cerkiew Hagia Sophia wypełniła się słuchaczami. Chór im. Moiseya Petrovicha dał koncert, w którym głębokiej duchowości towarzyszył najwyższy poziom wykonawstwa. Między utworami dyrygent prof. **Nikola Popmihajlov** mówił o muzyce bizantyńskiej, o jej wielowiekowej historii, duchowych korzeniach, o tym, że zachowała się na Świętej Górze Atos dzięki mniszej wierności tradycji.

NASTROJOWO O KSIĄŻCE

Festiwalowa środa zakończyła się śpiewaniem przed cerkwią Hagia Sophia „kosowskich" – opowiadających o bitwie i jej znaczeniu dla kolejnych pokoleń – pieśni. To stały, choć nieoficjalny, punkt Vidovdanu. Na kolejny dzień zaplanowano prezentację książki „Modlitwy nad jeziorem" autorstwa świętego Mikołaja Serbskiego. Spotkanie, które gdyby nie ulewa, miałoby mniej kameralny charakter, było bardzo nastrojowe. Głównie za sprawą „kosowskich" pieśni, wykonywanych przez **Annę Chodakowską** i jej bratową **Joannę Chodakowską**. Słuchacze czuli, że włożono w nie serce. – Bo i moje serce należy do Serba – wyjaśnia Ania. – Serbowie są rozśpiewanym narodem. Mają dużo pieśni religijnych i ludowych. Kiedy poznaje się jakiegoś świętego, zaraz okazuje się, że już jest ułożona pieśń mu poświęcona.

O samej książce, tchnącej modlitewnym nastrojem biblijnych psalmów, budzącej tęsknotę za prawdziwie duchowym życiem, w kolejnym numerze opowie **Anna Radziukiewicz**.

„CONSTANTINE" ZNÓW W AMFITEATRZE

Męski zespół wokalny „Constantine" z Niszu, miasta narodzin cesarza Konstantyna, ma w Białymstoku wiernych słuchaczy. Zespół brał udział w festiwalu po raz kolejny. Za każdym razem piosenki ludowe, popowe i jazzowe w ich wykonaniu wywołują emocje nie tylko w damskiej części publiczności. To, że zespół występował podczas Vidovdanu po raz kolejny, służy chyba obydwu stronom. Słuchacze, którzy zapełnili amfiteatr Opery i Filharmonii Podlaskiej, przyjęli śpiewaków „jak swoich". Ci odwdzięczyli się nowym repertuarem, tym na poważnie i tym z przymrużeniem oka, jak zawsze wykonanym na wysokim poziomie.

VIDOVDAN W ŁOMŻY

Po raz drugi Vidovdan miał swoją odsłonę w Łomży. 1 lipca był tam dniem serbskim. W zeszłym roku można było wysłuchać wykładu o freskach jako technice plastycznej, a u podstawy schodów prowadzących do kościoła Krzyża Świętego powstała w tej technice ikona Matki Bożej z Dzieciątkiem. Był też koncert muzyki poważnej. W tym roku najpierw w Domku Pastora odbyła się projekcja filmu „Przewodnik po Belgradzie z piosenką weselną i pogrzebową", a potem na rynku w centrum miasta z koncertem wystąpiła grupa „Constantine". Zainteresowanych nie brakowało.

Festiwal Vidovdan wrósł już w kulturę Białegostoku. Niesie dużą porcję wiedzy, daje szansę na kontakt z serbską sztuką, malarstwem i muzyką, na zrozumienie wzajemnych wpływów w kręgu świata prawosławnego. I właściwie tylko prawosławnego. Jedynym mankamentem festiwalu, jaki można wytknąć organizatorom tego arcyciekawego cyklu festiwalowych spotkań, jest ograniczenie ich do prawosławia nie w zakresie treści – bo to jego misja, a odbiorców. Festiwalowi wciąż nie udało się przebić do szerokiej, nieprawosławnej publiczności, na czym tracą wszyscy, bo dobrze przygotowana oferta daje szansę i na kontakt z ciekawą kulturą, i po prostu na dobrą zabawę.

Natalia Klimuk
fot. **autorka**

Narodzenie Chrystusa i Niebiańska Liturgia – freski z Markov Monasteru niedaleko Skopije

W bizantyńskiej tradycji

Bizantyńska tradycja w obrzędowości słowiańskiej – tak zatytułowano tegoroczną konferencję naukową, w ramach festiwalu Vidovdan, zorganizowaną przez Katedrę Teologii Prawosławnej Uniwersytetu w Białymstoku, Fundację Vidovdan i monaster Zwiastowania w Supraślu. To trzecia już edycja w cyklu „Śladami Nektariusza", jedynego, pochodzącego z Serbii, twórcy supraskich fresków, którego imię przetrwało do naszych czasów. I na wspaniałych supraskich malowidłach i idei ich rekonstrukcji, skupiono się początkowo. Idea przyobleka się już w czyn, tym razem więc zaproponowano szersze spojrzenie na polsko-serbskie powiązania, właśnie bizantyńskie tradycje, które łączą prawosławny świat, potwierdzając jego spójność.

Tego dotyczył pierwszy wykład prof. **Antoniego Mironowicza** z Uniwersytetu w Białymstoku, który omówił związki monasteru supraskiego z kulturą serbską w XVI wieku. A są to związki o wiele głębsze niż nam się dotąd, spoglądając głównie przez pryzmat fresków, wydawało.

Profesor przede wszystkim przywołał najnowsze ustalenia, dotyczące daty powołania supraskiego monasteru. Nosił on od początku tę nazwę, od należącego do fundatora Aleksandra Chodkiewicza zamku Supraśl, obecnie to Gródek, przy którym go początkowo ulokowano. Datę tę przesunąć należy jeszcze głębiej do XV wieku, około roku 1492. To wtedy zmarł król Kazimierz Jagiellończyk, który wykupił z tureckiej niewoli rodzinę wojewody kijowskiego Iwana Chodkiewicza, jego żonę, córkę i syna Aleksandra. Wykupił, to pewne, za życia. Droga powrotna wiodła przez Bałkany i to wtedy Aleksander Chodkiewicz spotkał się z serbskimi mnichami.

Czy Serbowie brali udział w powołaniu supraskiego monasteru? Z pewnością. Profesor przedstawił nowe na to dowody, przedstawione po raz pierwszy na niedawnej konferencji naukowej w Petersburgu, z okazji 510 rocznicy ukończenia przez Mateusza Dziesiątego pracy nad rękopiśmienną Biblią. O Mateuszu Dziesiątym i jego dziele opowiadaliśmy naszym czytelnikom dziesięć lat temu (PP 2/2007), teraz tylko przypomnę, że rozpoczętą w Wilnie pracę Mateusz Dziesiąty ukończył w Supraślu (czyli Gródku, monaster nie przeniósł się jeszcze na nowe miejsce) i długo znajdowała się ona w monasterskiej bibliotece (obecnie w Petersburgu). Rosyjscy językoznawcy natrafili w tej Biblii na powiązania serbskie. Jakie było ich źródło? Biblioteka monasterska, w której znajdowało się już sporo manuskryptów przywiezionych z Serbii. Ktoś je tu przywieźć musiał.

Na inny trop wskazano na tej samej konferencji. Dotyczył św. Antoniego Supraskiego. Rosyjscy specjaliści poczynili nowe ustalenia i związane z nim daty 1515 i 1516 przesunęli na lata 1507 i 1508. Nim monaster przeniósł się na nowe, to które znamy dotąd, miejsce, część mnichów postanowiła powrócić do macierzystych monasterów, w tym grupa z Chilandaru na Świętej Górze Atos. To z nimi zabrał się św. Antoni. Na Chilandarze zamieszkał w celi św. Sawy. Jego męczeńską śmierć datuje się teraz na rok 1508.

Pierwszy żywot św. Antoniego napisał mnich Arseniusz, który wraz z nim opuścił Supraśl. Zabrał wtedy ze sobą rękopis „Lestwicy" św. Jana Klimaka, do dziś przechowywany na Chilandarze. Widnieje na nim zapis, że księga powstała w Supraślu.

Mnich Arseniusz nie pozostał do końca życia na Chilandarze. Przeniósł się do Dubna i tam napisał żywot św. Antoniego, który na początku lat 40. szesnastego wieku przesłał do Supraśla.

W supraskiej bibliotece literatura serbska była bogato reprezentowana. Profesor szczególną uwagę zwrócił na dwie *Mineje*, z całą pewnością przepisane z *Minei* serbskich.

Przy okazji powiedział, że do Supraśla trafiła oczywiście drukowana Biblia Franciszka Skoryny i aż trzy egzemplarze jego „Małej książeczki podróżnej". Jeden z nich jeszcze w latach czterdziestych szesnastego wieku znalazł się w Chilandarze. Do „Małej książeczki..." Skoryna sam napisał jeden z akafistów. Nie będąc teologiem, popełnił w nim drobne błędy. Akafist ten w Chilandarze kopiowano, powtarzając błędy Skoryny.

O bliskich kontaktach monasteru supraskiego z serbskimi ośrodkami świadczą też, przechowywane tutaj, serbskie wersje innych utworów, na przykład opowieści o Tristanie i Izoldzie.

Do Supraśla trafiali nie tylko serbscy mnisi, ale i hierarchowie, jak patriarcha, a właściwie pseudo patriarcha Gabriel. W 1582 roku przywiózł on do Supraśla cenne księgi, ikony i relikwie.

Nie ma jednak lepszego dowodu na bliskość monasteru położonego na zachodnim skraju Wielkiego Księstwa Litewskiego i Serbii, niż malowidła w supraskiej cerkwi, ocalałe do naszych czasów jedynie w szczątkowej postaci. Są powszechnie znane, szczegółowo opracowane. Profesor nie chciał się na ich temat rozpisywać. Przypomniał jedynie, że serbscy ikonopiscy na supraskich ścianach włączyli się w polemikę wokół nauki o pochodzeniu Ducha Świętego. To spór o *filioque*, o to czy pochodzi On od Ojca i Syna, czy tylko od Ojca, jak to zapisano w nicejskim Wyznaniu Wiary. Nie mieli wątpliwości, że tylko od Ojca, i potrafili to oddać malarskimi technikami.

Supraśl był znany w całym prawosławnym świecie, więzi z Serbią pozostawały przez cały szesnasty wiek



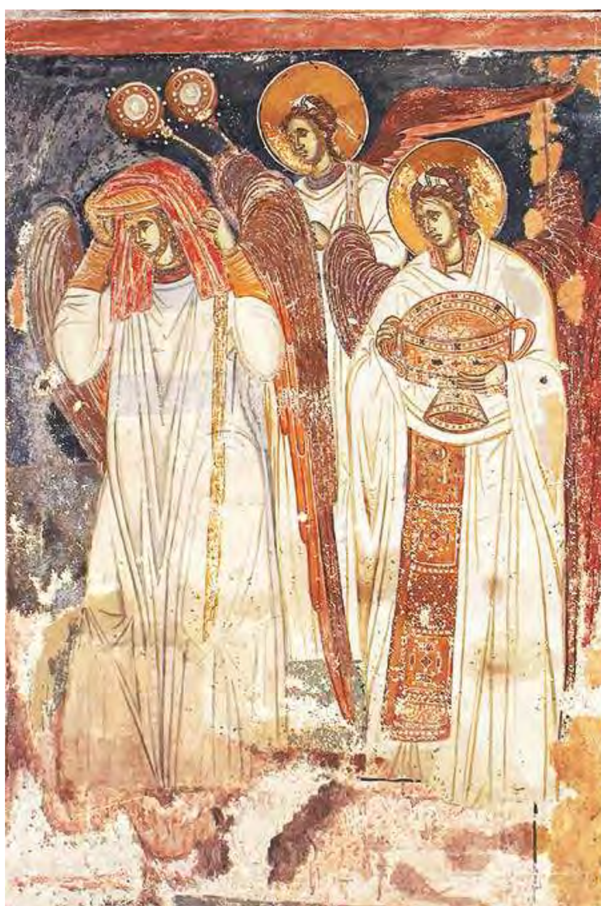
niż się to na pierwszy rzut oka dostrzega. My, chrześcijanie, jesteśmy, za bizantyńskim pośrednictwem, dziedzicami pogańskiego świata w o wiele szerszym zakresie, niż to się na ogół wydaje.

Dwa kolejne referaty, **Nikoli Popmihajlova**, ze Szkoły Śpiewu Liturgicznego im. Moiseya Petrovicha „Reforma bizantyjskiego zapisu nutowego w Serbii" i dr. **Marcina Abijskiego**, reprezentującego Stowarzyszenie Bractwo Prawosławne im. św.św. Cyryla i Metodego, dotyczyło kwestii muzycznych. Duże zainteresowanie wzbudził zwłaszcza, bogato ilustrowany, wykład „Szaty i funkcje śpiewaków w bizantyjskim rycie azmatycznym (czyli śpiewaczym – przp. red.) na podstawie źródeł pisanych i ikonografii". W którymś z kolejnych numerów przedstawimy go naszym czytelnikom.

Głos zabierali jeszcze o. dr hab. **Marek Ławreszuk** z Katedry Teologii Prawosławnej UwB („Bizantyńska tradycja liturgiczna a typik „synodalny" na ziemiach słowiańskich"), **Miodrag Milutinović** z Belgradzkiej Akademii Sztuk Pięknych („Prawdopodobne wpływy stylów i ikonografii na autorów fresków w Supraślu"), dr **Magdalena Ickiewicz-Sawicka** z Katedry Ekonomii i Nauk Społecznych Wydziału Zarządzania Politechniki Białostockiej („Kulturowe i duchowe dziedzictwo narodów bałkańskich w kontekście dokumentów UNESCO ze szczególnym uwzględnieniem serbskiej slavy") i mgr **Tomasz Kuprjanowicz** z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie („Paisjusz Wieliczkowski jako osoba, która przekazała duchowe skarby św. Góry Atos dla Rosji").

Powiedzieć, że konferencja była interesująca, to skwitować ją zdawkowo. Dobór tematów i prelegentów, którzy ruszyli „śladami Nektariusza", uczynił ją jednak wyjątkową. Wszystkie referaty można będzie przeczytać w kolejnym numerze rocznika Katedry Kultury Prawosławnej UwB „Elpis".

Dorota Wysocka



szczególnie ścisłe, a kontakty ożywione – podsumował profesor Mironowicz.

Następnym prelegentem miał być prof. **Goran Janicijevic** z Akademii Sztuki Cerkiewnej w Belgradzie, autor (wraz ze swym uczniem Miodragiem Milutinoviciem), rekonstrukcji supraskich fresków. Niestety, obowiązki zatrzymały go w Serbii i jego wykład „Przewodnik po bizantyńskich wpływach na serbską sztukę średniowieczną" odczytał o. **Michał Czykwin**.

Profesor Janicijević skupił się, zgodnie ze swoją profesją, na średniowiecznym malarstwie ściennym. A wzorce tego malarstwa, chrześcijańskiego w swej istocie, sięgały czasów antycznych, nie bezpośrednio Rzymu, a Konstantynopola. Ciekawą, do tej pory nie do końca rozwikłaną sprawą jest ustalenie, jaką część tradycji grecko-rzymskiego imperium przejęła sztuka chrześcijańskich Słowian – zauważył. W warstwie zewnętrznej było prościej, boginki zamieniły się po prostu w chrześcijańskie święte, bardziej skomplikowane było włączanie w obręb chrześcijaństwa antycznych symboli. Profesor analizował poszczególne chrześcijańskie przedstawienia, odszyfrowując na nich symbole antyczne, przejęte przez chrześcijaństwo. Ikonologia – przypomniał – to cała nauka, dzięki której potrafimy odczytywać treści przekazane nam nie wprost, bogatsze i bardziej złożone

Główne obchody, upamiętniające 70 rocznicę tragicznej dla prawosławnej społeczności Akcji Wisła, odbędą się w Kostomłotach 1 sierpnia, w dniu patrona tamtejszego monasteru. Władyka chełmski i lubelski Abel we wstępie do przygotowanego przez Diecezjalne Bractwo Młodzieży Prawosławnej specjalnego numeru ich pisma „Istocznik", napisał m.in.: „Z terenów naszej diecezji – z Chełmszczyzny i Południowego Podlasia − wysiedlenie około 40 000 prawosławnych mieszkańców położyło kres naszemu życiu eklezjalnemu. Skutki akcji przesiedleńczej odczuwalne są do dnia dzisiejszego. Na skutek tego barbarzyństwa zmieniło się oblicze etniczne i wyznaniowe całego dzisiejszego województwa lubelskiego. Większość wysiedlonych autochtonów naszej ziemi stanowiła społeczność prawosławna, Akcja Wisła była zatem wydarzeniem, które zmieniło strukturę demograficzną Cerkwi Prawosławnej w Polsce. Bez tej wiedzy o tragedii 1947 roku nie sposób zrozumieć, dlaczego na Chełmszczyźnie i Południowym Podlasiu prawosławie jest tak bardzo zredukowane, gdzie stanowimy ledwie znikomą mniejszość społeczną, pomimo że jesteśmy autochtonami tej ziemi".

Przez piekło na ziemi

Miała opory, żeby jeszcze raz opowiedzieć o tragicznych wydarzeniach w życiu sześcioletniej dziewczynki. Chciała zamknąć ten rozdział bezpowrotnie, bo dawno już przebaczyła tym, którzy wyrządzili jej najbliższym straszną krzywdę. Pomogła jej w tym wiara. Uznała, że napisała już wystarczająco w tej kwestii i nie chce rozdrapywać ran. Jednak głównie z myślą o następnych pokoleniach, ku przestrodze, by nigdy nikomu podobna tragedia się nie przydarzyła, zdecydowała się zmierzyć z traumą dzieciństwa.

– Bardzo kochałam rodziców. Ojca, którego widzę codziennie, skatowanego, a którego bardzo mi brakowało, kiedy dorastałam. Mamę, której mi zabrakło, kiedy byłam mała – wyznaje **Halina Brodkiewicz**, tegoroczna laureatka nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, przyznanej w 70 rocznicę Akcji Wisła za świadectwo tamtych czasów oraz trwanie w wierze prawosławnej.

– Tam pani sobie przeczyta – udostępniła mi wydany w 2014 roku w Czerniowcach drugi tom publikacji „Od deportacji do deportacji" pod redakcją pochodzącego z Chełmszczyzny profesora **Jurija Makara**, ukraińskiego historyka, w której, obok tekstów naukowych, znalazły się wspomnienia świadków trudnej historii Chełmszczyzny i południowego Podlasia. W ponaddziewięćsetstronicowej publikacji – kilka stron rozdziału „Halina Brodkiewicz", w którym zamieszczone zostały jej dwa listy do władyków **Sawy** i **Abla**, napisane w lutym 2003. Na przetłumaczenie na ukraiński wyraziła zgodę profesorowi Makarowi listownie w tym samym roku. Lektura okazała się wstrząsająca.

Nic nie zapowiadało tragedii w społeczności parafii w Poturzynie (nazywanym przez miejscowych Poturżynem) niedaleko Tomaszowa Lubelskiego, do którego należał Suszów, wieś w większej części prawosławna i ukraińskojęzyczna. Tam od pokoleń mieszkali przodkowie Haliny Brodkiewicz. Ojciec, **Mikołaj Synicyn**, urodził się 6 sierpnia 1905 roku i został ochrzczony w poturzyńskiej cerkwi św.św. Piotra i Pawła. Mama, **Natalia Szutowska**, urodziła się 10 sierpnia 1907 roku w Poturzynie i została tam ochrzczona. Poznali się właśnie w tej cerkwi. Obydwoje śpiewali w chórze. Mikołaj pięknym tenorem, Natalia sopranem. Po ślubie w 1928 roku Natalia z Poturzyna przeniosła się do domu męża.

Rodzinny, nieduży majątek w Suszowie nabył **Michał Doroszewski**, dziadek Mikołaja, który ożenił się z **Anną Kicińską**, katoliczką, która przyjęła prawosławie. Ich córka, **Julia**, poślubiła **Kuźmę Synicyna**, wysokiej rangi carskiego oficera. Halina Brodkiewicz swoich dziadków, zarówno ze strony mamy jak i taty, nie znała. Kuźma Synicyn zmarł młodo, zaś **Andrzej Szutowski** na bieżeństwie, gdzieś na Grodzieńszczyźnie. Do Poturzyna z bieżeństwa wróciła babcia **Marta** z Nowosadów wraz z dwójką dzieci, **Aleksandrem** i Natalią.

Natalia i Mikołaj Synicynowie stworzyli szczęśliwą rodzinę. W 1929 roku urodził się pierworodny **Aleksy**, a dwa lata później **Dymitr**. Kiedy przyszedł czas burzenia cerkwi na Chełmszczyźnie, zakończyli budowę, okazałego w tamtych czasach, domu z drewna, krytego blachą. 1938 rok był trudny do przetrwania. Parafianie pilnowali cerkwi i na szczęście świątynię w Poturzynie udało się uratować. W 1941 roku Synicynom urodziła się córka, Halina. W 1944 roku Chełmszczyzna stała się terenem walk partyzantów. – Pojawiały się różnej maści bandy, które nie dawały ludności cywilnej spokojnie żyć – wspomina.

Przed prześladowaniami

mieszkańcy Suszowa całymi rodzinami wielokrotnie uciekali, nieraz z bydłem, do sąsiednich wsi, do lasów, chowając się po krzakach i rowach. Z tamtego okresu zapamiętała szczególnie ucieczkę zimą. – Tata niósł mnie na plecach owiniętą w pierzynę, a mama z braćmi nieśli żywność – wspomina. – Jednak mimo wszystko byliśmy zawsze razem. Niespokojne czasy sprawiły, że część mieszkańców, w tym babcia Marta i wuj Aleksander z rodziną, wyjechali na Ukrainę. Wyjechał również proboszcz poturzyńskiej parafii o. **Wołoszyński** wraz z rodziną. Odtąd cerkiew była nieczynna, bo nie było komu w niej służyć. Annę Doroszewską, prababcię pani Haliny,



Halina Brodkiewicz

pochował o. **Mikołaj Holz**, w okolicy nazywany batiuszką Golcem, wiosną 1944 roku zamordowany przez polski oddział partyzancki święty Cerkwi prawosławnej.

Niedziela 15 czerwca 1947 roku okazała się najtragiczniejszym dniem dla Suszowa, ale przede wszystkim dla Synicynów. – Rankiem do wsi wkroczyło polskie wojsko i zaczęło zabierać mężczyzn i młodocianych chłopców na przesłuchania – wspomina. – Trzymano wszystkich w stodole na drugim końcu wsi. Zabrano także jej ojca i braci. Zaraz potem sąsiad, z niewiadomych do dziś Synicynom przyczyn, przyprowadził do ich domu dwóch żołnierzy, którzy na oczach Halinki zaczęli bić Natalię. – Bili wyzywając obelżywymi słowami. Mama zemdlała i upadła. Wówczas wyższy wojskowy upomniał niższego: „Przestań, ona ma już dość!". Ten, nie dając za wygraną, krzyczał, żeby mama wstała. Nie reagowała, wówczas wylał na nią wiadro wody i wyszli. Strasznie płakałam. Myślałam, że mama nie żyje. Kiedy po pewnej chwili mama podniosła się z podłogi, przytuliła mnie do siebie i trzęsąc się, powtarzała w kółko: „Oni ich pozabijają, oni ich pozabijają!". Strach o męża i synów był silniejszy od bólu. Tymczasem ze stodoły na całą wieś rozchodziły się jęki i krzyki torturowanych. Na przesłuchania wywoływano wszystkich po nazwisku. „Zostań synu, ja pójdę" – powiedział tata do Aleksego, kiedy ten poderwał się na wezwanie „Synicyn". – Ojciec poszedł ostatni raz na własnych nogach – mówi Halina Brodkiewicz. – Papa był człowiekiem zdrowym, dobrze zbudowanym i silnym. Trzeba było torturować go kilka godzin z przerwami. Kiedy nie dawał znaku życia, kazano: „Zabrać to ścierwo!". Jak się okazało, bito ludzi i zmuszano do mówienia nieprawdy, do oskarżania sąsiadów. Do mówienia tego, co żołnierze chcieli usłyszeć. Ojciec nie powiedział ani słowa.

Podobnie zachował się miejscowy nauczyciel **Konstanty Diduch**, za co został dotkliwie pobity, ale przeżył. Mikołaj Synicyn z maturą i nauczyciel stanowili miejscową inteligencję. Wczesnym rankiem następnego dnia ciężko rannego ojca Aleksy i Dymitr z pomocą mieszkańców Suszowa przynieśli na drabinie do domu. – Widok był straszny. Zewsząd brocząca krew – z uszu, z ust, z nosa. Wyglądał jakby był skąpany we krwi. Tego widoku do końca życia nie zapomnę – wzdycha.

Obraz był tragiczny

Połamane palce, czarne od bicia stopy i spuchnięty brzuch. Po przyniesieniu ojca dostali rozkaz opuszczenia domu w ciągu dwóch godzin. Nie było czasu na myślenie o pakowaniu rzeczy. Najważniejsze było, jak ułożyć cierpiącego tatę na wozie. Pod eskortą wojska dotarli do odległego Uhnowa, gdzie nad rzeczką Sołokiją zatrzymano całą kolumnę wozów na nocleg. Rano dołączono do nich miejscowych i transport ruszył w kierunku Bełżca. – Tato czuł się coraz gorzej. Kilkakrotnie chciał nam coś powiedzieć, ale nie mógł – wspomina. Na stacji w Bełżcu załadowano ich wraz z żywym inwentarzem po kilka rodzin do brudnych i śmierdzących wagonów bydlęcych. Największym problemem było ułożenie ojca jak najwygodniej, bo najmniejszy dotyk sprawiał mu ogromny ból. Pomogli obcy ludzie. – Kiedy tata leżał w miarę wygodnie, przyszli wojskowi i z wagonu zabrali mamę – wspomina. – Braciom została opieka nad ciężko rannym ojcem, babcią Julią i mną. Z trójki rodzeństwa pełnoletni był jedynie Aleksy. Natalia Synicyn miała zaraz wrócić, ale stało się inaczej. Dzieci nie poinformowano, dokąd została zabrana. Zapamiętały, że w upale zabrali ją lekko ubraną i bosą.

Pociąg ruszył w nieznane, a stan Mikołaja Synicyna z każdym kilometrem się pogarszał. Bezradne dzieci nie mogły w żaden sposób ulżyć mu w bólu. – Zapamiętałam wielki smutek moich braci i ciągłe czuwanie nad ojcem – mówi. – Byłam zbyt mała, żeby im pomóc. Mogłam tylko gałązką odganiać muchy. Papa okropnie puchł, znikąd pomocy, a warunki straszne.

Kiedy 27 czerwca 1947 roku dojechali do Wrocławia, był już w agonii. Halina Brodkiewicz zapamiętała, jak Aleksy prosi Dymitra, żeby poszedł do żołnierzy po pomoc. Miał wysoką gorączkę, konwulsje. – Tatę zabrali na noszach. W niektórych miejscach ciało odstawało od kości – wspomina okropne chwile. – Wtedy widzieliśmy ojca po raz ostatni. Mikołaj Synicyn zmarł 27 czerwca 1947 roku w wieku 42 lat w Szpitalu Wszystkich Świętych we Wrocławiu, dokąd został przewieziony ze stacji Wrocław Brochów, przed południem. Dokładnie trzynaście dni po tym, kiedy zabrano go na przesłuchanie. Pogrzebu rodzinnego nie miał, pochowany przez obcych. Spoczywa na Cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu. Osierocona trójka rodzeństwa pojechała z babcią dalej, w nieznane.

Po południu pociąg dotarł do Legnicy. Stamtąd ludzi z transportu kierowano do różnych miejscowości. Synicynów zawieziono do oddalonego o sześć kilometrów od Legnicy Szymkowa. Przydzielono im dom, a właściwie ruderę bez okien i drzwi, z powyrywanymi podłogami. O doprowadzenie domu do jako takiego stanu zadbali bracia. Młodszy Dymitr od razu poszedł do pracy, aby utrzymać rodzinę. Okazał się zdolnym mechanikiem. Na chleb zarabiał, jeżdżąc na poniemieckim traktorze. Aleksy z kolei zajmował się małą siostrą, babcią i domem. Było im ciężko, ale ciągle wierzyli, że mama do nich wróci. – Poszłam do szkoły, nie znając języka polskiego. Mimo to nauka nie sprawiała mi trudności, a mówić po polsku nauczyłam się szybko – mówi.

Jej rodzice z dziadkami w domu rozmawiali w trzech językach – ukraińskim, rosyjskim i polskim. Do szkoły w Czerwonym Kościele pod opieką Aleksego chodziła cztery kilometry w jedną stronę. Nadeszły pierwsze Święta Bożego Narodzenia na obczyźnie. Były bardzo smutne.

Wciąż czekali na mamę

– Bardzo prosiliśmy Boga, żeby mama do nas wróciła – wyznaje. O tym, że ojciec zmarł, że mamę wzięli bez butów i lekko ubraną, dowiedziała się z rozmowy między braćmi. Oni bardzo to przeżywali. W Nowy Rok dowiedziała się, że mama żyje i przebywa w Centralnym Obozie Pracy w Jaworznie. Bracia wiedzieli wcześniej.

Natalia Synicyn wróciła gdzieś miesiąc później, pod koniec lutego 1948 roku. Mając czterdzieści lat wyglądała na staruszkę. Okazało się, że przeszła ciernistą drogę, z Bełżca do Tomaszowa Lubelskiego, a stamtąd do więzienia na Montelupich w Krakowie. Szlakiem tortur. Na koniec trafiła do Jaworzna. – Mama, bita i poniżana, zachowała godność i wiarę – mówi Halina Brodkiewicz. Owdowiała kobieta doznała poważnego uszczerbku na zdrowiu. Wróciła z powybijanymi zębami i połamanymi żebrami, bardzo wychudzona. Nigdy nie wróciła w pełni do zdrowia. Dla dzieci najważniejsze było jednak, że powróciła żywa.

Niedługo potem, 1 kwietnia, zmarła babcia. Pochował ją na dwa tygodnie przed wyjazdem do Niemiec ewangelicki pastor, bo wtedy jeszcze nie wiedzieli, że w Legnicy jest cerkiew. Wkrótce potem prawosławnego pochówku dokonał o. Jarosław Tyczyno z matuszką. – Mama całe życie starała się przekazać nam to co najważniejsze, mocną, prawosławną wiarę. Synicynowie odnaleźli swoje miejsce w parafii Zmatrwychwstania Pańskiego w Legnicy, gdzie tuż przed powrotem mamy, 15 lutego 1948 roku w prywatnym mieszkaniu Olgi i Anatola Iwanowów odprawiono pierwszą Liturgię. Na prawosławne nabożeństwa odprawiane od sierpnia 1948 roku przez o. Jarosława Tyczynę w bocznej kaplicy ewangelickiego kościoła Najświętszej Marii Panny dojeżdżali co niedzielę. Podobnie jak rodzice w Poturzynie, tu, cała trójka

zaczęła śpiewać w chórze.

Aleksy śpiewał krótko, ponieważ uczył się poza domem, Dymitr prawie od początku, z przerwami na egzaminy. Halina podążyła za braćmi trochę później. Zmiana miejsca zamieszkania i pracy też spowodowała przerwę. Wróciła na dobre w 1980 i jako jedyna z rodzeństwa śpiewa do dziś. Oprócz chóru cerkiewnego, Halina i Dymitr wraz z obecną dyrygentką chóru cerkiewnego, panią **Ireną Kozioł**, śpiewali w chórze przy legnickim UTSK.

Z biegiem lat całe rodzeństwo przeniosło się do Legnicy. – Gdyby nie cerkiew i nasze rodziny, chyba oszalelibyśmy – wzdycha. – One przywróciły nam wiarę w człowieka.

Halina Synicyn w 1958 roku ukończyła Technikum Ekonomiczne w Legnicy i tu dostała pracę. Szybko awansowała. W 1961 roku w cerkwi w Zimnej Wodzie wzięła ślub. Bracia już mieli swoje rodziny.

Natalia Synicyn często wracała w opowieściach do pobytu w Jaworznie. Szczególnie wspominała **Lubę**, dziewczynę z Łemkowszczyzny, która – brzemienna – nie wytrzymała ciężkiego obozowego życia i rzuciła się na druty pod napięciem. – Mama zawsze ją wymieniała, dając na *wypominki* – wspomina. Zmarła 27 listopada 1984 roku. Pochował ją na cmentarzu w Legnicy o. **Bazyli Litwiniuk**.

Halina Brodkiewicz w liście do metropolity Sawy opisała tragiczne wydarzenia czerwca 1947 roku. „Nasza cerkiew – to nasze życie, czujemy się w niej tak, jak na naszych ziemiach" – pisała do zwierzchnika Cerkwi w Polsce przed kanonizacją Świętych Męczenników Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej. „Przeszliśmy przez piekło na ziemi, prześladowano nas i męczono na każdym kroku, a zakończono Akcją Wisła, w następstwie której odebrano ziemię, będącą własnością naszych dziadków i pradziadków".

Kanonizacja Świętych Męczenników Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej odbyła się w dniach 7 i 8 czerwca 2003 roku w Chełmie pod przewodnictwem metropolity Sawy. Wzięła w nich udział pani Halina wraz z bratem Dymitrem i jego żoną, **Stefanią**. Przyjechali również dawni mieszkańcy tych ziem z Ukrainy, a także z innych zakątków świata.

Suszów i Poturzyn odwiedziła

po raz pierwszy od tamtych tragicznych wydarzeń

zaraz po kanonizacji. Zapamiętała miejsce, gdzie stał ich dom. – Miejsca poznałam, jednak krajobraz rodzinnej wsi bardzo się zmienił – wspomina. Dom, w którym się urodziła, został sprzedany, rozebrany i przewieziony w inne miejsce. Nie zastała nawet trzech wysokich świerków, rosnących obok niego. Wokół ciągnęły się żyzne pola uprawne.

Dzisiejszy Suszów to kilka nowoczesnych domów i wielohektarowe gospodarstwa.

Cerkiew, w której została ochrzczona, po Akcji Wisła przestała być potrzebna nowym mieszkańcom wsi, rzymskim katolikom. Przez kilkanaście lat służyła za magazyn nawozów. W 1962 roku została przewieziona trzysta kilometrów na północ, do Rajska niedaleko Bielska Podlaskiego, gdzie służy prawosławnym. Zachowały się cmentarze prawosławne, na których spoczywają jej przodkowie, w Suszowie i Poturzynie, jednak po większości mogił nie ma śladu. Na środku stoi prawosławny krzyż. Zaniedbane przez lata, zarośnięte, kilka lat temu uporządkowane zostały staraniem **Włodzimierza Zazuli**, obok pani Haliny laureata tegorocznej Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego i jego bratanka, którzy powycinali uschłe drzewa i krzaki. Szkoła w Poturzynie, do której chodzili bracia, stoi, ale teraz odbywają się w niej wesela i zabawy. Wraz z wycieczką dawnych mieszkańców Poturzyna i Suszowa była też w monasterze w Turkowyczach, do którego pielgrzymowały jej babcia i mama.

– Zmieniło się nie do poznania – podsumowuje.

Anna Rydzanicz, fot. **autorka**

Antoni Kroh

Za tamtą górą

W majowym numerze „Sami o Sobie" zamieściliśmy tekst, w którym Anna Rydzanicz z uznaniem odniosła się do książki Antoniego Kroha „Za tamtą górą". Z napisanym po łemkowsku tekstem, siłą rzeczy, zapoznała się ograniczona liczba naszych czytelników. Antoni Kroh nie jest Łemkiem, ale przez dziesięciolecia poznawał region, odnosząc się z sympatią do jego mieszkańców. Nade wszystko ich słuchał i starał się zrozumieć. „Byłem wśród Łemków – pisze autor – na prawach gościa, przede wszystkim chciałem słuchać i patrzeć, uczyć się, a nie wdawać się w spory". Dzięki takiej postawie powstała mądra, piękna książka o ludziach, którzy mimo doznanych krzywd i przeżytych tragedii nie utracili więzi ze swoją małą ojczyzną, zachowali wiarę, kulturę i tradycje.

Książka **Antoniego Kroha** wzbudziła zainteresowanie i życzliwą ocenę nie tylko Łemków. Przytaczamy jej fragmenty oraz ciekawe – naszym zdaniem – recenzje i opinie.

„Łemkowie pytali wielokrotnie, czego od nich chcę. Oczywiście ujmowali to oględniej. Przyjmowali mnie serdecznie, odnosili się przyjaźnie, jestem im za to wdzięczny. Ale przecież coś mówili i myśleli poza moimi plecami.

Siedzę za stołem, gospodyni podała jajecznicę, gospodarz nalał po jednym. Drzwi się otwierają, wchodzi sąsiad.

– Sława Isusu Christu.

Zobaczył obcego, zacukał się.

– Poznajcie się. To pan Kroh. Polak, ale porządny człowiek – przedstawił mnie gospodarz.

Zrobiło mi się bardzo, bardzo miło.

Czego chciałem? Postaram się opowiedzieć, bo to już nie tylko moja sprawa.

Czułem dla nich szacunek i podziw. Że tak trzymają się swojego, wbrew wszystkiemu. Zastanawiali mnie, fascynowali.

Byłem ich ciekaw. Usiłowałem zrozumieć, jak to jest: żyć w Polsce od stuleci, u siebie, ale nie być Polakiem. Co z tego wynika na co dzień, tu i teraz. Jak można nieustannie dźwigać poczucie niepojętej krzywdy i usiłować pojąć to, czego na zdrowy rozum pojąć się nie da. Jak sięgać do



pogruchotanej, anachronicznej tradycji chłopskiej i co z tego może wyniknąć dla człowieka końca XX wieku. Jak łykać mniejsze i większe upokorzenia za to, że się jest tym, kim się po prostu jest.

Jak decydowano się na powrót do wsi, której nie było? Niekiedy znacznie na tym tracąc materialnie, rezygnując ze stabilizacji (a niektórzy Łemkowie już zaczęli odnajdywać się na zachodzie). Wrócić do siebie, ale przecież nie do siebie? Kupować od osadników rodzinne zagrody – jak przebiegały takie rozmowy, co ludźmi powodowało? A stosunek osadników do powracających autochtonów – nieufny, częstokroć wrogi?

Bardzo chciałem o tym napisać, ale bałem się. (...)

Lecz nie chciałem skrzywdzić ludzi, którzy mi zaufali. Czyli wyjść na łajdaka. Bo autorzy, pisząc o żyjących, mogą zranić. Czasem bez złej woli, ale to już sprawa piszącego. Niepodobna potem tłumaczyć, że chciałem jak najlepiej. Jak wiadomo, dobrymi chęciami piekło wybrukowane. Liczy się tylko skutek".

Dla Łemków – przypomina polskiemu czytelnikowi Antoni Kroh – „dobrowolno-przymusowe" przesiedlenia na Ukrainę w 1945 roku i Akcja Wisła w 1947 to wydarzenia znacznie okrutniejsze i donioślejsze w skutkach, niż obie wojny razem wzięte.

„(...) W rozmowach wielokrotnie powracała sprawa sensu Akcji „Wisła". Po co komu to było. Wysiedlenie lwowiaków, wilniuków, breslauerów próbowano tłumaczyć zmianą granic, koniecznością dziejową, Jałtą, Poczdamem. Zaś przesiedlenie Łemków z Polski do Polski było niepojęte, absurdalne. Pod względem gospodarczym kraj na tym nie zyskał, przeciwnie – Beskid Niski, niewiele zniszczony przez wojnę, opustoszał, zarósł bezużytecznie, choć mógłby przynosić profity. Łemkowie nie stanowili zagrożenia dla nowej władzy. Oficjalne tłumaczenie, że ich wysiedlenie było niezbędne, by pozbawić UPA zaplecza, to oczywista nieprawda. Nikt przecież nie zamierzał deportować mieszkańców Gorców, Beskidu Sądeckiego i innych mateczników partyzantki antykomunistycznej. Łemków wysiedlano wedle kryterium wyznaniowego (etnicznego), nie militarnego. Zaś UPA na powojennej Łemkowszczyźnie prawie się nie liczyła.

Więc kto i po co to wymyślił – Stalin? Któryś z jego pretorian? Wysuwano takie argumenty, niektóre wydawały mi się prawdopodobne. Ale Łemkowie, z którymi rozmawiałem, zgodnie sądzili, że zwalanie odpowiedzialności na Stalina to wykręt, ponieważ Akcja „Wisła" to robota polska, przeprowadzona w polskim interesie...

– Kto się upasł na naszej krzywdzie, kto zyskał na tym, że moja gazdiwka zarosła pokrzywami? Nikt! I ta straszna nazwa, jakaś potworna drwina – Akcja „Wisła”. Dlaczego akurat Wisła? Jeszcze bym od biedy rozumiał, gdyby nas ograbili, a dali Polakom, choćby tym z Kresów. Ale na Łemkowynie nikt nie będzie umiał tak gospodarować, jak my. Więc od strony ekonomicznej to była jedna wielka głupota. I przeprowadzona w takim biednym i zniszczonym kraju, jakim Polska wtedy była. Dzisiaj, panie, dosyć spojrzeć. Pola zapuszczone, dorobek wielu pokoleń zmarnowany. A ludzie tu byli spokojni, pracowici, państwu nie zagrażali. Panie, pan jesteś kształcony, potrafisz pan to wytłumaczyć?”.

Antoni Kroh, choć wykształcony, nie próbuje odpowiadać na pytanie o sens Akcji Wisła. Nie formułuje też własnych ocen i przemyśleń o przyczynach wewnątrzłemkowskich podziałów narodowych na Łemków-Łemków i Łemków-Ukraińców, ani na jeszcze ostrzejszych podziałów na Łemków prawosławnych i Łemków grekokatolików. Pisząc o ludziach, o ich odczuciach i punkcie widzenia, nie może jednak pominąć tej kwestii.

Urodzony w rodzinie wyznaniowo mieszanej (ojciec ewangelik, matka katoliczka), ochrzczony w Kościele katolickim, od dzieciństwa włączany był w religijne polemiki i waśnie. „W mojej tradycji domowej (rodzina mamy pochodziła z Chełmszczyzny) prawosławie było znienawidzone – filar caratu, instytucja antypolska, opresyjna.

(...) Podczas przygotowań do pierwszej komunii z dziecięcą łatwością przyswoiłem sobie powiedzonko „Jesteś głupi jak ruska wiara”. Warknąłem tak na siostrę. Szczęściem babcia usłyszała.

– Że co, kochany wnusiu? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ksiądz katecheta tak mówi, jeśli któreś dziecko czegoś nie umie albo źle się zachowuje.

– Taaak? A co jeszcze mówi ksiądz?

– Wczoraj mówił, że to grzech używać słowa „prawosławni", bo to nie są żadni prawosławni, tylko odstępcy, apostaci. Że niech nas Pan Bóg broni wchodzić do ich cerkwi, grzech śmiertelny, bałwochwalstwo. Jeśli wychodząc, zagapię się i wpadnę pod samochód albo cegła spadnie mi na głowę, skończę w piekle, bo umrę w stanie grzechu śmiertelnego.

– Taaak? To proszę cię, wnusiu, opowiadaj mi codziennie, co mówił ksiądz. Koniecznie. To ważne.

No i tak – co ksiądz rano wlewał mi do głowy, babcia wieczorem wylewała. Owocne, choć cokolwiek dziwaczne było to moje przysposobienie do dorosłego życia duchowego”.

Po raz drugi Antoni Kroh spotkał się z prawosławiem już w dorosłym zyciu w czeskiej Pradze. Ze zdziwieniem stwierdził, że prawosławni Czesi cieszą się dużym szacunkiem, należą do elity, a prawosławna katedra w Pradze jest ważnym miejscem pamięci narodowej.





Wspomnienia z dzieciństwa i kontakt z czeskim prawosławiem niewiele pomogły autorowi w zrozumieniu łemkowskiego prawosławia. By wyrobić sobie choćby najogólniejszy pogląd, musiał poznawać wszystko od początku. Pamiętając, że zdecydowana większość czytelników jego książki o prawosławiu, a tym bardziej o grekokatolicyzmie, ma znikomą, wręcz żadną, wiedzę, autor w encyklopedycznym skrócie przedstawił najważniejsze fakty.

„A więc: dwa Kościoły, ale prawie identyczna liturgia (z tą różnicą, że unici modlą się za papieża, prawosławni nie). Unici, grekokatolicy i Kościół Bizantyjsko-Ukraiński to różne nazwy dla tego samego Kościoła, zależnie od intencji mówiącego oraz innych czynników, które trzeba brać pod uwagę, jeżeli chce się cokolwiek zrozumieć. Dlaczego „greko"? „Bo tak zdecydowała cesarzowa Maria Teresa, my temu niewinni”. Kościół greckokatolicki jest częścią Kościoła katolickiego, ale wywodzi się bezpośrednio z prawosławia, cezurą jest unia brzeska (1596).

Lecz ową datę należy traktować umownie. Wprowadzanie na Łemkowszczyznę unii, czyli uznanie zwierzchnictwa Rzymu przez (nie wszystkich i nie od razu) prawosławnych hierarchów Rzeczypospolitej, to był proces mocno pogmatwany, dramatyczny, rozciągnięty w czasie. Diecezja przemyska przyjęła unię prawie sto lat później, Łemkowszczyzna opierała się jeszcze dłużej, także kosztem ofiar śmiertelnych.

Z tej przyczyny dwudziestowieczne przechodzenie Łemków na prawosła-

wie można nazwać nie tyle konwersją, co powrotem do źródeł. Połączonym ze wzrostem świadomości etnicznej oraz sprzeciwem wobec ekspansji ruchu ukraińskiego, jako że wielu proboszczów greckokatolickich łączyło swoją kapłańską posługę z agitacją, uważając Łemków za nieuświadomionych Ukraińców, a nie odrębną nację. (Decydowanie o przynależności narodowej ponad głowami zainteresowanych nie było wówczas niczym szczególnym).

Łemkowszczyzna przez stulecia leżała na uboczu, lecz w połowie XIX wieku na skutek zmiany układu sił znalazła się w epicentrum między Wschodem a Zachodem. Zderzały się tu interesy Polski, Ukrainy, Rosji, Austrii, Niemiec. Kwestie wyznaniowe, polityczne, społeczne, narodowościowe splatały się ze sobą.

Powrót do prawosławia zaczął się jeszcze przed pierwszą wojną światową. Bezpośrednim impulsem były próby latynizacji obrządku greckokatolickiego, przeciwko czemu ludność ostro protestowała – ale główna fala nadeszła w latach dwudziestych i trzydziestych. Co człowiek, to decyzja. Ówczesne relacje między grekokatolikami a prawosławnymi nazwano „wojną domową w górach". Włamania, burdy, pobicia, zabór naczyń i ksiąg liturgicznych.

Prawo państwowe, wsparte przez konkordat, stanowiło, że pod względem formalnym cerkwie greckokatolickie wraz z wyposażeniem są własnością Kościoła katolickiego, więc wierni, zmieniając wyznanie, tracili do nich prawo. Ale te cerkwie budowali i utrzymywali mieszkańcy wsi, dawni i obecni, więc... W Izbach w powiecie gorlickim cała parafia wraz z księdzem przeszła na prawosławie. Czyja ma być cerkiew? Przepaść między literą prawa a poczuciem sprawiedliwości pogłębiła się dramatycznie.

Dowcip z łemkowskich Czytań, wydanych w 1934 roku:

– Kumie, jakiej jesteście religii?

– Ja się tam do polityki nie mieszam.

Mieszkańcy tradycyjnych wsi byli zasiedzeni od pokoleń, spowinowaceni ze sobą, spokrewnieni, zżyci. Jakie więc koszty psychiczne pociągało za sobą gwałtowne zrywanie więzi społecznych z powodów wyznaniowych i świadomościowych, jak to przebiegało? Tego już nie można odtworzyć. A bez dokładnego opisu lat dwudziestych i trzydziestych nie da się zrozumieć współczesności, ponieważ były to ostatnie dwie dekady bytowania Łemków w ich odwiecznych, naturalnych siedzibach, przedmiot późniejszej idealizacji, nostalgicznych wspomnień, opowieści rodzinnych o raju utraconym. Oraz manipulacji politycznych. Albowiem przestrzeń jest, podobnie jak czas, podstawową kategorią kultury. To, gdzie żyjemy, jest równie ważne jak to, kiedy i jak żyjemy".

Antoni Kroh nie kryje swoich odczuć, gdy pisze o niszczeniu cerkwi, kaplic, krzyży, którym osadnicy obcinali poprzeczne ramiona, by wyglądały jak katolickie.

„Łemkowie, z którymi o tym rozmawiałem, największy żal mieli do Podhalan o dewastację kapliczek i przydrożnych krestów, wypas na cmentarzach i obsianych polach uprawnych oraz zamienianie cerkwi w stajnie dla owiec i bydła (Wołowiec, Bieliczna, Blechnarka, zapewne jeszcze kilka innych, sprawy nie drążyłem, jedynie starałem się zapamiętać, co opowiadano).

Teodor Kuziak, urodzony w Bartnem, namalował obraz przedstawiający wystrojonego Podhalanina, wpędzającego owce do cerkwi w Bielicznej, i podpisał: „Góralu, czy ci nie wstyd...". Kierdel przed wyruszeniem w drogę był zwyczajowo kropiony wodą święconą, każdy redyk wyruszał w asyście Jegomościa – ale jakoś, o ile mi wiadomo, nie znalazł się duchowny, który by wyjaśnił swym wiernym, że cerkiew to świątynia, jak w Ludźmierzu, Dębnie, Zakopanem, Kościelisku. Lecz góralska bogobojność przecie nie zamarła. Opowiadano, że gdy owce spędzono do cerkwi, a baca z juhasami ułożyli się do snu na chórze, ktoś dla śpasu nakrył głowę białą płachtą, stanął za carskimi wrotami i jęknął: Uuuu, Hospody pomyłuj, uuu! Juhasi w jednej sekundzie zerwali się i rzucili do ucieczki, przepychając na schodach, któryś spadł, złamał nogę. A więc jednak musiało do nich docierać, że są w miejscu uświęconym".

W udzielonym „Gazecie Krakowskiej" (2 stycznia 2017) wywiadzie Antoni Kroh wyjaśnia, jak powstał mit prostego, szlachetnego i kochającego wolność mieszkańca Tatr, z którego uczyniono archetyp Polaka. Obraz pobożnych, odważnie broniących krzyża na Giewoncie górali zakłóca przypominanie o ich tępej agresji wobec „nie ich" krzyża i świątyni.

Pisząc o najważniejszych dla każdego człowieka problemach – o miłości do swojej ojczyzny, kultury czy tradycji, o poczuciu wspólnoty i religijno-narodowej tożsamości Łemków – Kroh zauważa rozmaite absurdy i sytuacje wzbudzające śmiech, choć najczęściej to śmiech przez łzy.

Gdy pisze o zacieraniu śladów po wysiedlonych Łemkach – co realizowano m.in. poprzez zmianę nazw miejscowości zawierających słowo „ruski" (tak Królowa Ruska stała się Królową Górną, chociaż sąsiednia, zamieszkała przez Polaków wieś pozostała Królową Polską), przytacza zdarzenie z dworca autobusowego w Gorlicach, gdzie Łemko chce kupić bilet do „Uścia Ruskiego".

„– Panie – słyszy od kasjerski – to już nie te czasy. Mogę sprzedać bilet do Uścia Gorlickiego.

– Niech będzie.

Łemko bierze bilet, odchodzi, mamrocząc: – A ja i tak wysiądę w Uściu Ruskim".

W „Za tamtą górą" czytelnik spotka się z niezwykłymi ludźmi – **Petrem Trochanowskim**, **Teodorem Goczem**, wieloma innymi, dzięki którym Łemkowie, których miało nie być, są, żyją i każdy kto tylko zechce, może wzbogacić się o ich kulturę, tradycje, ich doświadczenia.

Warto wybrać się „Za tamtą górę".

Eugeniusz Czykwin
fot. **Anna Rydzanicz**

Antoni Kroh, *Za tamtą górą. Wspomnienia łemkowskie*,Warszawa 2016, ss. 304.

O ruskiej kulturze Rzeczypospolitej

Z PROF. MARZANNĄ KUCZYŃSKĄ
slawistką z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
laureatką Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
rozmawiają Anna Radziukiewicz i Eugeniusz Czykwin

Przegląd Prawosławny: – Pod redakcją prof. Aliny Nowickiej-Jeżowej z Uniwersytetu Warszawskiego powstaje monumentalne dwunastotomowe dzieło, traktujące o kulturze Rzeczypospolitej i jej związkach z innymi kulturami (*Kultura Pierwszej Rzeczypospolitej w dialogu z Europą. Hermeneutyka wartości*). Wiemy, że Pani Profesor jest zaangażowana w jego współtworzenie.

Marzanna Kuczyńska: – Każdy tom przygotowuje odrębny zespół, pod innym kierownictwem. Jestem redaktorem naukowym tomu, poświęconego prawosławiu i Kościołowi unickiemu: *Między Wschodem a Zachodem. Prawosławie i unia.* Pracuje w nim jedenaście osób. Tom został pomyślany jako synteza dotychczasowych badań językoznawczych, religioznawczych, kulturoznawczych. W tym tomie prawosławie zajmuje około 80 procent treści.

– Skąd taka dysproporcja?

– Badania nad kulturą Kościoła unickiego w Polsce są jeszcze w stadium rozwoju. Można znaleźć historyków, którzy zagłębiają się w dzieje tego Kościoła, ale o kulturologów czy językoznawców jest trudniej.

– Czyli w tomie przeczytamy o kulturze ruskiej Rzeczypospolitej. Kiedy?

– Na jesień tego roku jest przewidziana promocja serii. Tom już został oddany do składu, najpóźniej powinien wyjść we wrześniu br.

– Dotychczas Kościół prawosławny i unicki spotykały się raczej na gruncie gorącej polemiki.

– Tu inaczej. Zaproponowałam zestawienie efektów spokojnych studiów nad kulturą obu konfesji, chociażby, na ile unici zachowali tradycję wschodniochrześcijańską, na ile ją stracili. Sama byłam ciekawa efektu tego zestawienia. Poza tym chciałabym, żeby tom istniejące już mity rozwiewał, a nowych nie budował.

– Czy nie wydaje się Pani Profesor, że za mało mówimy w Polsce o kulturze ruskiej Rzeczypospolitej?

– Myślę, że sytuacja zdecydowanie się tu poprawia. Przyczyniają się do tego studia kulturoznawcze i historyczne, ale także komponent kulturoznawczy dodawany do studiów filologicznych, socjologicznych, etnologicznych. Mamy też w Polsce grupę bardzo dobrych historyków, filologów, „świeckich teologów", zajmujących się tą dziedziną wiedzy. Wszystko to sprzyja rozwojowi badań nad kulturą ruską, którą – jak obserwuję – interesuje się coraz więcej młodych ludzi.

– Żeby jednak u źródeł studiować tę kulturę, trzeba poznać nowy alfabet, język.

– To wielu odstrasza. Słyszę nieraz pytanie – czy sobie poradzę, nie miałam przecież dotychczas żadnego kontaktu nawet z cyrylickim alfabetem, a co dopiero słowem.

– U Pani było podobnie?

– Tak.

– Skąd więc wybór bułgarystyki?

– Może wydać się to dziwne, ale pojechałam z rodzicami jako licealistka na wakacje do Bułgarii, a tam Morze Czarne, opalenizna i Bułgaria tak mi się spodobała, że postanowiłam zdawać na bułgarystykę na Uniwersytet Jagielloński. Rodzicom na pewno mniej, bo rozbili w Bułgarii samochód, a ciężko było porozumieć się z przedstawicielami milicji w innym niż bułgarski języku. Wtedy trudno było dostać się na ten kierunek, jeśli dobrze pamiętam, było czterech kandydatów na miejsce, i jak się niebawem okazało, studia też były trudne – kilka języków obcych, do tego starocerkiewnosłowiański, gramatyka historyczna języka polskiego i bułgarskiego, historia Słowian, historia Bułgarii, historia i teoria literatury polskiej, bułgarskiej, innych literatur słowiańskich. Gruntownie nas kształcono, dawano szeroką perspektywę.

– Mówiła Pani, że w stronę historii zawsze Panią ciągnęło.

– W istocie. I to określiło pole moich badań. Gdy trzeba było pisać pracę magisterską, trafiłam na zajęcia seminaryjne do pewnego młodego docenta, pierwszy raz go spotkałam, wiedziałam tylko, że właśnie wrócił z lektoratu języka polskiego z Włoch. Zapytał: – Słyszałem, że któraś z pań chce pisać pracę z literatury średniowiecznej. – Ja chciałam – odpowiadam. – Ale już nie chcę, bo nie mam do tego tematu materiałów. Musiałabym po nie jechać do Bułgarii. Na co młody docent: – Wystarczy przejść przez ulicę i poszukać ich w dziale rękopisów w Bibliotece Jagiellońskiej.

– Tym docentem był…

– Aleksander Naumow, sławny slawista, który stał się moim nauczycielem, doskonałym przewodnikiem po starych cyrylickich rękopisach i drukach.

– Trudno było?

– Bardzo. Cerkiewnosłowiański miałam na pierwszym roku studiów i myślałam, że już nawet czytać w nim nie potrafię. Profesor Naumow zachęcał: – Pani nie będzie czytać po cerkiewnosłowiańsku, pani będzie czytać o tym języku. – Jak tak, to mogę – zgodziłam się. Ale oczywiście szybko się okazało, że należało zacząć od czytania tekstów cerkiewnosłowiańskich. Wcześniej uczono nas gramatyki cs. Ale żeby operować tym językiem na poziomie systemu kultury, idei i funkcji! To nie było łatwe. A profesor operował z taką lekkością! Chodził po szczytach dla mnie nieosiągalnych, jak wtedy uważałam. Ja, rzymska katoliczka, zaczęłam chodzić do cerkwi,



Prof. Marzanna Kuczyńska

by tam usłyszeć cerkiewnosłowiański w żywym wykonaniu. Śledziłam tekst, słuchałam nabożeństwa. I pisałam pracę magisterską.

– Po studiach od razu praca na uczelni?

– Tak. Zatrudniono mnie na Uniwersytecie Szczecińskim. Uniwersytet w tym czasie, był rok 1986, zamierzał filologię rosyjską przekształcać w słowiańską, szukano więc ludzi o znajomości lingwistycznej szerszej niż rosyjska. I tak dostałam pracę. Ale przyszedł rok 1989, Polska zorientowała się na Zachód, rozbudowano naszą filologię słowiańską o dodatkowe specjalności polonistyczne i germanistyczne, z czasem filologię ukraińską, a projektem południowosłowiańskim przestano się interesować. Nie udało się zorganizować filologii bułgarskiej, zaczęły się trudności z wyjazdami na Bałkany. Urwały się wcześniejsze moje kontakty naukowe.

– Napisała jednak Pani doktorat z rękopisów południowosłowiańskich.

– Tak, ale już pracę habilitacyjną pisałam na temat literatury staroruskiej.

– Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu dał Pani możliwość powrotu do południowej Słowiańszczyzny?

– Uniwersytet ten rozwija filologię słowiańską. Można tu studiować języki serbski, chorwacki, bułgarski, bałkanistykę. Można swobodnie uprawiać swoją dyscyplinę i rozwijać zainteresowania. Każdy nasz student może skorzystać z wyjazdów na studia w Bułgarii (lub zależnie od specjalności do innych krajów). Współpracujemy z uniwersytetami w Sofii, Wielkim Tyrnowie, Płowdiwie. Nasi studenci chętnie też jadą na uczelnie poza stolicą. Niektórzy wybierają mniejsze ośrodki, ponieważ nie muszą od razu wykazywać się tak dużą samodzielnością jak w Sofii. W Poznaniu na slawistyce mamy bardzo dobrych lektorów. Nie tylko sprawnie uczą języków, ale gdy posyłają swoich studentów za granicę, od razu proponują dobre naukowe kontakty, kierują do znanych badaczy, troszczą się, by student miał odpowiednie warunki socjalne, a to jest nie do przecenienia.

– Bywa Pani w Bułgarii. Czy wejście Bułgarii w 2004 roku do Unii Europejskiej stanowi według Pani jakąś cezurę?

– Przed wejściem do Unii czuło się w Bułgarii inność – w kulturze codziennej, architekturze, wystroju wnętrz, kuchni. Było tam mnóstwo ludowych karczm z tradycyjnym jadłem. Idziesz ulicą, a zewsząd kuszą cię zapachy szaszłyków i kotletów z rusztu, zwanych kebabczetami i kjuftetami, specyficznie przyprawionych. W sklepach bloki słonego białego sera (typu feta), krowiego lub owczego, trzymano w wielkich blachach, zanurzone w wodzie. A zapach sklepów z warzywami, pachnących papryką, czuło się na pół kilometra. Wraz z pojawieniem się Unii nastąpiła znaczna kulturowa unifikacja, przynajmniej ja tak to odczuwam. Z ulic znikły ruszty węglowe razem z miejscowymi specjałami i ich niepowtarzalnym smakiem, nie da się po zapachu odgadnąć, którędy iść do warzywniaka.

– Jak więc Bułgarzy postrzegają swoje bycie w UE?

– Jak w każdym kraju w stanie transformacji – przedsiębiorczy i dobrze wykształceni chwalą, ale ludzie, którzy kiedyś pracowali w dużych fabrykach, w państwowych gospodarstwach rolnych nie zawsze widzą koniec kryzysu. To z ich ust można o przemianach ustrojowych usłyszeć: „tak zwana zmiana", „tak zwana demokracja". Gospodarka nie przekształca się tak szybko, jakby tego chcieli. Słychać narzekania na pensje, emeryci chcieliby mieć wyższe emerytury, młodzież dobrze płatne posady, aby nie szukać pracy w innych krajach Unii. Nowy profil gospodarczy zmienił też krajobraz, nie zobaczymy już ciągnących się całymi kilometrami winnic czy sadów brzoskwiniowych, jakie można było oglądać w latach osiemdziesiątych.

– Jaki jest stosunek Bułgarów do Rosjan?

– Jak wiemy, wyzwolenie spod tureckiego panowania przyszło do Bułgarii w 1878 roku. Przynieśli je Rosjanie. Jako pomnik wdzięczności Rosjanom wzniesiono w sercu Sofii słynną katedrę św. Aleksandra Newskiego. Ale kursy polityczne się zmieniały, bywały zupełne zwroty w sojuszach międzynarodowych, owocujące też rusofobią. Najlepszym przykładem jest właśnie katedra Aleksandra Newskiego, która przez kilka lat od wybudowania czekała na poświęcenie. Dziś jednak nie jest to temat, który wzbudzałby większe emocje. Mimo różnych opcji politycznych i starań o wzmocnienie swej pozycji w Unii Europejskiej, Bułgarzy nie zapominają o 1878 roku, o bohaterach ze słynnej przełęczy Szipka, gdzie stoi pomnik Wolności. Są dumni z wprowadzenia cyrylicy na banknoty euro po wstąpieniu ich kraju do Unii Europejskiej.

– Wróćmy do Pani spraw redakcyjnych. Pracuje Pani w redakcji trzech pism naukowych – „Poznańskich Studiów Slawistycznych", „Krakowsko-Wileńskich Studiów Slawistycznych" i „Latopisów Akademii Supraskiej". Taka praca wymaga wiedzy i skrupulatności. Nas najbardziej interesują „Latopisy Akademii Supraskiej", nad którymi przejęła Pani pieczę w 2015 roku. Jaką pozycję ma to pismo na naukowej mapie piśmiennictwa?

- „Latopisy Akademii Supraskiej" są pismem stosunkowo młodym, ale już „dojrzałym". Powołano je do istnienia siedem lat temu pod auspicjami Polskiej Cerkwi Prawosławnej, a szczególnie diecezji białostocko-gdańskiej,

kierowanej przez arcybiskupa **Jakuba**, Uniwersytetu w Białymstoku i Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. Pierwsze numery wyszły pod redakcją naukową dr **Urszuli Pawluczuk** z UwB. W czasopiśmie publikowane są oryginalne opracowania naukowe. Jego profil zakłada charakter interdyscyplinarny, uwzględniający szeroko rozumianą problematykę religioznawczą, teologiczną, historyczną, filologiczną, kulturową, politologiczną. Choć młode stażem, „Latopisy Akademii Supraskiej" zajmują już znaczące miejsce wśród czasopism naukowych. Łamy udostępniane są badaczom ze wszystkich ośrodków naukowych Polski i zagranicy, co pozwala aktywizować współpracę i wymianę międzynarodową, nawiązywać nowe kontakty. Autorzy zagranicznych tekstów pochodzą m.in. z Białorusi, Bułgarii, Czech, Grecji, Litwy, Macedonii, Rosji, Serbii, Słowenii, Ukrainy, Włoch. Upowszechnianiu materiałów publikowanych w piśmie służą elektroniczne wersje poszczególnych tomów, zamieszczane na stronie internetowej, a także w repozytoriach uczelni, z których pochodzą autorzy.

Rada naukowa LS gromadzi uczonych z ważnych ośrodków polskich i zagranicznych. Prace przyjmowane do druku ocenia międzynarodowe grono recenzentów. O renomie czasopisma świadczy fakt, że niedługo od rozpoczęcia działalności zostało ono pozytywnie ocenione przez ekspertów MNiSW i wciągnięte na listę czasopism punktowanych, które uwzględniane są przy ocenie jednostek naukowych i przyznawania im kategorii naukowej. Pismo jest jednak ciągle „na dorobku", a najlepsze lata dopiero przed nim. Korzystając z okazji, chciałabym podziękować zarówno radzie naukowej, aktywnie patronującej czasopismu, jak i kolegium redakcyjnemu, które jest na co dzień zaangażowane w powstawanie i wydawanie LAS, szczególnie kanclerzowi Akademii Supraskiej, o. **Jarosławowi Jóźwikowi**, a także dr. **Jarosławowi Charkiewiczowi**, odpowiadającemu za stronę edytorską pisma.

– Dziękujemy za rozmowę.

Bliski jej Wschód czyli pytania o ruską odrębność



Anna Radziukiewicz napisała nową książkę. Nie reportaż, nie opowieść o ludziach i miejscach, a zbiór własnych przemyśleń o świecie prawosławnym, ściślej – o ruskim świecie prawosławnym, Po latach spotkań, rozmów, podróży, lektur zbudowała osobisty obraz chrześcijańskiego Wschodu, postrzegając go zawsze w kontekście chrześcijańskiego Zachodu. Sama sobie spróbowała odpowiedzieć na pytania o własną wyznaniową i narodową tożsamość, o dziedzictwo kulturowe i tego dziedzictwa korzenie, o to co ją odróżnia od katolickich przyjaciół. Widzi, dzięki międzynarodowym kontaktom, więcej niż przeciętni ludzie, czuje, dzięki duchowej literaturze, w którą latami się wczytywała, głębiej niż my na co dzień. Książka jest zaproszeniem do podróży, w której autorka chce być naszym nie tyle przewodnikiem, ile towarzyszem.

Zaczynamy tę podróż od próby określenia, co znaczy „Ruski". A zatem od cytatu. „– Świat dzieli się na ruski i polski – mówił wuj Włodzimierza Pawluczuka z Ryboł. Polski świat to całe to obce i nie nasze. A ruski świat to bardzo prosto – nasz świat, domowy, wioskowy, cerkiewny, poukładany, zrozumiały.

Włodzimierz Pawluczuk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, siadał z wujem w Rybołach na ławce przy drodze i gawędził. Drogą jechali ludzie z północy na południe, choćby z Rygi do Aten, i ciągnęli na północ, do Wilna czy Petersburga, bo droga łączy ziemie znad Bałtyku z Bałkanami.

Profesor opowiadał wujowi o podróży służbowej do Francji. – A tam jakie żyją, polskie czy ruskie – pytał wuj. – Polskie, odpowiadał profesor. Podobnie gdy wrócił z Włoch. – Tam polskie – wyjaśniał wujowi. O to samo zapytał wuj, gdy wrócił z Bułgarii. – Tam ruskie – usłyszał. Siadywali tak jeszcze na początku wieku XXI, w Rybołach koło Białegostoku, we wsi nanizanej na tę drogę. Za ich plecami, na wschód, pęczniał żywioł ruski, przed oczami, na zachód, gęstniał polski. A oni siedzieli na granicy, jak na murze kamiennym, rozdzielającym dwa światy".

Ten ruski, co autorka odczuła już w dzieciństwie, na zewnątrz uchodził za gorszy, taki, którego się trzeba wstydzić, bo kojarzy się z „imperium zła", brakiem cywilizacji, niską kulturą. Lepiej by było się do niego nie przyznawać, wtopić w ten „lepszy". Im była starsza, tym wyraźniej widziała zlepioną z mitów, stereotypów, fałszywych wyobrażeń i zwyczajnych kłamstw przezroczystą barierę. Niby jej nie dostrzegamy, a rozdziela.

Dlatego przyjrzała się początkom ruskiego świata, który utożsamiony został z prawosławiem. Kijów, Połock, Nowogród Wielki, początki piśmiennictwa, której to umiejętności nie ograniczano do wąskich elit, wznoszenia świątyń, w których zamknięto arcydzieła sztuki malarskiej, państwowości, która dysponowała sprawną administracją. Kiedy rozbicie ruskich księstewek dobiegło końca i wyłoniły się dwa ośrodki, zbierające ruskie ziemie – Księstwo Moskiewskie i Wielkie Księstwo Litewskie, język ruski stał się w tym drugim językiem państwowym, językiem sporządzania dokumentów i kontaktów elit.

Kultura ruska rozkwitała i dopiero czynniki polityczne i konfesyjne zaczęły w XVII stuleciu spychać ją na margines. To naciski zewnętrzne, nie wewnętrzna słabość, zaczęły „ruskość” deprecjonować, czynić czymś drugorzędnym. Ruska szlachta nie aspirowała do polszczyzny, aspirowała do polskich swobód stanowych, urzędów, godności. A że ceną było wyzbycie się ruskiej „odmienności”? Tę cenę gotowe były ponieść. I poniosły. Szlachta, która teraz z lubością nazywa się „kresową” i uważa za matecznik polskości, ma ruskie korzenie, ale się do nich na ogół nie przyznaje (albo i nie jest ich świadoma), choć to jej przodkowie wybrali bezpieczniejszy i dający szanse na awanse świat polszczyzny i katolicyzmu.

Ruskość, wyrzucona z salonów, szybko stała się tylko chłopska, prosta, niewykształcona. A kiedy w Państwie Moskiewskim przekształciła się w rosyjskość, na ziemiach Rzeczypospolitej też ją zmieniano – w białoruskość i ukraińskość.

Nie jest moim zamiarem streszczanie tej książki. Warto jednak zobaczyć, jak autorka wzięła się za bary ze stereotypami, wyławia je, obnaża.

A w książce z Rusi drogi prowadzą do Rzymu, byśmy lepiej zrozumieli, jak za sprawą barbarzyńskich Franków coraz szybciej rozchodziły się drogi Wschodu i Zachodu i skąd wzięło się to straszne poczucie wyższości Zachodu, nie tylko wobec Wschodu, ale i reszty świata. I skąd się wzięło przekonanie, że wieki średnie pozbawione były wszelkiej wartości, były czasem zapaści między kulturą antyczną a owej antyczności odrodzeniem, przez co całą epokę nazwano renesansem. A przecież w wiekach umownie średnich w Cesarstwie Wschodniorzymskim rozwijała się i nauka, i kultura, i sztuka w nowej, chrześcijańskiej odsłonie. Cesarstwo Rzymskie, po upadku Rzymu trwało jeszcze ponad tysiąc lat i nie da sie tego czasu zamknąć w jednym słowie – średniowiecze.

Zachód i Wschód budują własne legendy. Na zachodzie pojawia się legenda rycerza – szlachetnego obrońcy, na wschodzie legenda mnicha, który w odosobnieniu, modlitwą, ratuje świat.

Autorka fundamenty duchowego, mniszego oglądu świata odnajduje na Pustyni Synajskiej, gdzie św. Jan Klimak wskazywał hezychastyczną drabinę do nieba, w Salonikach, skąd św. Grzegorz Palamas dawał odpór odrodzeniowym prądom, na pierwszym miejscu stawiającym człowieka i siłę jego rozumu, u podnóża Świętej Góry Atos, mniszej republiki, skąd promieniowały wzorce życia w łączności z Bogiem, spoglądania raczej w głąb siebie, niż poszukiwania mądrości w świecie.

Na polskim gruncie autorka pyta o początki chrześcijaństwa na na naszej ziemi, o to jak szeroki był zasięg nauczania Świętych Braci Cyryla i Metodego, o ślady ich działalności w materii i duchu. Bo to może tam trzeba szukać źródła zachwiania naszej kultury, tych wszystkich uporczywych prób oderwania się od Wschodu w sensie kulturowym, co z czasem zaowocuje wykutą przez romantyków wizją Polski-przedmurza, Polski-Mesjasza, który stawia tamę płynącej ze Wschodu groźbie.

Ale w sensie politycznym państwo polskie śmiało dąży na wschód. Układy z Wielkim Księstwem Litewskim doprowadzają do niewyobrażalnego wręcz rozszerzenia wschodniej granicy wpływów. Właśnie, wpływów. Bo Polska od początku miała kłopot z zaakceptowaniem tego, co na wschodzie zastała, z uznaniem siły, odrębności, autonomii czynnika ruskiego w państwie, które coraz bardziej stawało się wspólne.

I usiłowała tę odrębność wszelkimi sposobami zniwelować. Służyły temu misje polskich zakonów, nawracające na „jedyną słuszną wiarę”, służyły zachęty polityczne do porzucenia wiary przodków, bo bez tego zamykały się drzwi do kariery, służyła wreszcie unia religijna, zawarta a 1596 roku w Brześciu, próba podporządkowania prawosławia Rzymowi, choćby na ograniczonym terytorium jednego państwa.

Cena tej ekspansji, jak mówią, przynajmniej niektórzy, historycy, okazała się straszliwa. Brak zrozumienia dla odrębności Wschodu, przekonanie, że tylko rzymski katolicyzm niesie prawdę i nieskażoną wiarę, że poza nim nie ma zbawienia, że warto deptać dusze i łamać sumienia, bo niesie się im coś o wiele cenniejszego niż to, czym dysponują, dążenie do narzucenia własnej wizji nie tyle wspólnoty ile unifikacji, okazały się początkiem końca wielkiego państwa, którego potęga, bardziej niż pod naciskiem sąsiadów, zapadała się pod ciężarem własnych błędów.

Na stronach książki **Anny Radziukiewicz** pojawia się cała galeria postaci niezwykłych, które nie wyrażały zgody na taki porządek świata, jak chociażby Stefan Zizanij, Leoncjusz Karpowicz, a zwłaszcza Atanazy Brzeski, który za tę niezgodę zapłacił życiem, ona jednak całą dychotomię Wschodu i Zachodu usiłuje oddać przez zderzenie dwóch osobowości – Napoleona i św. Serafina z Sarowa. W nich skupiają się wyobrażenia i postawy z obu krańców tych światów.

I jeszcze jeden wątek – ilustracje, głównie fotografie własne, plon wielu lat podróży po Europie, przede wszystkim prawosławnej, i chrześcijańskim nieco dalszym Wschodzie. Książka to mały album, także do oglądania.

To co napisałam to ani streszczenie, ani nawet zapowiedź tego, co czeka czytelników. Imponująca perspektywa historyczna, jasność formułowania myśli, bogactwo porównań, smakowity język, siła argumentacji czynią z niej pracę niezwykłą, frapującą i wciągającą, bezcenną dla prawosławnych, a kto wie czy nie bardziej potrzebną rzymskim katolikom. „To tak nas widzicie?” – mogliby zapytać.

Pytania są tu zresztą sprawą podstawową. Autorka nie dzieli się z nami prawdą objawioną, nie wykłada z katedry, ona poszukuje odpowiedzi i wskazuje tropy, które wybrała. Warto pójść tym śladem.

Dorota Wysocka

Anna Radziukiewicz, *Bliski mi Wschód*, Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, Białystok 2017, ss. 352.

Tak go pamiętam… I

Był rok 1935. Byłam w piątej klasie szkoły powszechnej. Na lekcji religii nasz katecheta, pan **Konstanty Wieczorko**, nakazał **Ludce Małkusz** i mnie przyjść przed Liturgią do naszej cerkwi Podniesienia Krzyża w Łunińcu. – Będziecie witać nowego proboszcza. To mnich.

Nasz wiekowy proboszcz, ojciec **Fiodor Drużyłowski**, odszedł na emeryturę, a młody wikary **Michał Maksymiuk** dostał samodzielną parafię nad samą sowiecką granicą, w Lenino.

W domu przy obiedzie powiedziałam o poleceniu katechety.

– Byłam dzisiaj w sklepie galanteryjnym – powiedziała ciocia – zakupić wiosenne rękawiczki. W sklepie był prawosławny duchowny. W kłobuku, mnich. Sprzedawca rozłożył przed nim wiele rękawiczek, a on wybrał taniutkie, szare, niciane.

Nadeszła Niedziela Przebaczenia Win. Przed wejściem do świątyni stała mała grupka parafian. Wszyscy czekają, komentują: kto on? jaki będzie?

Nigdy nie widziałam mnicha. Wyobrażałam go sobie jako staruszka z siwą brodą. A oto zbliża się do nas – młody, z brodą nie siwą a czarną, w kłobuku, ze zwiniętym parasolem w ręku, lekko uśmiechnięty, z łagodnymi, pytającymi oczami. Dzwonnik **Mitrofan** wręcza klucze do cerkwi, diakon **Ioan Sobolewski** podaje krzyż, starosta, pan **Mikołaj Chmielewski**, chleb, sól i szaty liturgiczne.

Tego dnia na Liturgii było mało ludzi, ale do wieczora wieść o nowym duchownym rozniosła się po mieście i na wieczornym nabożeństwie cerkiew była przepełniona. Nabożeństwo celebrował archimandryta **Gieorgij**. I wygłosił kazanie, jakiego tutejsi parafianie nie mieli jeszcze okazji wysłuchać. Mówił cicho, ale tak przejmująco, że ludzie płakali. Po nabożeństwie otoczono go ciasno, niektórzy starsi chwytali i całowali jego ręce, wołano: – Zostań u nas, bądź naszym pasterzem! Jednym słowem – zamieszanie. Archimandryta, bardzo wzruszony i zażenowany, kroczył powoli ludzkim szpalerem.

Do Łunińca przybył z monasteru w Żyrowicach. Towarzyszyli mu *jeromonach* **Andriej**, *kielejnik* **Wiktor** i monachini **Annuszka**. Ogromny dom parafialny był pusty, wobec tego starosta cerkiewny poprosił parafian o pomoc w jego zagospodarowaniu. No i zaczęło się zwożenie, znoszenie co kto mógł i chciał dać – ziemniaki, faskę kiszonej kapusty, beczułkę solonych ogórków… **Niedzwiedzik** podarował dużo świec woskowych i wiaderko miodu, pani **Oboleńska** przysłała, właściwie wypożyczyła, pianino, sąsiedzi domu parafialnego wyposażyli kuchnię w potrzebne sprzęty i naczynia, trzy siostry **Radziukowe** przysłały piękną atłasową kołdrę własnej roboty i dwa powleczenia. Pani **Panina** podarowała zastawę stołową, ktoś na ganek podrzucił obrus i dwa ręczniki… Wujostwo posłali fotel, nieduży dywan i samowar oraz pokaźną ilość książek klasyków rosyjskich. Dziad, **Iwan Łoś-Niewdach**, zobowiązał się stale dostarczać opał, nabiał i ryby. Ktoś wpuścił do obejścia kurę i koguta, ktoś zostawił na ganku worek suszonych owoców, jeszcze ktoś inny zwój samodziałowego płótna. Parafianie byli szczodrzy i szczęśliwi, pomagając *naszym monacham*. Do Wielkanocy dom był wysprzątany i godnie urządzony. Życie cerkiewne ustabilizowało się, wszystkie nabożeństwa odbywały się regularnie. Wkrótce przybył nowy wikary, ojciec **Andrzej Łukaszewicz**, absolwent prawosławnego studium w Warszawie. W gimnazjum wznowiono naukę religii.

Zbliżała się *strastnaja siedmica*. Pan **Wieczorko**, dyrygent chóru cerkiewnego, intensywnie ćwiczył wielkanocne śpiewy. Mnich Andrzej nauczył dzwonnika Mitrofana *strastnego* dzwonienia.

Za poprzedniego proboszcza w Wielką Sobotę odbywało się tylko jedno nabożeństwo – o godzinie 10. Archimandryta zapowiedział nabożeństwo o godzinie 6.00 rano z uroczystą procesją z *Płaszczenicą* dwukrotnie dookoła cerkwi. Sceptycy szeptali: – Kto tak wcześnie przyjdzie do cerkwi? Rano świątynia była pełna po brzegi. Słysząc oryginalne dzwonienie i piękny śpiew, ludzie zatrzymywali się na przyległych ulicach, odkrywając głowy.

Na Liturgii o godzinie 10 znowu było pełno. I tu – novum. Przy zamkniętych carskich wrotach, kiedy duchowni przeoblekają się z czerni w białe szaty liturgiczne, przy czytaniu Dziejów Apostolskich, z chóru na środek cerkwi zeszło trzech chórzystów. Stojąc przed *Płaszczenicą* w czasie otwierania carskich wrót w miejsce *Allełuja* zaśpiewali *Woskriesi ot groba Carju Ziemli z martwych*. Śpiew był tak piękny, tak uduchowiony, że docierał do najbardziej tajemnych zakątków dusz. Ludzie, płacząc, wznosili wzrok ku niebu, jakby widząc zmartwychwstającego Chrystusa. Wrażenie to dopełniło nagłe oświetlenie *Płaszczenicy* promieniami słońca, padającymi z okien świątyni. Zwyczaj ten utrwalił się w tradycji chóru. Śpiewać przed *Płaszczenicą* – to był wielki zaszczyt.

W 1939 roku, w ostatnią przedwojenną Wielkanoc, dyrygent chóru wyznaczył do spiewania **Simę Biesan**, Ludę Małkusz i mnie. Długo się wahałam. Czy jestem godna? Czy podołam? Wybór dyrygenta zaakceptował archimandryta, mówiąc: – Zaśpiewaj. To będą twoje piękne wspomnienia.

Po długich próbach i ćwiczeniach zaśpiewałyśmy. Pięknie zaśpiewałyśmy! Podobno posłuchać naszego chóru przychodzili incognito katoliccy duchowni. Osobiście widziałam w cerkwi młodego wikarego, księdza **Wilhelma Kubsza**, późniejszego głównego kapelana Wojska Polskiego Kościuszkowców.

Jeszcze w Wielki Czwartek 1935 roku pan Chmielewski ogłosił, że księża wyrazili gotowość odwiedzania domów parafian i poświęcania świątecznych potraw.

Po godzinie 14 moje obie ciocie poszły do cerkwi dekorować naszą wotywną ikonę Zbawiciela, poda-





Archimandryta Gieorgij ze swoim kielejnikiem na ulicy Łunińca, niżej cerkiew Podwyższenia Krzyża w Łunińcu

rowaną cerkwi w 1929 roku jako dziękczynienie za uratowanie życia rodziny **Andrejewych** w płonącej Rosji. Ja razem z wujem zostałam w domu w oczekiwaniu na duchownych. Przybył archimandryta z diakonem. Po odpowiednich modlitwach i oświęceniu wielkanocnego stołu (ach, cóż to był za stół, z babami, mazurkami, obowiązkową paschą i sękaczem, mięsiwami, przystawkami i hiacyntem) archimandryta zwrócił uwagę na dużą fotografię, wiszącą między oknami. Długo jej się przyglądał. Na zdjęciu – rodzina Siłajewych tuż po ślubie starszej córki, **Marii**, z **Aleksandrem Andrejewym**. Na samym jego dole, w bieli, siedziało troje dzieci: **Nadzińka** – moja mama, jej młodsza siostra **Luba** i śliczny chłopczyk z bujnymi loczkami w marynarskim mundurku z kordzikiem, **Aloszeńka**, krewny.

Archimandryta bardzo cicho powiedział: – Taka fotografia wisiała do rewolucji w moim rodzinnym domu w Carskim Siole. Ten chłopczyk to ja, Aleksiej Korenistow. Gieorgij to moje mnisze imię.

Trudno opisać atmosferę, jaka zapanowała po tych słowach. Wielka konsternacja, poruszenie i wzruszenie. Ale na duchownych czekały inne rodziny. Umówiono się więc na rodzinne spotkanie w drugi dzień świąt.

W Wielki Poniedziałek dziadek mój zajechał przed cerkiew dawno nieużywanym powozem, zaprzężonym w parę koni z **Hołoidą** na koźle. Archimandrytę Gieorgija, odzyskanego członka rodziny, wieziono ulicą Cerkiewną z pełną atencją, tak że spotykani po drodze ludzie czapkowali.

Po uroczystym obiedzie cała rodzina zasiadła w salonie. Nam, dzieciom, zakazano odzywania się bez pytania, a my – radzi, że pozwolono nam przebywać ze starszymi – siedzieliśmy jak trusie i z otwartymi z przejęcia buziami słuchaliśmy opowieści starszych. Tylko nie rozumieliśmy ani trochę, dlaczego oni wszyscy płakali…

– W marcu 1918 – mówił archimandryta Gieorgij – w dzień moich osiemnastych urodzin, w czasie rugowania nas z Carskiego Sioła, zmarła moja mama. Po bezskutecznych poszukiwaniach rodzeństwa, siostry **Olgi** i brata **Aleksandra**, po przymusowym opuszczeniu Carskiego Sioła, zamieszkałem w zaprzyjaźnionym domu…

Z opowieści wyłaniały się powoli losy ojca archimandryty. W 1920 roku przedostał się do Rygi, potem do Wilna. Tam podjął studia w seminarium wileńskim, ucząc się intensywnie zwłaszcza języków – greki, łaciny i hebrajskiego. Potem przeniósł się do seminarium krzemienieckiego, a po jego ukończeniu wstąpił do monasteru w Poczajowie, gdzie wkrótce otrzymał postrzyżyny mnisie i przyjął imię Gieorgij. W sierpniu 1929 roku otrzymał święcenia diakońskie, a zaraz potem – kapłańskie. Później na Uniwersytecie Warszawskim uzyskał dyplom magistra teologii.

W 1930 roku monaster odwiedził biskup piński i poleski **Aleksander** (**Inoziemcow**). Zaproponował archimandrycie objęcie którejś z prawosławnych parafii na terenie centralnej Polski – w Toruniu, Kaliszu, Kielcach czy Radomiu. W tamtych parafiach panował duży ruch. Wierni przyjeżdżali, wyjeżdżali, przychodzili nowi, najczęściej uciekinierzy z bolszewickiej Rosji, nowi też gdzieś odchodzili, szukać innego, może lepszego życia.

W 1935 roku został skierowany do Łunińca na stanowisko proboszcza i tu, niespodziewanie, spotkał rodzinę.

Alosza Korenistow to siostrzeniec i chrześniak mojej babci **Jewdokii Siłajewej**. *Dworanin* z tulskiej guberni **Nikita Siemionowicz Sił-Siłajew** ożenił się z najstarszą córką *dworanina* z kałuskiej guberni, Gonczarowa – Jewdokiją. Najmłodsza córka z tej rodziny, **Jelizaweta**, wyszła za arystokratę **Bazylego Korenistowa**. Rodzina Korenistowych od zawsze była blisko związana z carskim dworem, szczególnie za **Aleksandra III** i **Mikołaja II**. Mężczyźni z tej rodziny piastowali wysokie stanowiska w

marynarce wojennej. Ojciec archimandryty, oficer floty bałtyckiej, zginął w wojnie japońskiej w 1905 roku. Ciocia Jelizaweta, matka archimandryty, była chrzestną mojej mamy, **Nadieżdy Nikiticznoj Siłajew**. Moja mama wyszła za mąż za bojara Wielkiego Księstwa Litewskiego, **Josifa Iwanowicza Łoś-Niewdacha**, osiadłego od pokoleń w guberni mińskiej na Polesiu. Małżeństwo to uchodziło za mezalians, ale to Dworzyszcze Łosia-Niewdacha stało się przytuliskiem dla resztek zbiegłej z płonącej Rosji rodziny Siłajewych…

Archimandryta Gieorgij stał się odtąd prawie naszym domownikiem. Często korzystał z zaproszeń mego dziada i wspólnie objeżdżali pola, lasy i łąki. Lubił wędrować po skoszonej łące, między łanami zbóż albo po leśnych przesiekach. Był bardzo skromny. Ludzie uwielbiali go. Spowiedź u niego była prawdziwym przeżyciem.

Raz w miesiącu, zawsze w czwartek o godzinie 16, archimandryta odwiedzał nasz dom. Jego wizytę zapowiadał *kielejnik* Wiktor. Przed przybyciem gościa ciocia **Marusia** nakazywała porządnie uczesać się, obuć (latem lubiłam boso biegać po podwórku, ale nie w mieszkaniu, bo bose stopy zostawiały ślady na woskowanej podłodze). Gościa częstowano białym winem. Nam, dzieciom, po udzieleniu błogosławieństwa nakazywano opuścić salon. Wiktor na zakończenie wizyty siadał na ławeczce w kwietniku, a mnie ciocia kazała mu towarzyszyć i częstowała nas łakociami.

Okres proboszczowania archimandryty Gieorgija w naszej parafii (1935-1938) znacząco podniósł prestiż Cerkwi i w ogóle prawosławia w Łunińcu.

W maju 1936 roku mieliśmy zaszczyt gościć arcybiskupa pińskiego i poleskiego Aleksandra (Inoziemcewa). Na uroczystym nabożeństwie cerkiew była przepełniona. Na pogoście też było ciasno. Wśród zebranych zaproszeni oficjalni goście – starosta i burmistrz.

Z inicjatywy archimandryty Gieorgija i jego sumptem sprowadzono kopię cudownej Poczajowskiej Ikony Bogarodzicy. Piękną ikonę w bogatej oprawie powieszono w cerkwi na niebieskich szarfach wysoko nad carskimi wrotami. W każdą niedzielę po zakończeniu Liturgii spuszczano ikonę przed carskie wrota i wszyscy, klęcząc, śpiewali *Pad Twaju Miłost'*, intonowane przez archimandrytę, a głos miał – jak twierdził dyrygent naszego chóru – atłasowy, a parafianie mówili – anielski.

Na *Wodoswiatije* chodziliśmy na tzw. „plac trzech krzyży". U styku ulic Pierackiego, Lermontowa, Młodzianowskiego i Starosielskiej „od zawsze" stały krzyże – jeden bardzo wysoki i dwa mniejsze. Była tam także stara cembrowana studnia z żurawiem. Staraniem ojca archimandryty wyremontowano studnię, próchniejące krzyże wymieniono na nowe, dębowe, zasadzono kwiaty, a całość ogrodzono. Przed rokiem 1936 na *Wodoswiatije* chodziliśmy do tych krzyży najkrótszą drogą, ulicą Starosielską. Ale w 1936 roku na *Jordana* szliśmy uroczystą procesją przez centrum miasta. Procesja kilka razy zatrzymywała się. Modlono się wtedy za ojczyznę, za miasto i za jego mieszkańców. Przed budynkiem starostwa do procesji włączyli się starosta z zastępcą, burmistrz i komendant policji. Na czele szła połączona orkiestra gimnazjum i Straży Pożarnej. Łuniniec nigdy do tej pory nie oglądał takiej manifestacji prawosławia! Podczas oświęcania wody w niebo wzbił się obłok białych gołębi. Mimo srogiego mrozu ulice były zapełnione.

Archimandryta Gieorgij wprowadził do parafii nowość – pielgrzymowanie. Z jego inicjatywy zbierała się grupka chętnych i pieszo wędrowało się – a to na *Świętej Trójcy* sześć kilometrów do Wólki, gdzie stała drewniana cerkiew z XVI wieku (rozerwana traktorem w 1961 roku), a to na *Uspienije* czternaście kilometrów do Działtowicz (skąd wracało się już pociągiem).

Z rozrzewnieniem wspominam te pielgrzymki. Świątynie, najczęściej zabytkowe, udekorowane papierowym kwieciem, haftowanymi samodziałowymi ręcznikami, do tego oryginalne śpiewy na wiejską nutę. Świątynie przepełnione, ludność miejscowa odziana w ludowe stroje – lniane koszule, fartuchy haftowane krzyżykiem, samodziałowe świtki i łapcie, wszystko czyściutkie, wyprasowane (pod gorącym chlebem). Ludzie zapraszali do swych chat, częstowali leśnym miodem, jagodami, chlebnym kwasem.

Archimandryta był bardzo tradycyjny, niechętnie widział w cerkwi mężatki bez nakrycia głowy, od dziewcząt oczekiwał skromności. Pamiętam taki incydent – jechałam rowerem. W wąskiej alejce zobaczyłam ojca archimandrytę. Zeskoczyłam i stając na poboczu dygnęłam na powitanie. – Czy rodzina wie, że jeździsz męskim rowerem? – zapytał duchowny. – Panience nie godzi się dosiadać męskiego roweru. Nie śmiałam już wsiąść na rower i jak po rozpalonej blasze szłam obok ojca Georgija, prowadząc rower przez centrum miasta. W domu opowiedziałam o tym spotkaniu i wkrótce kupiono mi „damkę".

Archimandryta był człowiekiem o wysokiej kulturze osobistej i dużej łagodności. Nigdy nie podnosił głosu, nie zwracał komukolwiek uwagi publicznie. Jeśli ktoś w jego obecności popełniał gafę – *posłusznicy* albo ktokolwiek – dyskretnie, w cztery oczy, korygował niewłaściwe zachowanie.

Było tak poza jednym, jedynym razem.

W Wielki Czwartek 1937 roku na wieczorne nabożeństwo stawiło się tylko dwóch *posłuszników*. Coś się stało! Coś musiało się stać, skoro najstarsi opuścili tak ważne nabożeństwo. W piątek rano w gimnazjum gruchnęła wieść – nasi koledzy **Tolik** i **Kolka**, a z nimi uczeń szkoły zawodowej **Aleksander** zostali aresztowani! Dlaczego?! Za co?

Po południu poszłam na *Wynos Płaszczenicy*. Przed wejściem do świątyni, na *papierci*, tłoczył się tłum ludzi. Przepchałam się możliwie delikatnie do środka i co widzę? Na solei przed carskimi wrotami klęczą Aleksander, Mikołaj i Tolik. Stojący przy nich diakon skanduje: – Dziewięć, dziesięć, jedenaście… Delikwenci rytmicznie podnoszą się i padają na kolana – biją pokłony. Wybili ich sześćdziesiąt.

Cóż się okazało? Chłopcy postanowili zabawić się w „chemików". Za-

kradli się do gabinetu chemicznego w gimnazjum, chcąc zdobyć odpowiednie materiały i tu przyłapał ich woźny. Gimnazjalistów rugowano ze szkoły (rodzice przenieśli ich do gimnazjum w Pińsku), a kozłem ofiarnym stał się Aleksander, najstarszy z tej trójki (19 lat) i pochodzący z ubogiej rodziny. Nie znalazł oparcia ani w szkole, ani w rodzinie – rozgniewany ojciec wygnał go z domu.

Zaopiekował się nim archimandryta Gieorgij. Nałożył na niego srogą pokutę – przez siedem tygodni, w każdą niedzielę przed Liturgią, musiał bić sześćdziesiąt pokłonów, miał obowiązek podjąć naukę języka cerkiewnosłowiańskiego, zgolić głowę i pracować zarobkowo, a zarobione pieniądze oddawać matce.

Warunki tej pokuty nikogo nie zdziwiły ani nie oburzyły. Mój wuj Aleksander Andriejew przyjął winowajcę na naukę języka starocerkiewnosłowiańskiego i postarał się o pracę dla niego w cukierni „Warszawianka". Ojciec Aleksandra pozwolił mu wrócić do domu, ale najpierw dorosłemu już synowi sprawił bolesne lanie. W dzień Świętej Trójcy w obszernym kazaniu dużo było mowy o winie, karze i darze przebaczenia…

W lipcu 1938 roku ojciec archimandryta został odwołany do Pińska do dyspozycji biskupa Aleksandra. Łuninieccy parafianie z żalem żegnali lubianego proboszcza. Na miejsce ojca Gieorgija przybył ojciec **Ioan Bekisz**, wspaniały człowiek i kaznodzieja. Na czas jego służenia w parafii łuninieckiej przypadły trudne lata wojny. Zmarł w USA jako metropolita Alaski.

Ostatni raz archimandryta był w Łunińcu 14 sierpnia 1939 roku, celebrując żałobne nabożeństwo w czasie pogrzebu mego wuja Aleksandra.

Biskup piński i poleski często podróżował po Polsce i za granicę – więc ojciec Gieorgij, jako dyrektor biskupiej kancelarii, miał możność zapoznać się z wieloma sprawami całej diecezji. Mówiono, że przygotowuje się do chirotonii

Raisa Kwiatkowska
fot. **archiwum autorki**

Nazwy świąt i dni świątecznych

Nakładem Uniwersytetu w Białymstoku ukazało się niedawno nieduże opracowanie „Specyfika polskiej terminologii prawosławnej. Koncepcja normatywizacji pisowni". Tytuł brzmi uczenie, ale to po prostu poddana pod dyskusję propozycja zespołu, w skład którego weszli arcybiskup Jakub, ojcowie Jerzy Tofiluk, Marek Ławreszuk, Włodzimierz Misijuk i Jarosław Charkiewicz. Spróbowali wnieść nieco ładu do tej dziedziny i poddać ją dyscyplinie. My zobowiązaliśmy się przedrukowywać fragmenty książki, by dać jak najszerszemu gronu czytelników szansę na zapoznanie się z tą kwestią. Tym razem o nazwach świąt i dni świątecznych, a właściwie o ich pisowni.

Wszystkie człony liturgicznych, oficjalnych i zwyczajowych nazw świąt piszemy wielką literą – mówią autorzy. W nazwach świąt nie stosujemy przecinków przed dopowiedzeniami.

Nazwy liturgiczne i oficjalne: Święta i Wielka Niedziela Paschy, Zmartwychwstanie Chrystusa, Pascha Chrystusa, Wniebowstąpienie Pana Boga i Zbawiciela Naszego Jezusa Chrystusa, Narodzenie Najświętszej Władczyni Naszej Bogurodzicy i Zawsze Dziewicy Marii, Narodzenie Pana Boga i Zbawiciela Naszego Jezusa Chrystusa, Opieki Najświętszej Władczyni Naszej Bogurodzicy i Zawsze Dziewicy Marii, Sobór Trzech Wielkich Hierarchów i Nauczycieli Kościoła Bazylego Wielkiego Grzegorza Teologa i Jana Chryzostoma.

Nazwy zwyczajowe: Boże Narodzenie, Chrzest Pański, Pokrow.

Określenie „święto" zapisujemy małą literą, jeśli nie stanowi integralnej części nazwy (tj. może być pominięte, a nazwa będzie zrozumiała, innymi słowy nazwa właściwa może wystąpić samodzielnie), w przeciwnym wypadku stosujemy wielką literę, np. święto Pierwszego i Drugiego Odnalezienie Głowy św. Jana Chrzciciela, święto Wspomnienia Cudu św. Teodora Tyrona.

Możliwy jest również zapis nazw dni świątecznych z zastosowaniem dopowiedzeń, które stają się wówczas integralną częścią nazwy własnej, np. Odnalezienie Relikwii św. Bazylego Biskupa Amazyjskiego (ale gdyby chodziło o wydarzenie jako takie, właściwy byłby zapis odnalezienie relikwii św. Bazylego, biskupa amazyjskiego).

Jeśli wyrazy dzień i święto stanowią integralną część nazwy własnej, tzn. nazwa właściwa nie będzie bez nich zrozumiała, należy je zapisywać wielką literą, np. Święto Spasa.

Zapis Niedziela Wielkanocna odnosi się do Paschy Chrystusa, podczas gdy niedziela wielkanocna – do jednej z kilku niedziel w okresie wielkanocnym.

Nazwę wigilia zapisujemy małą literą, jeśli mamy na myśli wieczerzę, przyjęcie, spotkanie, dzień poprzedzający jakikolwiek inny dzień lub święto...

Nazwy typu pierwszy czwartek miesiąca, pierwszy piątek miesiąca, pierwsza sobota miesiąca, niedziela zapisujemy małą literą. Nazwy poszczególnych niedziel roku liturgicznego również zapisujemy małymi literami, np. trzecia niedziela po Pięćdziesiątnicy, 3 niedziela po Pięćdziesiątnicy (III niedziela po Pięćdziesiątnicy)..

Nazwy obrzędów i zwyczajów związanych z danym świętem zapisujemy małą literą, np. obrzęd przebaczenia win.

Nazwy okresów liturgicznych piszemy w zasadzie małą literą, na przykład święte dni, maslenica, post filipowy, post piotrowy, wielki post. W tradycji prawosławnej wyjątki stanowią następujące okresy: Wielki Tydzień (wraz z wyszczególnieniem każdego dnia, np. Wielki Poniedziałek, Wielki Czwartek), Tydzień Paschalny, Pascha Krzyża. Dopuszczalne formy zapisu to także Wielki Post – Czterdziesiątnica.

opr. **Dorota Wysocka**

Zabytki cerkiewnosłowiańskiego piśmiennictwa. Pierwsze druki Iwana Fiodorowa i Piotra Mścisławca, Apostoł, wydany w Moskwie w 1564 i Evangelije Učitielnoje, wydane w Zabłudowie w 1569 roku

Perła w koronie słowiańskiej kultury

O języku cerkiewnosłowiańskim w perspektywie aktualnej i przyszłej praktyki liturgicznej, mówił o. Stanisław Strach 25 maja w białostockim Centrum Kultury Prawosławnej, na spotkaniu zorganizowanym przez Bractwo Trzech Świętych Hierarchów. Wykład zgromadził kilkudziesięciu, żywo reagujących, słuchaczy. Można go też wysłuchać na stronie internetowej Radia Orthodoxia.

O. **Stanisław Strach** rozpoczął od przypomnienia historii tego języka. A sięga ona IX wieku. Ojcami jego piśmiennictwa są Święci Bracia Cyryl (Konstanty) i Metody, Grecy, ludzie gruntownie wykształceni, o wysokiej kulturze. Pochodzili z Sołunia, to słowiańska nazwa Salonik, stąd oparli się na miejscowym, pokrewnym macedońskiemu i bułgarskiemu, dialekcie.

W 863 roku władający Państwem Morawskim książę Rościsław zwrócił się do cesarza bizantyńskiego Michała z prośba o przysłanie nauczycieli, mogących katechizować w rodzimym dla jego poddanych języku. Cesarz wskazał na doświadczonych w pracach misyjnych braci.

A ci nie chcieli jedynie mówić po słowiańsku, ale i ofiarować nowym chrześcijanom teksty liturgiczne i Biblię w zrozumiałym dla nich języku. Wyprawę poprzedzili zatem tytaniczna pracą nad przekładami, ale i ułożeniem dostosowanego do brzmienia słowiańskiego języka alfabetu.

Podkreślam, powiedział o. Strach, nie stworzyli jakiegoś nowego języka, przystosowali tylko już istniejący do wyrażania pojęć, jakich wymagała nauka chrześcijańska i nadali mu pisemną formę,

Pierwszy słowiański alfabet, głagolicę, ułożył św. Cyryl. Poszczególne litery oznaczały głoski, posiadające dystynktywne (odróżniające) cechy w postaci fonemów, czyli tych elementów, które w procesie mówienia różnicują wyrazy.

Jak uważa większość badaczy, to uczniowie św. Metodego, działający na terenie Bułgarii, zamienili dosyć skomplikowaną głagolicę prostszą, a więc łatwiejszą do przyswojenia, cyrylicą (nazwaną tak dla uczczenia św. Cyryla).

Święci Bracia dokonali przekładów wielu tekstów liturgicznych, tworząc podstawowy zasób chrześcijańskiego słownictwa i pojęć, wcześniej w języku słowiańskim nieznanych. Na przykład słowo *Hospod'* (Pan) używane było przez Słowian nie w odniesieniu do bogów, lecz władcy. Przymiotnika *Jedinorodnyj* (Jednorodny) w ogóle w ich słownictwie nie było, został zaproponowany przez Braci według wzorca greckiego. Podobnie przymiotnik *Jedinosuszcz'nyj* (Jednoistotny), całkowicie abstrakcyjny, w dodatku wyrażony przez rzeczownik *suszcz'nost* (istota). Popularny rzeczownik *wiek* oznaczał jakiś wycinek czasu, odnoszący się do życia ludzkiego, przez co wyrażenie *prieżdie wsiech wiek* (przed wszystkimi wiekami) sensu dla nich nie miało.

Wszystko więc trzeba było wymyślić i opracować. Czas misji wielkomorawskiej to pierwszy, tak zwany klasyczny okres rozwoju języka starocerkiewnosłowiańskiego.

Na początku dwunastego wieku nastąpił okres zwany cerkiewnosłowiańskim. Na tym etapie rozwoju języka zaczęły się kształtować różne jego redakcje, Język scs pomyślany był jako wyłącznie liturgiczny, piśmiennictwo świeckie rozbudowywało własne, odrębne w różnych częściach Słowiańszczyzny, słownictwo i formy. Na przykład na Rusi Moskiewskiej, do czasu uformowania się języka literackiego, uważano scs mówiony i pisany za dwa różne warianty tego samego języka.

Już wtedy w środowisku ludzi wykształconych dążono do opracowania reguł pisowni i zasad gramatycznych, znormalizowania słownictwa i ujednolicenia tekstów. W Rosji proces ten zakończył się w XVII wieku, po reformie patriarchy Nikona.

Ten ostatni okres rozwoju języka nazywa się etapem języka cerkiewnosłowiańskiego okresu nowożytnego lub nowo-cerkiewno-słowiańskiego. To tym właśnie językiem posługujemy się w cerkwiach.

Język cerkiewnosłowiański ma ogromne znaczenie dla prawosławia tak w aspekcie nauki, jak kultury czy psychologii. Język Cerkwi z okresu klasycznego jest podstawą badań nad językami słowiańskimi. Zabytki piśmiennictwa sięgają IX wieku, a zawarte w nich formy gramatyczne pomagają odtworzyć wczesnosłowiańskie formy językowe.

Ponadto Pismo Święte w wersji cerkiewnosłowiańskiej uchodzi za najwierniejszy przekład greckiego oryginału Nowego Testamentu oraz Starego Testamentu w wersji Septuaginty (przekładu Siedemdziesięciu).

Język cerkiewnosłowiański odgrywa też ważna rolę w integracji prawosławnych narodów słowiańskich. Nie tylko Słowianie zresztą zachwycają się jego melodyjnością, bogactwem teologicznego słownictwa, poetycznością, chociaż budowa jego wypowiedzeń zmusza niekiedy do sporego intelektualnego wysiłku. Doskonale harmonizuje on ze stylem i oprawą prawosławnych nabożeństw. Liturgiczny język cerkiewnosłowiański uchodzi za jedną z najpiękniejszych pereł w koronie słowiańskiej kultury.

Równocześnie język ten, towarzyszący prawosławnym Słowianom od ponad jedenastu stuleci, od początku był przedmiotem kontrowersji, ciągnących się po dziś dzień. Wszystkie zarzuty zmierzają do wyeliminowania go z Liturgii. Pierwszy i najczęściej podnoszony argument – wierni go nie rozumieją. Trudno się z nim nie zgodzić, trudno też uznać za wystarczający.





Język polski rzeczywiście odbiega od cerkiewnosłowiańskiego bardziej niż jakikolwiek inny słowiański. Nie dotyczy to jednak języków wschodniosłowiańskich mniejszości. Tyle że mniejszości te, zwłaszcza białoruska, w zastraszającym tempie się wynaradawiają, a przede wszystkim w domach stale używają języka polskiego. Na skutek zmian, jakie przed ćwierćwieczem zaszły w naszym kraju, język rosyjski został wyrugowany ze szkół. Młodzi nie znają cyrylicy, melodii wschodniosłowiańskich języków.

Religia zajmuje coraz mniej miejsca w wychowaniu, młodzi zatem nie tylko nie znają Biblii, ale i podstawowych pojęć teologicznych.

Najważniejszy jednak pozostaje grzech lenistwa, niechęć do dodatkowego wysiłku. A nie można już zasłaniać się brakiem podręczników, słowników, tekstów literackich.

Cerkiew została postawiona przez tych, którzy chcą odejścia od cerkiewnosłowiańskiego jako języka liturgicznego, w trudnej sytuacji. Większość wiernych, zwłaszcza starsze pokolenia, wcale tego nie pragnie. Wybiera się zatem rozwiązania kompromisowe. W kilku parafiach w naszym kraju, np. św. Grzegorza (Peradze) w Warszawie czy św.św. Cyryla i Metodego we Wrocławiu, służy się po polsku, w dużych miastach regularnie odprawia się polskojęzyczne Liturgie w dolnych cerkwiach. W małych miejscowościach, gdzie jest jedna parafa, a w niej jedna Liturgia, nie ma to sensu.

W historii Cerkwi w Polsce był już okres, międzywojnie, przymuszania do wprowadzenia języka polskiego do świątyń. Celem było porzucenie cerkiewnosłowiańskiego, co okazało się zadaniem trudnym, zaczęto zatem od języka kazań, nawet w małych, jednolitych narodowościowo cerkwiach. Bunt był powszechny, Duchowni nie mieli wyjścia, za to parafianie podczas kazań masowo wychodzili na zewnątrz. Teraz sytuacja jest inna.

Ojciec Strach, wiele lat służący na Zachodzie, zetknął się tam z różnymi wariantami rozwiązania problemu języka liturgii. Niektóre z nich stosuje w swojej małej, wielonarodowościowej parafii w Kędzierzynie Koźlu.

– Zaczynam po cerkiewnosłowiańsku: *Błahosłowieno carstwo...* i *Mirnaja jektienia...*, następnie *jektienia* „mała” wygłaszana jest po polsku: *Paki i paki – Jeszcze i jeszcze*, Apostoł czytany jest w cerkiewnosłowiańskim i powtórzony po ukraińsku, Ewangelia po cerkiewnosłowiańsku i powtórzona po polsku, *Jektienija Prositielnaja* przed *Wieruju Ispołnim molitwu naszu* – Dopełnijmy modlitwę naszą – czytana jest po polsku, aklamacje kanonu eucharystycznego wygłaszane są równolegle po polsku i cerkiewnosłowiańsku, aż do *Izriadno* – Szczególnie. Na tym kończy się rola języka polskiego w kędzierzyńskiej świątyni. Pieśni liturgiczne śpiewane są wyłącznie po cerkiewnosłowiańsku, kazania zaś są wygłaszane po rosyjsku, ukraińsku i po polsku. W parafii dominują Ukraińcy, ale są i Białorusini, i Rosjanie, i Mołdawiane, i Polacy, a nawet jeden Serb – nikt nie zgłasza uwag do języka Liturgii.

Uważam – powiedział podsumowująco o. Strach, że język cerkiewnosłowiański bezwzględnie powinien zostać zachowany, ze względu na jego znaczenia historyczne, naukowe i duchowe, a także jego piękno. Jeżeli zaś zaistnieje potrzeba wprowadzenia języka polskiego, to nie na zasadzie całkowitej wymiany, a koegzystencji. Cerkiewnosłowiański bowiem to drogocenna perła, zdobiąca prawosławie, a Pan przestrzega przed lekceważącym obchodzeniem się z perłami: „Nie dawajcie psom tego co święte i nie rzucajcie pereł przed wieprze, by ich nie podeptały nogami i obróciwszy się, was nie poszarpały” (Mt 7,6).

o. Jewstafij (Stanisław) Strach

opr. **Dorota Wysocka**

Trudny wiek, trudny los



Ukazała się książka Doroteusza Fionika *Айцец Канстанцін Байко. Багаслоў, настаўнік, лекар* („Ojciec Konstanty Bajko. Teolog, nauczyciel, lekarz"). To czwarta pozycja z serii „Historia i kultura podlaskich Białorusinów", wydawanej przez Stowarzyszenie Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach.

Choć z założenia opowiada o życiu jednego, tytułowego, duchownego, to przed naszymi oczyma staje wiek XX, jego okres najtrudniejszy, na która przypada dojrzałe życie o. **Konstantego Bajki**, urodzonego w Białowieży w 1909 roku. Bo to wiek niebywałych represji wobec Cerkwi prawosławnej w całym świecie. One jak walec przetoczyły się przez Cerkiew rosyjską, ale nie ominęły greckiej czy Cerkwi w Polsce. Dlatego ma prawo arcybiskup wrocławski i szczeciński **Jeremiasz**, w którego diecezji, w parafii w Stargardzie Szczecińskim, także służył o. Konstanty, nazwać tego duchownego we wstępie do książki wyznawcą i męczennikiem za wiarę. Bo dla niego czas cierpienia za wiarę nie skończył się ani na I wojnie, ani na bieżeństwie, ani na okresie międzywojennym, kiedy uczył się w seminarium duchownym w Wilnie i w studium teologii prawosławnej na Uniwersytecie Warszawskim, ani nawet na drugiej wojnie. On trwał do 1956 roku, do czasu powrotu z dziesięcioletniej zsyłki, czyli z łagru w Workucie, położonej za kołem podbiegunowym.

Władyka stwierdza, że najważniejsze z tego co po sobie zostawił o. Konstanty, są opowiadania o czasie zesłania, kiedy nigdy nie tracił nadziei na pomoc Bożą, nawet wtedy, gdy wydawała się ona niemożliwa. To świadectwo trwa w sercach wszystkich, którzy mieli szczęście usłyszeć nawet bardzo skróconą relację z jego życia.

Teraz, dzięki **Doroteuszowi Fionikowi**, mamy szczęście przeczytać obszerną relację z życia tego wybitnego duszpasterza, ilustrowaną mnóstwem zdjęć. A są to nie tylko portrety głównego bohatera i jego rodziny, ale także



O losach o. Konstantego Bajko pisaliśmy kilka razy w Przeglądzie Prawosławnym piórem Doroteusza Fionika w wydaniach z lutego i maja 2001, z kwietnia i grudnia 2016, w tekście Ałły Matreńczyk z kwietnia 2001. Teraz dopuśćmy do głosu samego o. Konstantego, korzystając z dokumentów, zawartych w książce o nim.

Fragment zachowanego kazania, niezwykle śmiałego jak na tamte czasy, wygłoszonego 5 marca 1942 roku w Klecku: „(…) Tylko wtedy zrozumiemy sens i siłę, i radość cierpień, gdy uznamy je za przepiękną, świętą i świetlistą wieczną prawdę Bożą – tylko wtedy cierpienia i smutek przestaną wydawać się nam ciężkim brzemieniem i staną się radością i sensem życia, kiedy znów zdobędziemy te wielkie skarby, roztrwonione przez nas na rozdrożach naszych ziemskich poniewierek. Uświadomić to należy sobie zwłaszcza w nasz pełen trwogi czas, kiedy pod naporem ordynarnej siły fizycznej, oczarowanej mirażem kotłów z mięsem i chleba jedzonego do sytości, tracimy nie tylko pojedyncze osoby, ale i całe narody i państwa, tracą na wartości i są wyśmiewane najlepsze ideały ludzkości. Uświadomić to należy sobie szczególnie teraz, kiedy współczesny świat próbuje zbudować życie na nowych podstawach, które daleko odeszły od wiary w Boga, kiedy znalazł się na rozdrożu, na którym z jednej strony jest widoczna śmiertelna przepaść, przepowiadająca definitywną utratę wszystkich nadziei ludzkości, przy odrzuceniu przez nią wiary w Boga i związanych z nią wiecznych wartości, z drugiej strony stoi jaśniejący krzyż – znak odradzającego się zbawczego cierpienia, a za nim Królestwo Bożej Sławy z niegasnącym blaskiem wiecznych wartości ducha".

Kartka z myślą: „Miłość – jedyne uczucie, od którego świat staje się piękny – ono właśnie jest życiem. Szczęście polega na tym, żeby tworzyć i dawać, a nie na tym, by brać i gromadzić".

Duchowny pisze o życiu obozowym. To tekst uniwersalny, przemyślenia, które wypłynęły z głębokiego doświadczenia:

„Tęsknota dopada mnie szybko po tym, jak zostaję sam… Tak niebywale głęboko odczuwam samotność, jak nagość w chłód i ziąb".

Samotność nasila świadomość okropnej realności… Niewyobrażalnie trudna stała się dla mnie samotność podczas mego pobytu w izolowanej

Jedna z pierwszych fotografii o. Konstantego Bajko w stanie kapłańskim, 1935-1936, ze zbiorów Zoi Bajko-Romańskiej

O. Konstanty Bajko z matuszką Larysą wśród rodziny w Białowieży, ojciec duchownego Potap Bajko stoi nad synem, matka Maria z d. Sikorska siedzi obok matuszki Larysy, fotografia z 1935 roku, ze zbiorów Doroteusza Fionika



uczniowie i studenci klas i grup, w których uczył się o. Konstanty, klas, w których uczył religii, duchowni, z którymi służył, procesje. Są oficjalne zdjęcia hierarchów, kleru, mnichów i cerkiewnych działaczy i portrety hierarchów, choćby metropolity Cerkwi w Polsce **Dionizego** (**Waledyńskiego**) czy arcybiskupa wiedeńskiego i całej Austrii **Stefana** (1872-1965). Zdjęcia stały się ważnymi dokumentami, ponieważ Doroteusz Fionik dokładnie je opisał. To zaprawdę duży trud – by je zgromadzić i dowiedzieć się kogo i co przedstawiają.

Kolejną ikonograficzną warstwę książki stanowią dokumenty. Mamy mnóstwo listów o. Konstantego, pisanych do hierarchów, rodziny i znajomych i listy do niego, mamy podania, świadectwa, dzienniki lekcyjne, nawet kartki z jego notatek z zakresu hematologii i anatomii, rękopisy modlitw, akatystów, kazań. One też, w postaci fotografii, zostały zamieszczone w książce.

Zasadniczą treść książki budują relacje ludzi dla o. Konstantego bliskich, szczególnie jego córki **Zoi Bajko-Romańskiej**. Budują dokumenty archiwalne, do których autor dotarł w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, archiwach Egzarchatu Białoruskiej Cerkwi Prawosławnej w Mińsku oraz cerkwi Zmartwychwstania w Klecku, państwowego w Białymstoku, Uniwersytetu Warszawskiego i innych, także bogata literatura na temat czasów, w jakich żył o. Konstanty. Opowieść jest prowadzona, można powiedzieć, w trzech językach. Ta zasadnicza w białoruskim, ale dokumenty są cytowane w językach oryginalnych, czyli tu głównie w polskim i rosyjskim, czasem w *howorci*.

Do powstania książki przyczynił się i sam o. Konstanty Bajko. W jaki sposób? Dokumentował historyczne wydarzenia. Był skrupulatnym archiwistą. Z pieczołowitością przechowywał dokumenty, listy, fotografie, pocztówki, wizytówki. Po jego śmierci duża część archiwum trafiła do muzeum w Studziwodach. Do muzeum wiele dokumentów przekazała siostrzenica o. Konstantego, **Helena Szachowicz**

celi w M(ińsku) i B(aranowiczach) w ciągu około ośmiu miesięcy. Dlaczego ta samotność jest tak niewyobrażalnie trudna, szczególnie kiedy trwa i trwa? [...]

Myśleć w tych warunkach znaczy przypominać sobie, stawiać pytania i odczuwać brak jakiejkolwiek pomocy. Tak więc w rezultacie dopada cię jakiś przygnębiający smutek. Ten smutek doprowadza do zera całą pracę myśli; paraliżuje jakiekolwiek decyzje, zasłania możliwe perspektywy i rozdrażnia do tej pory, zanim szczęśliwy przypadek nie przypomni komukolwiek z żywych o tym, że jeszcze nie umarłem, i próbuje znowu związać jedną zerwaną nić, łączącą mnie na jakiś czas znów z żywymi. Ale to następuje tak rzadko, że związywanie nici w ogóle nie następuje. Z samotnością przychodzi się walczyć ze wszystkich sił.

W środowisku, w którym nie ma niczego trwałego, ani prawdziwej wiary w dzień jutrzejszy – zajęcia, jakie by one nie były, odgrywają ogromną rolę. To jedyne źródło, do którego przybiega człowiek, żeby nie wyzionąć ducha ostatecznie, i tym samym to jedna z form czyniących życie lżejszym, jako że wszystkie jego przejawy ograniczają się do nieprzerwanego poruszania się od jednego przedmiotu do drugiego, bez planu, bez kolejności, na miarę tego, jak one same przez się wypływają z otchłani przypadkowości. Poddając się temu ruchowi wypełnia się czas pustymi, powtarzalnymi czynnościami, nie angażującymi żadnej myśli, a nawet idącymi w poprzek każdej myśli.

W takich warunkach nie ma i nie może być miejsca dla myśli. Zdławiona całą masą przypadkowych drobiazgów myśl skrywa się, głuchnie, a jeśli i od czasu do czasu następują dla niej minuty przebudzenia, to nie pomaga, nie wyprowadza na drogę, a tylko męcząco rozdrażnia. Stawia pytania, a jednocześnie wstydliwie słabnie przed każdym poważnym zadaniem wyjaśnienia. Pytania stoją obnażone, pozostając w tej pierwotnej formie, w której się pojawiły; sumienie bez końca dręczy – tyle tego…

Powtórzę: w takich warunkach samotność pozbawia człowieka ostatniego źródła, które daje mu możliwość przywołania swojej żywotności. Potrzeba zauważenia samego siebie, która przy tym się pojawia, nie wywołuje pracy myśli, w bezpośrednim znaczeniu tego słowa, a tylko beznadziejny powrót do pustki, powrót, któremu towarzyszy wszelkiego rodzaju strach, małoduszność…

Procesja wokół cerkwi w Stargardzie Szczecińskim w czasie święta parafialnego, o. Konstanty Bajko idzie obok biskupa Aleksego, rok 1977, ze zbiorów Zoi Bajko-Romańskiej



oraz córka Zoja Bajko-Romańska. Znów się przekonujemy, jak ważne jest gromadzenie materiałów archiwalnych, co czynił zwłaszcza o. **Grzegorz Sosna**, czy w mniejszej skali o. Konstanty Bajko, które wcześniej czy później mogą trafić na podatny grunt. Dla naszej społeczności nieoceniona jest pasja badawcza Doroteusza Fionika, która archiwa zamknięte w szafach a życiorysy w ludzkiej pamięci, otwiera i zamienia na książki, wzbogacając naszą pamięć i kulturę.

Otrzymaliśmy opowieść wielostronną, bogatą, dobrze napisaną, udokumentowaną. Doroteusz Fionik postawił pomnik o. Konstantemu Bajko. Jest to wprawdzie pomnik papierowy, ale o wartości poznawczej przewyższającej spiżowy.

A współpracowała z nim **Magdalena Pietruk**, tworząc projekt graficzny książki, wysmakowany, przejrzysty, konsekwentny, naprawdę godny pochwały. Tak bogaty materiał był nie lada wyzwaniem.

O. Konstanty Bajko należy do najwybitniejszych postaci w dziejach naszej Cerkwi w dwudziestym wieku. Służył na Chełmszczyźnie, w zachodniej Białorusi, w Bielsku Podlaskim i na koniec na ziemiach zachodnich Polski. Odradzał białoruską oświatę na Białostocczyźnie, reaktywował nauczanie prawosławnej religii w szkołach. Ale przede wszystkim bardzo lubił ludzi. Ofiarowywał im całego siebie. Dzielił się wszystkim, co umiał i potrafił. „Jego biografii wystarczyłoby do obdarowania wielu ludzi. Całe życie o. Konstantego pokazuje nam, jak ważne jest, nie bacząc na warunki, zachowanie godności i ludzkiej wrażliwości. Dlatego też pamięć o nim przetrwała dziesięciolecia" – pisze Doroteusz Fionik.

Pamięć o o. Konstantym pielęgnowana jest w diecezji wrocławsko-szczecińskiej. Dom opieki św. Stefana w Cieplicach powstał jako pomnik jego pamięci. Duchownym i wiernym o o. Konstantym opowiadał arcybiskup Jeremiasz. W cerkwi w Stargardzie Szczecińskim ufundowano mu tablicę pamiątkową.

O swoim wybitnym duchownym, nauczycielu i lekarzu pamięta też Bielsk Podlaski. A głównym strażnikiem tej pamięci jest Doroteusz Fionik.

Anna Radziukiewicz

Дарафей Фіонік, *Айцец Канстанцін Байко. Багаслоў, настаўнік, лекар*, ss. 144, Studziwody 2016.

Moralne pojęcie osobowości niszczy się systematycznie, wszystko sprowadza się do tego, żeby człowiek był niemoralny, żeby był nieświadomą siłą zwierzęcą, którą można wykorzystać, jak tylko kto zechce, w każdych warunkach, dla każdego celu (…).

Owocem życia, u podstaw którego leżą jedynie błahostki, jest pustka. Ta pustka tylko błahostkami nie może być napełniona.

Pojawiają się pytania, ale wywołują bolesny strach; wspomnienia płyną na spotkanie, ale prowadzą do rozpaczy, sumienie budzi się, ale przechodzi w smutek.

Z powodu jakiegoś strasznego stłamszczenia całego systemu nerwowego nic nie zatrzymuje myśli, nie wzywa ich do prawidłowej pracy. Zostają – błahostki. One stają się życiowym funduszem, rzeczywistym przedłużeniem minionego, poczynając od pieluszek, a kończąc na ostatniej tylko co przeżytej minucie, kiedy z języka zerwało się – właśnie zerwało się a nie powiedziało, puste słowo. Jedynie w błahostkach człowiek odczuwa siebie w pełni lekko; tylko wobec nich nie czuje potrzeby tchórzostwa, rozglądania się w strachu na różne strony. Błahostki stanowią ogromną siłę w tym sensie, że zabijają w człowieku umiejętność interesowania się czymkolwiek, cokolwiek by to było, oprócz samej niezmiennej bezczynności.

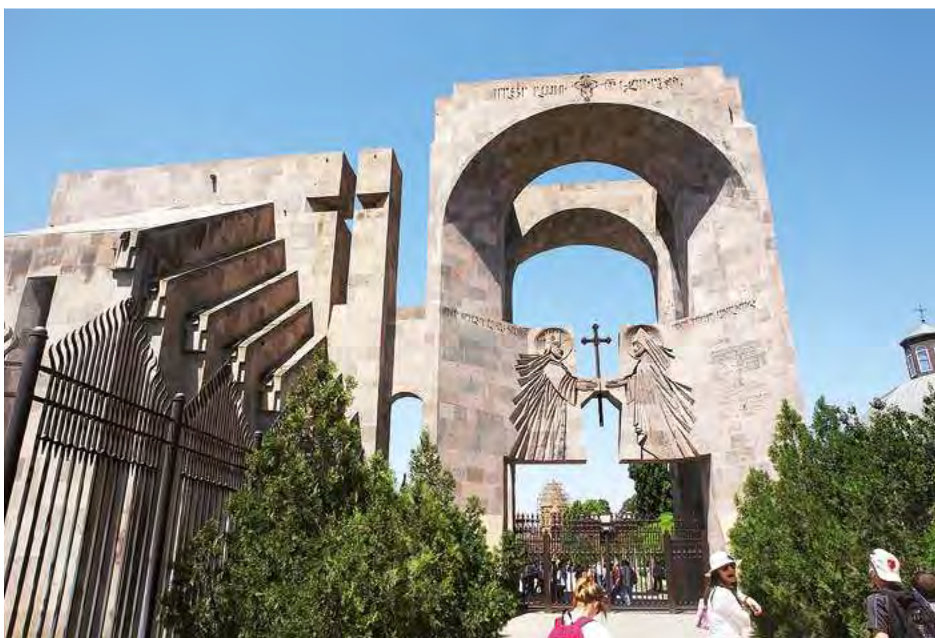
Pojawia się niepowstrzymana potrzeba utonięcia w błahostkach, rozwiania życia na wietrze, funkcjonowania z dnia na dzień, słaniania się od jednego przedmiotu do drugiego, w nic nie zagłębiania się…

Zrozumiałe, że tam gdzie życie układa się pod brzemieniem masy błahostek, żadne twarde społeczne formy są nie do pomyślenia. Owe rzadkie przebłyski energii, które co jakiś czas przebijają się na zewnątrz, przyjmują dziwną nieludzką formę. Przyczyna tego jest prosta: w takich granicach żadne istotne dla życia prądy rodzić się nie mogą. Kiedy życie rozpływa się i gnije, to zrozumiałe jest, że przypadkowe błyski energii mogą znaleźć sobie ujście tylko w okrucieństwie albo w objawieniu. Niczego niestety, niczego i nikogo nie da się zapalić do działania. Nad wszystkim spoczęła pleśń czasu; wszystko utonęło w obojętnej bezdenności…

Czy możliwa jest w takich warunkach inna aktywność, oprócz tej, która nic innego nie przynosi oprócz osobistej samoświadomości, nienawiści i podejrzliwości?"

Pierwszy chrześcijański kraj świata

Gdy otworzył oczy, sen prysł. Zamiast w swoim domu, znów siedział na dnie kamiennej, kilkunastometrowej studni. Ileż to już takich poranków? Dawno stracił rachubę. Jak wkrótce miało się okazać, było ich ponad pięć tysięcy, czyli prawie 15 lat… Chwilę później usłyszał wysoko nad głową chrobot przy kracie, a wąskiej smużce dziennego światła dostrzegł strażnika, zjeżdżającego w przymocowanym do liny wiadrze. Gdy ten oznajmił mu, że jest wolny i może wychodzić, nie uwierzył. Niemniej jednak naprawdę stał się cud – był wolny!



Na imię miał Grigor. Cała Armenia zaczęła z czasem nazywać go Lusaworiczem, czyli Oświecicielem. Z czasem ogłoszono go świętym. Ale to z czasem, bo na razie ledwie stał na nogach, dzienne światło nawet przez zamknięte powieki dosłownie wypalało oczy, a po latach spędzonych w lochu śmierdział tak, że ledwie sam mógł to wytrzymać.

Był rok 300, a loch, w którym miał zgnić a jakimś cudem przeżył, znajdował się niedaleko ówczesnej stolicy potężnego królestwa Armenii. Dzisiaj leży niedaleko obecnej stolicy Erewania i nosi nazwę Chor Virap, czyli kamienna studnia. Trafił do niej z rozkazu króla Tyrdata III jako syn zabójcy.

Do morderstwa doszło dawno, gdy obydwaj byli jeszcze chłopcami. Ówczesny władca chciał bowiem jako wasal wejść w sojusz z Rzymem, by w ten chociaż sposób ratować swoje państwo. Ojciec Grigora (pol. Grzegorza), będący jednym z najwyższych dostojników państwowych, był temu zdecydowanie przeciwny. W efekcie doszło do nieszczęścia. Winowajca za swój czyn zapłacił gardłem, a jego rodzinę zesłano do Cezarei Kapadockiej, w której Grzegorza wychowano na chrześcijanina. Tyrdat zaś trafił do Rzymu i został wychowany w jego tradycji, kulturze i religii – wielobóstwie. A Armenię zajęli Persowie.

Po kilkunastu latach obaj powrócili do ojczyzny. Tyrdat jako władca z nadania rzymskiego, Grzegorz zaś jako apostoł chrześcijaństwa. Gdy więc pewnego razu młody król zobaczył syna zabójcy ojca, momentalnie skazał go na śmierć. Tylko dzięki usilnym prośbom i błaganiom wielu wpływowych osób udało się ostatecznie zmienić wyrok na dożywotne więzienie. Decydującym argumentem było to, że przecież i tak zginie, a powolne gnicie w lochu jest jeszcze gorsze niż szybka śmierć od miecza.

Wiadomość, że Grzegorz jednak żyje, stała się dla Tyrdata szokiem, ale jednocześnie błogosławieństwem. Cierpiał bowiem niewypowiedziane męki, chorując na jedną z odmian likantropii, objawiającej się tym, że w czasie ataku choroby był przekonany iż jest wieprzem, zachowując się stosownie do tego przekonania. W obłęd popadł nieprzypadkowo, była to bowiem kara Boża za uporczywą walkę z chrześcijaństwem. Jej kulminacją okazała się decyzja o umęczeniu 35 dziewic, na czele z Ripsime i Gajane.

Ripsime była jedną z najpiękniejszych niewiast Rzymu, nic zatem dziwnego, że cesarz Dioklecjan zobaczywszy ją na przyjęciu, od razu zwrócił na nią uwagę. Rzeczą oczywistą było, że wcześniej czy później wyląduje w jego łożnicy. Tyle tylko, że Ripsime była tajną chrześcijanką i tajną mniszką, poświęconą Chrystusowi. Gajane zaś, oficjalnie przełożona dam jej dworu, pełniła rolę ihumeni. Pozostałe dziewice – również dwórki – także były tajnymi mniszkami. Sprawa wydawała się prosta – ucieczka lub ulegnięcie chuciom cezara.

Przez Morze Śródziemne i Jerozolimę uciekinierki dotarły w okolice dzisiejszego Erewania, gdzie dopadł je Tyrdat, przyjaciel Dioklecjana. Zauroczony pięknością Ripsime, wyprosił u cezara, by pozwolił mu ją zniewolić. I wtedy Ripsime oświadczyła, że prędzej popełni samobójstwo niż zostanie jego nałożnicą. Ujawniła ponadto otwarcie, że jest chrześcijanką, w dodatku mniszką, jak i jej towarzyszki. Tyrdat postawił sprawę jasno, albo mu ulegnie, albo wszystkie zginą. Wtedy Gajane w płomiennej mowie zachęciła je do przyjęcia męczeństwa w imię Zbawiciela, dając im jednak wolny wybór i możliwość ratowania życia. Wszystkie odmówiły.

Chcąc złamać Ripsime, władca na-

U dołu cerkiew św. Gajane w Eczmiadzynie



kazał po kolei zabijać dziewice. Nie załamała się i wytrwała do końca, nawet wtedy, gdy kat prowadził na szafot jej duchową matkę – Gajane. Jak się okazało, ich męczeńska śmierć stała się ziarnem, z którego wykiełkowało armeńskie chrześcijaństwo, a one same przyoblekły się w nimb świętości.

Tyrdat zaś popadł w obłęd. I pewnie zginąłby marnie w okrutnych mękach, gdyby nie to, że Opatrzność miała wobec niego inne plany. Pewnego razu bowiem Anioł Pański ukazał się jego siostrze Chosrowiducht – również tajnej chrześcijance – i oznajmił, że uzdrowienie jest możliwe, ale tylko wtedy, gdy tyran uwolni Grigora i uprosi go o modlitwę za swoje zdrowie. Tyrdat, doprowadzony do granic wytrzymałości, gotów był na wszystko, nawet i na to, by błagać o pomoc śmiertelnego wroga. Ale ten przecież już od wielu lat nie żył! Jakaż więc była jego radość, gdy okazało się, że w lochu jednak nie zgnił, a na dodatek jest gotów mu pomóc.

Sam Grzegorz natomiast, niedługo przed swym oswobodzeniem, miał sen. W otwartych niebiosach ukazał się anioł, który sfrunął na ziemię i uderzył w nią złotym młotem. Wtedy z ziemi ku niebu wystrzeliły cztery słupy ognia, zakończone kopułą i złotym krzyżem. Anioł oświadczył zdumionemu Grzegorzowi: – Na tym miejscu zbudujesz cerkiew, która da początek ormiańskiemu chrześcijaństwu. Będzie ono trwać po wsze czasy. A samo miejsce nazwiesz Eczmiadzyn (arm. „Zstąpił Jednorodzony”).

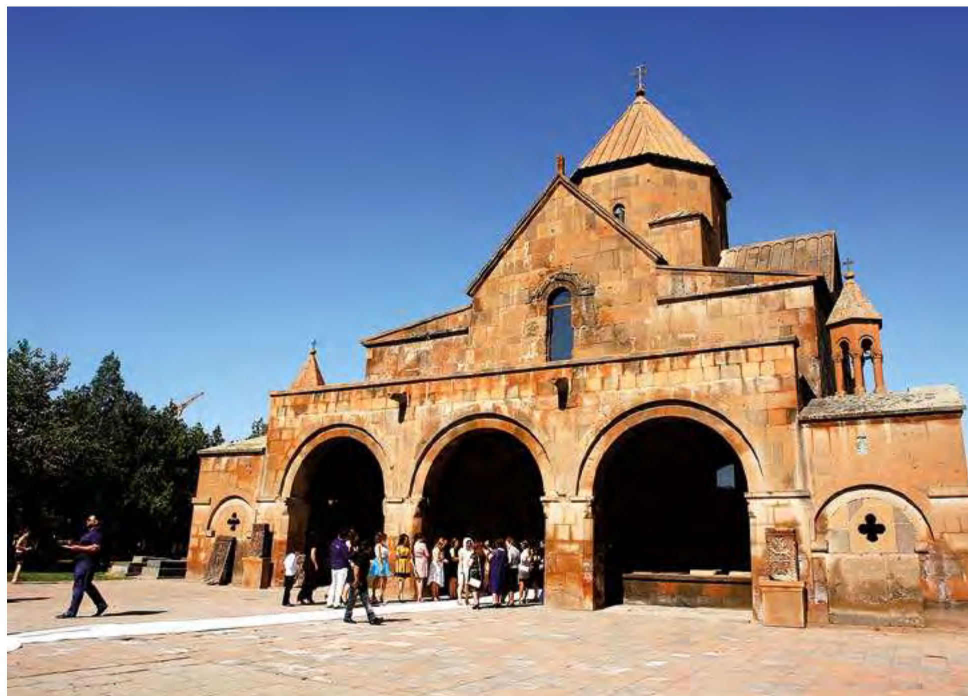
Gdy więc po kilku dniach strażnik zwrócił mu wolność, początkowy szok i niedowierzanie przeszły w dziękczynną pieśń ku czci niezmierzonego Miłosierdzia.

A potem wszystko już poszło w miarę gładko. Modlitwy Grzegorza przywróciły Tyrdatowi zdrowie, co wywołało nawrócenie władcy i decyzję o uczynieniu chrześcijaństwa religią państwową. Miało to miejsce w roku 301, co czyni Armenię pierwszym oficjalnie chrześcijańskim państwem świata.

Gorliwość Tyrdata w rozwijaniu nowej religii była tak wielka, że zarówno sam Grzegorz, jak i cały synod Armeńskiej Cerkwi Apostolskiej nie miały najmniejszego problemu z jego pośmiertną kanonizacją.

Grzegorz zaś, teraz z przydomkiem Lusaworicz, czyli Oświeciciel, został duchowym ojcem narodu i do dziś jest w ocenie Ormian najznamienitszym przedstawicielem ich kraju. Uznawany jest też za pierwszego patriarchę-katolikosa wszystkich Ormian (obecny patriarcha Garegin II jest 132 jego następcą).

Eczmiadzyn wybudowano w miejscu wskazanym przez anioła, dokładnie w tym samym, w którym męczeńską śmierć poniosło 35 świętych dziewic. Ripsime i Gajane są do dziś czczone w Armenii jako największe narodowe święte i pierwsze męczennice. Na miejscach ich kaźni już w czwartym wieku postawiono wspaniałe cerkwie, skrywające ich święte relikwie. Pielgrzymują do nich nie tylko Ormianie, rozsiani dziś po całym świecie, ale także chrześcijanie ze wszystkich jego zakątków. W centrum



Eczmiadzyna stoi oczywiście patriarsza katedra, której budowę rozpoczęli święci Grigor Lusaworicz i Tyrdat. Znajdują się w niej wielkie skarby ormiańskiego, a zarazem i światowego, chrześcijaństwa – relikwie apostołów Tadeusza, Bartłomieja, Andrzeja i Tomasza, cząsteczka drzewa Krzyża Świętego, fragment Arki Noego oraz skarb największy – grot Świętej Włóczni (Surp Gegard), którą żołnierz rzymski przebił Zbawicielowi na Krzyżu bok.



Bo koniecznie pamiętać należy, iż Ormiańska Cerkiew Apostolska swe pochodzenie i nieprzerwaną ciągłość zawdzięcza przede wszystkim apostołom Tadeuszowi i Bartłomiejowi, którzy jako pierwsi głosili tutaj naukę Chrystusową. Dwa i pół wieku później stała się ona religią państwową, pierwszego chrześcijańskiego = prawosławnego kraju świata. Apostołom tym zawdzięcza również armeńska Cerkiew relikwie Świętej Włóczni.





Chor Virap, czyli kamienna studnia, i wnętrze studni-lochu św. Grigora
Apostołowie Bartłomiej i Tadeusz ze Świętą Włócznią





W piątym wieku Armenia otrzymuje autokefalię, stając się prawosławnym hegemonem regionu i jednym z liderów trzech pierwszych soborów powszechnych. Trzech, bo gdy w 451 roku w Chalcedonie zaczął swoje obrady sobór czwarty, Ormianie wziąć w nim udziału nie mogli, gdyż w tym samym czasie toczyli śmiertelną walkę z Persami. Bitwę co prawda przegrali, ale wroga poturbowali na tyle, iż ten musiał pogodzić się z dalszą niezależnością armeńskiego państwa. Ojczyznę więc ocalili, ale do Chalcedonu ze zrozumiałych względów nie pojechali i soborowych ustaw nie podpisali, za co ostatecznie zostali wyrzuceni z rodziny prawosławnej z piętnem odstępców, heretyków i monofizytów.

Nie chodziło oczywiście o to, że Ormianie byli nieobecni na soborze. Wszyscy przecież doskonale zdawali sobie sprawę, że walczyli wówczas o swoje „być albo nie być”. Oto bowiem po późniejszym przeanalizowaniu soborowych uchwał odmówili ich zatwierdzenia. Żeby zrozumieć, dlaczego tak uczynili, należy najpierw przypomnieć sobie, po co zwołano ten sobór. Przyczyn i powodów było oczywiście wiele, ale najważniejszym z nich była herezja monofizytyzmu – poglądu głoszonego przede wszystkim przez Nestoriusza i Eutychiusza – jakoby natura Boska Jezusa Chrystusa wchłonęła Jego naturę ludzką, co w konsekwencji odbierało naszemu Zbawicielowi pełnię człowieczeństwa i w łatwy sposób mogło doprowadzić do poglądu, że na Krzyżu nie doznał On, nie będąc w pełni człowiekiem, pełni ludzkich cierpień. Chrześcijański świat wobec tej kwestii był w ówczesnych czasach bardzo podzielony, a spory przybierały niekiedy olbrzymie rozmiary i toczone były w gorącej atmosferze. Wielu biskupów gotowych było oddać nawet życie w obronie swych poglądów, które – co oczywiste – dotyczyły kwestii z jednej strony absolutnie fundamentalnych dla dalszego istnienia chrześcijaństwa, a z drugiej zaś stanowiły jedne z najtrudniejszych do ogarnięcia ludzkim rozumem zagadnień, o ile w ogóle do ogarnięcia możliwych. Ostatecznie, po bardzo długiej i burzliwej debacie, sobór w Chalcedonie uznał zwolenników nowej teorii za heretyków, twierdząc że Pan nasz Jezus Chrystus przez całe swoje ziemskie życie był w pełni Bogiem i w pełni człowiekiem, co do dziś stanowi jeden z dogmatów naszej wiary.

W tym miejscu rodzi się pytanie: dlaczego Ormianie nie uznali tego dogmatu i nie podpisali uchwał soborowych? Odpowiedź zawarta jest już w samym pytaniu, które dotyczy dwóch różnych rzeczy. Dogmat bowiem uznali, ale soborych ustaleń rzeczywiście nie podpisali…

A więc po kolei. Nie wdając się w bardzo trudne i zawiłe dywagacje wyjaśnijmy tę kwestię w sposób następujący: pomimo pewnych wątpliwości z dokładnym zrozumieniem wszystkich niuansów dotyczących monofizytyzmu, wynikających najczęściej z kłopotów z precyzyjnym przetłumaczeniem wyjątkowo skomplikowanych kwestii teologicznych, Ormianie doszli do wniosku, że w pełni popierają sobór w kwestii potępienia monofizytyzmu. Dowodem tego było wyklęcie Ariusza, Eutychiusza i Nestoriusza oraz ich poglądów przez Ormiańską Cerkiew Apostolską, co z resztą obowiązuje do dziś.

Dlaczego więc ciągle określa się ich jako monofizytów i dlaczego nie podpisali uchwał soborowych? Nie podpisali w proteście przeciwko mieszaniu się (w trakcie trwania soboru) polityki do religii oraz

przeciwko jawnemu tworzeniu się soborowych stronnictw, starających się przeciągnąć poszczególnych jego uczestników na swoją stronę. Za kulisami bowiem obrad soborowych, a z czasem niemalże jawnie, doszło do otwartego sporu pomiędzy Rzymem a Konstantynopolem w kwestii tego, który z patriarchatów powinien mieć honorowe pierwszeństwo w świecie chrześcijańskim. My – twierdził Rzym – opierając się na tradycji pierwszych wieków i czasach apostolskich. My – replikował Konstantynopol – bo teraz u nas znajduje się stolica cesarstwa i chrześcijaństwa. Ormianie byli tymi rozgrywkami bardzo zniesmaczeni, a z drugiej strony ani myśleli popierać Konstantynopol i Bizancjum, które coraz częściej zagrażało Armenii. Gdy więc na koniec obydwie stolice zawarły sojusz przeciwko starożytnym patriarchatom wschodu (Antiochia, Jerozolima, Aleksandria), Ormianie oświadczyli, że w proteście przeciw upolitycznieniu religii uchwał soborowych nie podpiszą. Stanowisko takie postawiło z kolei ojców soborowych pod ścianą, bo ustalono przecież, że kto podpisu nie złoży, automatycznie ogłoszony zostanie heretykiem, wykluczonym z prawosławnej rodziny. Pomimo tego Cerkiew ormiańska zdania nie zmieniła i podpisu nie złożyła. Ani wtedy, ani później. W ten oto sposób Ormianie, nigdy nie będąc *de facto* monofizytami, od piętnastu wieków za takich są uważani…

Na całe szczęście kilkadziesiąt lat temu obie strony „poszły po rozum do głowy" i zdecydowały się w roku 1966 na rozmowy dotyczące kwestii chrystologicznych. W ich trakcie okazało się, że chociaż Ormianie rzeczywiście trochę inaczej rozumieją kwestie związane z dwiema naturami Chrystusa, to generalnie zawsze byli prawosławni. Zauważono też, na szczęście, problemy, z jakimi się zetknęli, tłumacząc greckie zawiłości teologiczne na ormiański oraz potężny wpływ syryjskich monofizytów, pod wpływem których wówczas się znajdowali. Koniec końców, w roku 1999 ostatecznie uzgodniono, że w kwestiach chrystologicznych pomiędzy Ormianami a Cerkwią prawosławną różnic nie ma. A to oznacza, że monofizytami nie są i w przeszłości nie byli. Jako ciekawostkę dodam, że i Watykan zajął w tej kwestii takie samo stanowisko.

Dlaczego więc, można i należy zapytać, Ormiańska Cerkiew Apostolska nadal znajduje się poza rodziną prawosławną, pomimo że jej doktryna i obrzędy w zdecydowanej większości są prawosławne, a najważniejsza przyczyna uniemożliwiająca zjednoczenie – posądzenie o monofizytyzm – już nie istnieje?

Cóż, kwestia to bardzo złożona, więc i rozmowy na ten temat ani łatwe, ani szybkie być nie mogą. Poza tym należy się zastanowić, czy obydwie strony tak naprawdę sobie tego życzą. – Wiesz, skoro przez te 1500 lat jakoś sami sobie radziliśmy, to pewnie i teraz przeżyjemy – słyszałem nieraz z ust moich ormiańskich przyjaciół, z lekko filuternym błyskiem w oku.

Paweł Krysa
fot. **autor**

Przedszkole „Aniołki" czeka na dzieci

Od 1 września dzieci będą chodzić do przedszkola „Aniołki", największego w Białymstoku, jeśli chodzi o powierzchnię mieszczącego je budynku. Działa przy parafii Świętego Ducha przy ulicy Antoniuk Fabryczny. I choć niepubliczne, jest zobowiązane do realizacji programu Ministerstwa Edukacji Narodowej.

O. **Jerzy Boreczko**, proboszcz parafii Świętego Ducha, otwiera drzwi. Wchodzę do domu, który niebawem napełnią gwarem dzieci. Jest niezwykle przestronny i kolorowy. Ma siedemset metrów kwadratowych powierzchni, czyli tyle co trzy spore domy jednorodzinne. Przemierzamy przyziemie, piętro pierwsze, drugie i trzecie. Na każdym duże sale, dobrze oświetlone, z widokami na plac zabaw – już urządzony, boisko, zieleń, dalej na nowe, rosnące domy. Bo wszystko jest gotowe – kuchnia, jadalnia, gabinety, sale zajęć. Nawet meble są zamontowane.

Program też jest gotowy. Przewiduje zajęcia z języków angielskiego i rosyjskiego, religii, sportowe, plastyczne, kulinarne, teatralne, taneczne. Powstanie dziecięcy chór. Zaproponowane zostaną warsztaty dla dzieci i rodziców. Dyrektor przedszkola, **Annę Maciejuk**, wyłoniono w drodze konkursu. W tym roku zostanie przyjętych czterdzieścioro dzieci. Są jeszcze ostatnie wolne miejsca. W następnym osiemdziesięcioro. Niektórzy już dziś zapisują swoje dzieci na kolejny rok. Ustalono wysokość czestnego – 250 złotych, czyli porównywalnie z opłatami w placówkach publicznych.

Przedszkole ma świetną lokalizację w parafialnym kompleksie obok cerkwi Świętego Ducha. Wszyscy wiemy, jak łatwo jest dotrzeć do cerkwi, stojącej przy jednej z głównych arterii Białego-



stoku, jak łatwo tu postawić samochód – jedynie na parafialnym placu jest 98 miejsc parkingowych. To wygoda dla rodziców, dowożących dzieci. Jednocześnie przedszkole nie będzie narażone na hałas ani spaliny, ponieważ „skryło się" przy bocznej uliczce, za potężną bryłą cerkwi i pasem zieleni.

I będzie pod opieką Świętego Ducha. O tym jest przekonany o. Jerzy Boreczko, na oczach którego rosła cerkiew i cały kompleks.

– Bez pomocy Świętego Ducha ta cerkiew by nie powstała – mówi. – Wiele razy doświadczałem Bożej pomocy w sytuacjach, z których zdawało się nie ma wyjścia.

Ta z częścią przystosowaną na przedszkole też wyglądała na tę bez wyjścia.

I cerkiew Świętego Ducha, i dom parafialny wznoszono z wielkim rozmachem, nie na skalę zwykłej parafii, a całego miasta czy nawet diecezji. W domu miało być ulokowane centrum prawosławnej kultury. Plany rysowano wtedy, gdy nikt nawet nie śnił, że można będzie wznieść budynek o takim przeznaczeniu w centrum miasta, w sąsiedztwie katedralnej cerkwi, ani o tym, że uda się odzyskać i wyremontować cały monasterski kompleks w Supraślu. Gdy PRL schodziło ze sceny, o tym, czy można zbudować świątynię i dom parafialny i jakich rozmiarów, decydował dyrektor wydziału do spraw wyznań urzędu wojewódzkiego. Miał nie mniejsze kompetencje od biskupa. Kiedy więc prawosławnym, po latach zabiegów, pozwolono wreszcie na budowę cerkwi na Antoniuku, każdy myślał, że będzie to ostatnia taka możliwość, w związku z tym i cerkiew miała być największa, i dom parafialny miał wszystko pomieścić. Po targach z urzędnikami uzyskano pozwolenie na wzniesienie domu o powierzchni aż trzech tysięcy metrów kwadratowych. Dom rósł, zmienił się system polityczny i pojawiły się nowe możliwości, czyli odzyskanie kompleksu w Supraślu i budowa cerkiewnego domu przy ul. św. Mikołaja w Białymstoku.

O. Jerzy Boreczko został z problemem. W jaki sposób napełnić życiem taką powierzchnię? Po konsultacjach z architektem cerkwi i całego zespołu budynków na Antoniuku **Janem Kabacem** postanowiono zmienić projekt domu. Część, która istniała tylko na planach architekta, zmniejszono, uformowano go, „stopniując" tak, by nie stracił swego architektonicznego smaku. Do wykończonej części wprowadziła się parafialna kancelaria, duchownym oddano dwa mieszkania, ulokowano kilka biur i zakładów usługowych. Ale i tak na siedemset metrów kwadratowych powierzchni nie miano koncepcji. Zostawiono ją więc na lata niewykończoną.

– Były wobec niej różne pomysły – mówi o. Jerzy – przychodnia zdrowia, dom opieki. Ale na to nie pozwalała wewnętrzna tektonika budynku – zbyt dużo schodów na jednym poziomie. Prosiłem nawet biznesmenów o radę. Ci rozkładali ręce. Aż myśl podsunęła **Joanna Misiuk**, dyrektor przedszkola na 42 Pułku Piechoty w Białymstoku: – Niech tu będzie przedszkole.

Myśl trafiła na dobry grunt. Organem założycielskim placówki stała się parafia Świętego Ducha i działające przy niej Bractwo św. Atanazego Brzeskiego. Należało działać błyskawicznie. Joanna Misiuk napisała projekt, skierowany do Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Podlaskiego na lata 2014-2020, o dofinansowanie przedszkola, ale nie ścian, murów, tylko pensji dla nauczycieli, zakupu między innymi pomocy dydaktycznych, zabawek, mebli. Projekt zaakceptowano. Wtedy wszedł architekt Jan Kabac, bo trzeba było dokonać w poprzednim projekcie ogromnych zmian, te 700 metrów przystosowując do potrzeb przedszkola i uzyskując takie pozwolenia budowlane, jakby się wznosiło nowy budynek.

Potrzebne były setki tysięcy złotych, wszystkie miały pochodzić z kasy parafii, przedsiębiorczego inwestora, który nie bał się ryzyka ani bardzo krótkiego czasu wykonania inwestycji, bo miał na realizację projektu jedynie pięć miesięcy. A to oznaczało burzenie ścian działowych i wznoszenie nowych, kładzenie sieci centralnego ogrzewania, hydraulicznej, elektrycznej, wentylacyjnej, klimatyzacyjnej, internetowej, układanie posadzek, schodów, tynkowanie.

To było ogromne ryzyko i nieprzespane noce batiuszki Jerzego. Bo gdyby nie udało się wszystkiego zrobić w terminie, należałoby zwrócić dofinansowanie wraz z karnymi odsetkami.

Udało się! Jest pięknie i solidnie. Po Liturgii batiuszka zachęca rodziców i dziadków, by obejrzeli nowe pomieszczenia, by nie bali się posyłać tu swoich dzieci i wnuków. Ale bywa, że to dzieci mają decydujący głos. – Tatusiu, chcę tu zostać – domagał się malec po zwiedzeniu wszystkich pięter przedszkola. Myślę, że miał rację. Pokonał barierę niepewności, tak charakterystyczną dla dorosłych.

– Założenie przedszkola przy parafii było najlepszą inicjatywą – sumuje o. Jerzy Boreczko. – Wiem, jak ważne jest wychowanie dzieci i młodych w cerkiewnym duchu, a taki proponujemy w naszej placówce. Jak procentuje takie wzrastanie przy Cerkwi w dorosłym życiu, chroniąc je przed nałogami, konfliktami, namiętnościami, rujnującymi nieraz całe rodziny. Tak mi podpowiada moje wieloletnie doświadczenie jako duchownego.

Powinniśmy z niego skorzystać i posłać swoje dzieci do przedszkola przy parafii Świętego Ducha.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Zapisy do przedszkola:
biuro@przedszkoleaniolki.pl
tel. 530 002 539 lub w kancelarii
parafii: parafia.antoniuk@wp.pl
tel. 85 653 28 54.



O Świętej Górze Grabarce na 70-lecie monasteru

Pięknie uhonorowały siostry monasteru Świętych Marty i Marii na Świętej Górze Grabarce 70-lecie istnienia swego monasteru – wydały album „Święta Góra Grabarka". Tekstu w nim mało, za to zdjęć mnóstwo.

Album otwiera zdjęcie metropolity Cerkwi w Polsce Sawy i jego słowo. Hierarcha pisze, że kto weźmie do ręki album, doświadczy żywego kontaktu z tym niezwykłym miejscem, z jego duchowością, może on też skłonić do zastanowienia się nad własnym życiem. Podkreśla, że bez monasterów nie mogą istnieć autokefaliczne Cerkwie. Pisze o znaczeniu tego miejsca dla rozwoju współczesnego monastycyzmu w Polsce. Wyraża mniszkom, na czele z ihumenią, wdzięczność za trud włożony w przygotowanie albumu.

Historię świętego miejsca zarysowano we wstępie, który opatrzono rysunkami, obrazującymi to czego już nie ma – stare cerkwie Przemienienia Pańskiego i Ikony Bogarodzicy Wszystkich Strapionych Radość, studzienkę, procesję z ikoną.

A dalej feeria kolorów. Zwykłe rzeczy, przybliżające Grabarkę, były dotychczas ilustrowane zdjęciami z okresu letniego, z kulminacyjnym wydarzeniem – święta Przemienienia Pańskiego. W tym albumie cykl zdjęć ułożono tak, że zaczynają swą barwną opowieść od święta Spasa, ale podążają dalej. Jesień znalazła bogate odbicie nie tylko w przyrodzie, ale i zbieraniu plonów, grzybów, jesiennych świętach. Może najbardziej frapujące są zdjęcia zimowe. Czy dlatego, że mało pielgrzymów odwiedza to miejsce o tej porze? Jest śnieg, który leży czapami na krzyżach, dachach, zalega zaspami, pada na tle brązowych ścian cerkwi, tworząc nastrój czystości, uroczystości i spokoju. Są zdjęcia i ze święta Jordanu.



Wiosna zmienia zupełnie nastrój albumowych zdjęć i to zostało uchwycone przez fotografa, a wraz z wiosną utrwalono na fotografiach świetlisty smutek Wielkiego Postu, który wybuchnie paschalną radością – co też obficie w albumie zarejestrowano.

Zamieszczono fotografie obrazujące *posłuszanija* sióstr – pisanie ikon, pieczenie prosfor, porządki na Świętej Górze.

Ale najważniejszą jego część stanowią zdjęcia, przedstawiające życie liturgiczne. Znalazł tu odbicie cały rok liturgiczny w jego różnorodności i bogactwie.

Album został wydany przez wydawnictwo Warszawskiej Metropolii Prawosławnej oraz monaster na Świętej Górze Grabarce.

Anna Radziukiewicz





Śpiewamy na Grabarce

Przycichły śpiewy ludu na Spasa na Świętej Górze Grabarce, malujące jej nocny klimat przez dziesięciolecia. Śpiew „oddaliśmy” chórom.

To śpiew liturgiczny. Ale jest i paraliturgiczny – ludowe nabożne pieśni, które towarzyszyły ludziom przez okrągły rok, przy pracy i w święta. Do jego kulminacji dochodziło na Grabarce podczas święta Spasa. Między *wsienoszcznym bdienijem* i kolejnymi Liturgiami skupiali się wierni w swoich kręgach, siadali na kocach i śpiewali, śpiewali, śpiewali... Kiedy **Akulina Smyk**, mama **Jana Smyka**, dziennikarza radiowego, wracała do domu w Dobrywodzie ze Spasa na Grabarce, mówiła: – Wymodliłam się i wyśpiewałam.

Jan Smyk chce wskrzesić tę tradycję, jeszcze do niedawna tak żywą. Inicjatywę pobłogosławiła ihumenia monasteru św.św. Marty i Marii na Świętej Górze Grabarce **Hermiona**. I tak na wspólnym śpiewaniu nabożnych pieśni spotkamy się w nocy osiemnastego sierpnia po *wsienoszcznym bdieniju*:

21.00 – na schodach nowego domu pielgrzyma, a do śpiewu będzie nas zachęcać i ton nadawać chór parafii św. Jerzego w Białymstoku pod dyrekcją matuszki **Anny Cyrkun**.

21.40 – przy schodach prowadzących od źródełka u podnóża Góry do cerkwi Przemienienia Pańskiego. Pomoże nam chór działający przy bielskim oddziale Bractwa św.św. Cyryla i Metodego.

22.20 – przy zachodniej stronie cerkwi Ikony Bogarodzicy *Wsiech Skorbiaszczych Rodost'* dołączymy się po prostu do śpiewu pielgrzymów.

Oczywiście śpiewać można i w każdym innym miejscu między nocnymi Liturgiami.

Inicjatorzy wspólnego śpiewania chcą w ten sposób uczcić także pamięć *pokojnaho* Władyki **Jeremiasza**, który, jak pamiętają, zawsze służył o północy na Świętej Górze panichidę. **(ar)**



Na Świętej Górze Jawor

Wzorem lat ubiegłych pielgrzymi, śpieszący na Świętą Górę Jawor w wigilię święta apostołów Piotra i Pawła, zebrali się na całonocne czuwanie w cerkwi *Pokrowa* Matki Bożej w Hańczowej. Przybyłych arcypasterzy – biskupa przemyskiego i gorlickiego **Paisjusza** i szumperskiego **Izajasza** z Moraw (Cerkiew Ziem Czeskich i Słowacji) – piękną poezją



łemkowską i bukietami kwiatów witała młodzież. Ciepłe słowa przedstawicieli rady parafialnej i o. mitrata **Władysława Kaniuka**, miejscowego proboszcza, podkreśliły szczególny wymiar ich przybycia w roku wspominania 70-lecia Akcji Wisła. Śpiewał męski chór „Kliros” Diecezjalnego Ośrodka Kultury Prawosławnej w Gorlicach pod dyrekcją o. **Jarosława Grycza**. W świąteczny poranek do Wysowej Zdroju przybywają pielgrzymi. W miejscowej cerkwi parafialnej biskupów Paisjusza i Izajasza witają młodzież, przedstawiciele parafian oraz przełożony domu zakonnego, ihumen **Maksym**, także proboszcz parafii w Wysowej. Wszyscy udają się na Świętą Górę Jawor, gdzie w przygotowanym



namiocie, na działce, będącej własnością Cerkwi, rozpoczyna się Liturgia, której przewodniczą obaj biskupi, a asystuje im siedemnastu duchownych z Polski i Słowacji oraz trzech diakonów. Pięknie śpiewa chór diecezjalny „Irmos” pod dyrekcją *imości* **Marianny Jarej**. Po Ewangelii, ponad trzystu wiernych zebranych na Świętej Górze



Na Świętą Górę Jawor wyruszyła też pielgrzymka, zorganizowana przez bractwo cerkwi Zmartwychwstania w Białymstoku (zdjęcie obok). Trasa prowadziła przez Terespol, Jabłeczną, Turkowice, Łańcut, Rzeszów, Gorlice i Hańczową. 12 lipca dotarła na Świętą Górę Jawor

Jawor, biskup Paisjusz wzywa do wychowania młodego pokolenia w duchu prawosławnej wiary, tradycji i kultury naszego narodu, ostrzega przed zagrożeniami oraz wspomina tragedię Akcji Wisła – wzywa do modlitwy za jej ofiary i za tych, którzy przeżyli tę straszną golgotę naszych przodków, dziadów, ojców, sióstr i braci.

Poświęcono krzyż, który na Jawor przyniosło pięćdziesięciu pielgrzymów – uczestników XXVII pieszej pielgrzymki, organizowanej przez bractwo młodzieży prawosławnej z Zyndranowej. Wśród młodych pielgrzymów byli przedstawiciele bractw młodzieży prawosławnej z Warszawy, Lublina i Białegostoku, a także prawosławni Gruzini i Ukraińcy.

Biskup Paisjusz dziękował władyce Izajaszowi za wspólną modlitwę i podarował mu panagię. Biskup Izajasz pozdrowił wiernych naszej Cerkwi, przekazując im błogosławieństwo Wielkiej Morawy.

Władyka Paisjusz dziękował wszystkim, którzy przybyli w tym dniu, aby na Świętej Górze Jawor wznieść modlitwę ku świętym apostołom Piotrowi i Pawłowi. Za pracę dla dobra diecezji nagrodził o. mitrata Władysława Kaniuka medalem św. Maksyma Gorlickiego. O. ihumen Maksym zaprosił zebranych na agapę, przygotowaną na Górze Jawor.

Schodziliśmy ze Świętej Góry Jawor wzmocnieni duchowo i fizycznie, dziękując Bogu i świętym apostołom za piękny dzień, za naszych arcypasterzy i duchownych.

o. Mikołaj Grycz
fot. **Beata Klaja**

W święto św. Jana Chrzciciela w Gładyszowie

Narodzenie św. proroka i Poprzednika Pańskiego Jana Chrzciciela jest świętowane w szczególny sposób w parafii w Gładyszowie. Kiermesz 7 lipca corocznie skupia rzesze wiernych. To święto patronalne diecezji przemysko-gorlickiej.

Biskupa przemyskiego i gorlickiego **Paisjusza** przywitały wierszami dzieci i młodzież w łemkowskich strojach, chlebem i solą przed wejściem do świątyni rada parafialna, a w cerkwi proboszcz gładyszowskiej parafii o. **Arkadiusz Barańczuk**.

Liturgię celebrował władyka Paisjusz w asyście duchownych dekanatu gorlickiego oraz gości: o. ihumena **Sergiusza** (**Matwiejczuka**) z Supraśla, o. **Piotra Nestoruka** z Warszawy oraz o. **Mirosława Kuczyńskiego** z Ciechocinka.

O. **Piotr Pupczyk** z Krynicy-Zdroju wskazał na znaczenie święta w tradycji Cerkwi prawosławnej, z niepokojem mówił o organizowanych w tym czasie *subotkach*, inaczej nocach Kupały, nie mających nic wspólnego z tradycją chrześcijańską. Nawoływał do przestrzegania Postu Piotrowego i stania na straży prawosławia.

Biskup Paisjusz poświęcił ikonę *Raspiatija*, która ma upamiętniać 70 rocznicę Akcji Wisła. Wspominając o obozie w Jaworznie porównał ich drogę życia do tego, czego doświadczył „od tego świata" św. Jan Chrzciciel.

o. **Jarosław Grycz**

Uroczystości w Zyndranowej

W niedzielę 9 lipca biskup przemyski i gorlicki **Paisjusz** przewodniczył Liturgii w cerkwi św. Mikołaja w Zyndranowej. Oprócz miejscowych wiernych modliło się ponad sześćdziesięciu uczestników pielgrzymki podążających na Świętą Górę Jawor, organizowanej przez diecezjalne bractwo młodzieży prawosławnej.

Władyka podkreślił, iż zebraliśmy się w tej cerkwi, aby w siedemdziesiątą rocznicę tragicznej Akcji Wisła wznieść modlitwę eucharystyczną za jej ofiary.

Po Liturgii procesja skierowała się do Muzeum Kultury Łemkowskiej, prowadzonego przez rodzinę Goczów, na terenie którego biskup Paisjusz przed pomnikiem ofiar Jaworzna i Talerhofu odprawił panichidę, a potem poświęcił ikonę Ukrzyżowania Chrystusa i tablicę upamiętniającą wypędzonych w 1947 roku z rodzinnej ziemi Łemków.

Podziękował **Bogdanowi Goczowi** za wierność prawosławiu i kultywowanie tradycji i kultury Łemków w duchu



miłości i wzajemnego szacunku. Pan Bogdan ugościł wszystkich obecnych obiadem, po którym z Zyndranowej na Świętą Góry Jawor wyruszyła dwudziesta siódma piesza prawosławna pielgrzymka.

Po drodze pielgrzymi zatrzymali się przy kaplicy prawosławnej w Tylawie, gdzie władyka odprawił molebien i błogosławił wszystkich na dalszą drogę.

Mikołaj Grycz, fot. **autor**

■ W czasie konferencji prasowej, którą urządzono na pokładzie samolotu w drodze z Fatimy do Rzymu, papież **Franciszek** powiedział, że mocno wątpi w objawienia maryjne z Medziugorje. Przypomniał, że objawienia w religii katolickiej należą do sfery prywatnej, nie są częścią oficjalnego nauczania Kościoła i z tego chociażby względu wymagają dogłębnej analizy. A wobec przypadku Medziugorja jest mocno sceptyczny. – Raport komisji specjalnej, powołanej jeszcze przez **Benedykta XVI**, zawiera poważne wątpliwości. Osobiście wolę traktować Matkę Bożą jako matkę, naszą matkę, a nie szefową biura telegraficznego, która codziennie wysyła wiadomości o takiej i takiej godzinie. Tak nie robi matka Jezusa – mówił. Jednym z pierwszych hierarchów kościelnych, którzy mieli wypowiedzieć się pozytywnie na temat tych objawień, był **Jan Paweł II**. Historia objawień w Medziugorje, miasteczku obecnie na terenie Bośni i Hercegowiny, rozpoczęła się 24 czerwca 1981 roku. Szóstce małych dzieci na wzgórzu w okolicach miejscowej parafii rzekomo objawiła się Błogosławiona Maryja Dziewica, przekazując wezwanie do nawrócenia się świata, dążenia do pokoju i zaprzestania wojen. Od tamtej pory, jeśli wierzyć świadkom, Matka Boża nawiedza Medziugorje z zadziwiającą regularnością, ukazując się najpierw w miejscowym kościele przed wieczorną mszą, potem w specjalnie zbudowanym sanktuarium. Od pierwszych objawień Medziugorje stało się jednym z najpopularniejszych miejsc pielgrzymkowych w Europie. Co roku miasteczko odwiedza nawet trzy miliony pielgrzymów, najwięcej z Hiszpanii i Polski, organizuje je często Rodzina Radia Maryja.

■ Z opowieści **Martina Pollacka**, austriackiego pisarza, tłumacza literatury polskiej: W mojej wsi mamy oczywiście księdza Polaka, tak się zachowuje, że ludzie przestali przychodzić do kościoła. Burmistrz zawsze mówi: „Co ten twój Polak znowu wyprawia". A on jest modelowym przykładem. Pierwsze, gdy wszedł do kościoła – to mi sąsiadka z oburzeniem mówiła – zobaczył same starsze kobiety: „Co to, same kobiety?". Ten poprzedni miał ministrantki dziewczyny. Polak mówi: „Co to to nie, u mnie tego nie będzie". I wyrzucił te dziewczyny. Poprzedni ksiądz przed mszą przychodził i włączał centralne ogrzewanie. Polak mówi, że nie jest od tego. No to burmistrz wstaje wcześniej i włącza ogrzewanie, chociaż sam nie chodzi do kościoła. Taki ksiądz może zniszczyć wspólnotę we wsi, moja sąsiadka już jeździ do innego kościoła. Często słyszę we wsi: „Mamy teraz księdza Polaka. Jest bardzo arogancki".

■ Z listu w „Przeglądzie" (26.06-2.07. 2017) podpisanego „wykształciuch emigrant": „Cel obecnej „polityki historycznej" jest banalnie prosty: stworzyć bazę ideologiczną dla społeczeństwa feudalnego, takiego jakim byli Polacy przed 1945 r. Dlatego gloryfikuje się I i II RP, gdzie taki właśnie system panował, i na wszystkie sposoby opluwa się „komunę", która podjęła pierwszą (i zapewne ostatnią) próbę zbudowania względnie egalitarnego społeczeństwa. Dlatego bez przerwy powtarza się kłamstwa o luksusach, w jakich żyła „czerwona nomenklatura" kosztem „głodującego" społeczeństwa. No to niech mi ktoś pokaże te „luksusy komunistów" – gdzie są te pałace Gierka czy Jaruzelskiego? A jeśli chodzi o ów „głód", to w sielankowej rzekomo II RP w 1938 r. spożycie mięsa na głowę wynosiło około 22 kg, w 1980 – 74 kg, w 1989 – 68 kg, czyli i tak trzy razy więcej niż w II RP. Dopiero niedawno spożycie wróciło do poziomu 1980 roku. III RP potrzebowała więc 20 lat, żeby zwiększyć spożycie o 6 kg, natomiast z PRL urosło w tym samym czasie o jakieś 30 kg. Nasilenie manipulacji i retoryka obecnej władzy to już jest poziom stalinowski. Pamiętam trochę okres gierkowski i dobrze lata 80. Takiej agresji i zjadliwości wobec RP, jak obecnie wobec PRL, wtedy nie było".

■ Według ostatnich danych OECD, średni czas pracy Polaków w 2015 wyniósł 1963 godziny. To najwięcej od sześciu lat – podkreślono. W 2005 roku pracowaliśmy rocznie 1994 godziny, ale już w roku 2013 liczba przepracowanych godzin spadła do 1918. W rankingu OECD pod względem czasu poświęconego na pracę Polacy zajmują siódme miejsce na 38 krajów. Mniej od nas pracują Czesi – 1779 godzin, Słowacy – 1754, Holendrzy – 1419, Norwegowie – 1424 oraz Francuzi – 1482. Najwięcej pracują mieszkańcy Meksyku – w ciągu roku 2246 godzin. W czołówce są Koreańczycy, Chilijczycy, Rosjanie, Grecy i mieszkańcy Kostaryki. W Polsce powyżej 50 godzin tygodniowo pracują ponad dwa miliony ludzi. A blisko 900 tysięcy spędza w firmie ponad 60 godzin tygodniowo. Na więcej niż jednym stanowisku pracuje 910 tys. naszych rodaków. To 5,6 proc. wszystkich pracujących. Wielu z nich biega z firmy do firmy, by łatać dziury w rodzinnym budżecie. Koszt godziny pracy wynosi u nas 8,6 euro, średnia dla całej Unii to 25,4 euro.

■ Z felietonu **Bronisława Łagowskiego**: „Gdy stosunki między Ameryką a Rosją przybierają chrakter wrogi, polska klasa polityczna doznaje radosnego pobudzenia, bo to obiecuje wojnę. Gdy się polepszają, klasa markotnieje i w mediach objawia się masa komentatorów, wytykających rządowi amerykańskiemu naiwność i nieznajomość Rosji. Gdy wstępowaliśmy do NATO (tzn. gdy byliśmy przyłączani), był to sojusz obronny, ale przestał już być obronny i wciąga swoich członków w egzotyczne wojny. Zanosi się jednak na wojnę nieegzotyczną. Wojownicza część amerykańskiej klasy imperialnej życzy sobie wojny rosyjsko-ukraińskiej, co nazywa objęciem Ukrainy opieką NATO. Polska postsolidarnościowa, zarówno pisowska jak i platformerska, marzy, żeby wziąć udział w tej opiece. Dziwi mnie, że tak duża część polskiego społeczeństwa mimo to spokojnie patrzy w przyszłość. Żadnych objawów pacyfizmu nie dostrzegam. Polska zamiast być czynnikiem łagodzącym wrogość między NATO a Rosją, sieje wśród młodzieży „patriotyzm", nakazujący umierać za „niepodległość". Jak wiadomo nie ma niepodległej Polski bez niepodległej Ukrainy".

BUŁGARIA

Przybyły relikwie św. Pantelejmona

Dwie wielkie świętości z Góry Atos przybyły do Bułgarii. Wierni mieli okazję pokłonić się głowie św. Pantelejmona oraz cudownej ikonie *Wsiecarycy* z monasteru Watopedi.

Relikwie św. Pantelejmona zawitały 26 lipca do sofijskiej parafii pod jego wezwaniem. Uroczystościom przewodniczył patriarcha bułgarskiej Cerkwi **Neofit**. W sobotę, 15 lipca, z Rosji do Płovdiv przywieziono cząsteczkę omoforionu i szat Bogarodzicy.

Wielki męczennik Pantelejmon urodził się w 275 roku w Nikomedii w rodzinie bogatego poganina. Z żywotu wiemy, że przyjął chrześcijaństwo po tym, jak po modlitwie do Chrystusa udało mu się ożywić ukąszone przez żmiję dziecko. Od tej pory zaczął bezpłatnie leczyć ludzi. Jego popularność rosła, co nie mogło nie drażnić lekarzy – konkurentów. Jak często się zdarza w takich przypadkach, wszystko skończyło się na donosach, areszcie, torturach i kaźni.

Pierwszy opis żywotu, cierpień i śmierci wielkiego męczennika Pantelejmona sporządzili świadkowie jego kaźni. Już w IV wieku, jak tylko ustały prześladowania chrześcijan, zostały wzniesione pierwsze poświęcone mu świątynie w Nikomedii, Sebaście Ormiańskiej i Konstantynopolu, a potem w Rzymie.

W 1169 roku sobór Świętej Góry Atos oddał ruskim mnichom monaster pod wezwaniem świętego wielkiego męczennika Pantelejmona.

EGIPT

O prześladowaniach chrześcijan

Nie ustają prześladowania chrześcijan. 26 maja 2017 roku terroryści z Państwa Islamskiego napadli na koptyjskich pielgrzymów, którzy podążali do monasteru św. Samuela Wyznawcy w południowoegipskiej prowincji Mina. Zabili 29 osób, ranili 24.

O tragedii dziennikarzom Agencji Reuters opowiada dziesięcioletni **Mina Habib**. On i brat **Markiem** cudem przeżyli, ale stracili ojca.

Jechali do monasteru półciężarówką, gdy zatrzymali ich ekstremiści. Na drodze leżały zakrwawione ciała, bo isalmiści wcześniej zaatakowali dwa samochody.

– *Widzieliśmy martwych ludzi, których po prostu rzucono na ziemię* – opowiadał Mina. – *Terroryści zażądali, żeby mój ojciec wypowiedział muzułmański symbol wiary. Tata odmówił, powiedział, że jest chrześcijaninem. Zastrzelili go, potem zaczęli zabijać wszystkich, którzy byli razem z nami w samochodzie*.

Mina powiedział, że było piętnastu terrorystów. Chłopak nie wie, dlaczego nie zabili ani jego, ani brata, chociaż inne dzieci z samochodu rozstrzelali.

– *Zobaczyli nas w tylnej części ciężarówki. Kazali wyjść i człowiek w wojskowym uniformie skierował pistolet w naszą stronę, ale inny, ubrany cały na czarno, powiedział, żeby nas puścił* – opowiadał. – *Ilekroć strzelali, krzyczeli „Allach akbar”*.

Brat Miny Marek dodał, że terroryści *mówili po arabsku z egipskim akcentem i wszyscy byli zamaskowani, z wyjątkiem dwóch… Ci byli podobni do nas, nie byli brodaci*.

Terroryści zaatakowali trzy pojazdy, autobus i samochód przewożący rodziny z dziećmi do monasteru był pierwszym celem. Strzelali w okna, potem zabili wszystkich mężczyzn i zaczęli strzelać w nogi kobietom i dzieciom. Zabrali kobietom biżuterię. Zastrzelili niektóre dzieci. Potem, kiedy w jednym z samochodów islamistów pękła opona, zatrzymali półciężarówkę, w której jechała rodzina Miny Habiba, rozstrzelali pasażerów i zabrali pojazd. Gdy odjechali, dzieci mogły zadzwonić do mamy.

Chrześcijanie Koptowie, którzy stanowią 10 procent ludności Egiptu (92 mln ludzi), są poddawani prześladowaniom od wielu lat. W ostatnich miesiącach ataki nasiliły się, liczba ofiar przekroczyła sto osób.

FRANCJA

Informator Prawosławnej Cerkwi

O parafiach, diecezjach, biskupach, pracowniach ikonograficznych, wydawnictwach, organizacjach prawosławnych we Francji można przeczytać w opublikowanym nad Sekwaną „Informatorze Prawosławnej Cerkwi”.

Liczba prawosławnych we Francji nieustannie rośnie. W 2017 roku przekroczyła 500 tysięcy osób (700 tysięcy według katolickiego czasopisma „La Croix”, ze zdecydowaną przewagą prawosławnych z Rosji i Rumunii). Są wśród nich wierni regularnie biorący udział w nabożeństwach (około 75 tysięcy), ci, którzy przychodzą do cerkwi na wielkie święta oraz ci, którzy sporadycznie uczęszczają do świątyni, ale zostali ochrzczeni w obrządku prawosławnym i uważają się za prawosławnych.

W końcu XIX wieku we Francji było 20 tys. prawosławnych, w końcu XX – 200 tysięcy.

O. **Christophe Levalois**, prawosławny duchowny z cerkwi św. Serafima Sarowskiego w Paryżu, pisarz i redaktor orhodoxie.com uważa, że w połowie XXI wieku „liczba parafii prawosławnych dwukrotnie wzrośnie”. Dzisiaj jest ich 278 (160 w 2000 roku, 238 – w 2010), w tym 21 monasterów (pierwszy został założony w 1934 roku), zdecydowana większość po 1991 roku.

Liczba duchownych także stale rośnie. Arcypasterską posługę niesie dziesięciu biskupów (członków Zgromadzenia Prawosławnych Biskupów Francji), 330 (300 w 2010 roku) duchownych i diakonów (zazwyczaj żonatych i często wykonujących także inny zawód). Największą liczbę parafii ma Rumuńska Cerkiew Prawosławna (91).

We Francji istnieją trzy prawosławne szkoły teologiczne. Założony w 1925 roku Instytut Teologii św. Sergiusza z Radoneża był pierwszą prawosławną instytucją oświatową w zachodniej Europie.

Do początku XIX wieku prawosławne nabożeństwa odbywały się sporadycznie, jedynie w wyjątkowych sytuacjach (wizyta cara **Aleksandra I** w Paryżu w 1814). W 1816 w Paryżu pojawiła się pierwsza rosyjska kaplica. W 1834 w Marsylii otwarto pierwszą grecką cerkiew. W końcu XIX wieku

rosyjska arystokracja, zauroczona odpoczynkiem w Paryżu, a także na wybrzeżu Morza Śródziemnego (Nicea, Cannes, Menton) czy Oceanu Atlantyckiego (Biarritz), zainicjowała i zbudowała nowe prawosławne cerkwie.

„Informator Cerkwi Prawosławnej" w 2010 roku zastąpił nieregularnie wydawaną w latach 1983-1994 publikację „Cerkiew Prawosławna we Francji". W tym roku ukazało się jego uzupełnione i odnowione wydanie. Spośród najważniejszych wydarzeń ostatnich lat wymienić należy otwarcie rosyjskich duchowo-kulturalnych centrów w Paryżu i Strasburgu oraz zorganizowanie Dni Prawosławia w Paryżu. W 2018 roku planuje się otwarcie III Salonu Prawosławnej Książki w Paryżu i XI Prawosławny Zachodnioeuropejski kongres na południowym wschodzie Francji.

Od 1963 roku na informacyjnym kanale telewizyjnym France 2 raz w miesiącu nadawana jest audycja „Prawosławie". Od 2012 roku na katolickim kanale KTO także raz w miesiącu można obejrzeć program „Prawosławie, tutaj i teraz".

Częściej, bo dwa razy w miesiącu, można wysłuchać audycji radiowej „Prawosławie", emitowanej od 1964 roku w radiu France – Culture. Audycja pod takim samym tytułem nadawana jest dwa razy w miesiącu we francusko-belgijskim chrześcijańskim radiu RCF. Od 2012 roku w Radiu Notre Dame co tydzień wysłuchać można audycji „Światło prawosławia". Od 2005 roku istnieje serwis internetowy orthodoxie.com.

ROSJA

Wolność od grzechu i sprawiedliwości

– W dzisiejszym posłaniu do Rzymian (Rzym 6,18-23) apostoł Paweł uczy nas, że istnieją dwie wolności – wolność od grzechu i wolność od sprawiedliwości – zwrócił uwagę patriarcha moskiewski i całej Rusi **Kirył** po wyświęceniu cerkwi św. Eufrozyny, wielkiej kniagini moskiewskiej w Moskwie.

– Wolność od grzechu to zdolność człowieka, by wbrew wpływom otoczenia, narzucanym stereotypom myślenia i sposobom postępowania, zachować siłę przeciwstawienia się grzechowi. To rzeczywiście ogromna wolność, bo grzech jest atrakcyjny i jeśli ktoś poddaje się grzechowi, przestaje być wolny.

A czym jest wolność od sprawiedliwości (prawości)? To ta sama wolność, którą jest bardzo łatwo osiągnąć.

Do tej wolności człowieka popycha jakby intuicyjny początek: rób co chcesz, żadne tabu nie istnieje, żyj jak chcesz, wszystkie ograniczenia są względne, nie słuchaj nikogo, wyzwalaj swoje instynkty, żyj wolny. Czy nie tego uczą nas, może tylko bardziej inteligentnymi słowami?

Widzimy, co dzieje się na świecie: nawet prawodawstwo jest pobłażliwe wobec wolności od sprawiedliwości (prawości) i coraz rzadziej zewnętrzne okoliczności przyczyniają się do tego, by człowiek zachował wolność od grzechu.

W końcu tej części posłania apostoł Paweł pisze, że w wyniku życia wolnego od sprawiedliwości (prawości) następuje śmierć, a w wyniku życia wolnego od grzechu życie wieczne. To nie są słowa człowieka – to Bóg poprzez apostoła mówi całemu światu. On nie mówi z siłą ludzką – On zwraca się do nas w swojej Bożej mądrości i każdy z nas może potraktować te słowa poważnie albo je odrzucić, stać się wolnym od grzechu albo wolnym od sprawiedliwości (prawości).

A efekt będzie taki, o jakim mówi Bóg: wolność od grzechu to życie wieczne, a wolność od sprawiedliwości (prawości) to śmierć.

Bardzo wiele osób w swoim życiu doświadcza mocy tych słów. Najczęściej staje się to wraz z wiekiem, kiedy rośnie bagaż doświadczeń, kiedy człowiek wiele przeżył, z własnego doświadczenia zrozumiał, jak wielkie i straszne w swojej prawdzie jest słowo Boże, jak bezsensowne jest sprzeciwianie się mu w myślach, słowach, a tym bardziej w czynach.

Ale ludzie dopiero co rozpoczynający życie, zwłaszcza ci, u których wszystko układa się względnie pomyślnie, którzy jeszcze nie zetknęli się ani z nieszczęściem, ani z bólem, ani z cierpieniem, często nie rozumieją znaczenia tych słów, zwłaszcza pod wpływem informacji, które dzisiaj zalewają człowieka.

I zadaniem Cerkwi jest zwrócenie się zarówno do młodych, jak i do tych, którzy już są w dojrzałym wieku czy u kresu swych dni, podkreślanie, że Boże słowa są bezsporne i zawsze się spełniają – stwierdził patriarcha.

Irina Ratuszinska nie żyje

5 lipca w wieku 64 lat zmarła w Moskwie **Irina Ratuszinska**, rosyjska poetka i pisarka, gorliwa prawosławna, która za wiersze o Chrystusie trzy lata spędziła w więzieniu.

Urodziła się w 1954 roku w Odessie, ukończyła fizykę na odesskim uniwersytecie.

W latach władzy radzieckiej wydawała w *samizdacie* (podziemne wydawnictwo) tomiki poezji, była stałym autorem i bohaterem dysydenckiej „Kroniki bieżących wydarzeń".

Pierwszy wyrok otrzymała za wiersze o wierze, Bogu i ojczyźnie. Nie było w nich polityki, ale uznano je za antyradzieckie. Poetka mieszkała wtedy z mężem w Kijowie, została skazana na siedem lat z artykułu „antyradziecka propaganda".

W trakcie odsiadywania wyroku w żeńskiej kolonii o surowym reżimie Irina napisała autobiograficzną książkę „Szary – kolor nadziei", wtedy zaocznie została przyjęta do międzynarodowego PEN Clubu.

Po międzynarodowej kampanii w jej obronie Ratuszinska została po trzech latach zwolniona, po czym z mężem wyjechała do Londynu. Tam stała się duchowym dzieckiem metropolity suroskiego **Antoniego**. W 1987 roku została pozbawiona radzieckiego obywatelstwa, a w 1998 roku otrzymała obywatelstwo rosyjskie.

Irina Ratuszinska zawsze chciała, żeby jej synowie uczyli się w rosyjskiej szkole i w końcu 1990 roku jej rodzina wróciła do Moskwy.

Kiedy w latach poradzieckich w centrum Sacharowa została otwarta bluź-

niercza wystawa „Ostrożnie, religia", Irina Borisowna wraz z innymi byłymi więźniami politycznymi napisała list protestacyjny przeciwko szykanom wobec wiary.

W ostatnim czasie Irina Ratuszinska wyróżniała się spośród byłych dysydentów tym, że nigdy nie zapominała o interesach Rosji. Także w czasach radzieckich zdecydowanie odmawiała współpracy z ośrodkami działającymi przeciwko Rosji, co przyczyniło się do jej konfliktu z przedstawicielami amerykańskich elit.

W jednym z wywiadów mówiła: *– Jedna sprawa to walczyć z komunistycznym ustrojem. Tyle, że komunizm u nas się już skończył, a Rosja pozostała. Ale droga przez granty USA i innych krajów, które trzeba potem odpracować tak, jak sobie tego życzy grantodawca – to bardzo nieprzyzwoita droga. Widziałam tych ludzi – przed grantami i po. Ludzie zaczynają pracować rzeczywiście przeciwko swemu krajowi, zaczynają kłamać, a to niedobrze. To strasznie psuje ludzi. Właśnie psuje. Ja tak nie mogę, miałam inne poglądy. Chociaż mi, oczywiście, proponowano.*

Odsłonięcie pomnika Elżbiety Romanowej

Uroczyste odsłonięcie pomnika wielkiej księżnej **Elżbiety Romanowej** odbyło się 29 czerwca 2017 roku. Monument, wykonany przez uralskiego rzeźbiarza **Aleksandra Kokotiejewa**, stanął obok *Troickiego Soboru*, gdzie znajdują się relikwie świętej. To była ostatnia cerkiew, którą za życia odwiedziła wielka księżna.

Ponadsiedmiometrowej wysokości kompozycja przedstawia Elżbietę Fiodorowną, która trzyma w ręku krzyż i lilię, symbol czystości i wiary w Boga. Decyzję o odlaniu pomnika podjął w 2016 roku regionalny oddział Carskiego Prawosławnego Palestyńskiego Towarzystwa.

Odsłonięcia monumentu dokonali metropolici jekaterynburski i wierchoturski **Kirył** i ałapajewski **Metody** oraz przewodniczący Carskiego Prawosławnego Palestyńskiego Towarzystwa **Siergiej Stiepaszyn**.

– Elżbieta Fiodorowna była prawdziwą rosyjską kobietą, nie była Rosjanką z krwi, ale była absolutnie rosyjska z ducha. A założone przez nią i jej męża, wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza, Carskie Prawosławne Palestyńskie Towarzystwo kontynuuje działalność – powiedział po poświęceniu pomnika władyka Kirył. *– Dzisiaj rzeczywiście przeżywamy wielkie wydarzenie w historii Uralu i Ałapajewska. Nie jesteśmy w stanie cofnąć tragedii, do której doszło w naszym kraju ponad sto lat temu, ale jesteśmy w stanie wyciągnąć wnioski, by nigdy więcej nic podobnego się nie wydarzyło.*

– Dzisiaj wspominamy wielką księżnę Elżbietę Fiodorowną, która 18 lipca 1918 roku weszła na swoją golgotę – podkreślił Siergiej Stiepaszyn. *– Przed laty stała na czele Carskiego Prawosławnego Palestyńskiego Towarzystwa, została mniszką, i wszystko co miała oddała na budowę szkół i monasterów. Bardzo lubiła rosyjską ziemię i chociaż podczas rewolucji mogła wyjechać z kraju, zdecydowała się zostać. To pierwszy duży pomnik kniahini. To bardzo dobrze, że stanął w Ałapajewsku. Pomnik jest piękny i miejsce piękne.*

UKRAINA

Poparcie dla kanonicznej Cerkwi

Poparcie dla kanonicznej Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej i jej zwierzchnika, metropolity kijowskiego i całej Ukrainy **Onufrego**, okazali przedstawiciele lokalnych Cerkwi prawosławnych, którzy przybyli do Kijowa na uroczystości związane z chrztem Rusi.

Udział w konferencji prasowej wzięli metropolita borispolski i browarski **Antoni**, biskupi z jerozolimskiej, bułgarskiej, cypryjskiej, greckiej i polskiej Cerkwi.

– Dla Ukrainy nastały trudne czasy – powiedział metropolita **Tymoteusz** z patriarchatu jerozolimskiego. *– Modlimy się o pomyślność Ukrainy i zjednoczenie narodu. Ukraińska Cerkiew Prawosławna pod przewodnictwem metropolity Onufrego jest właśnie symbolem zjednoczenia narodu.*

Metropolita Ruse **Naum** (Bułgarska Cerkiew Prawosławna) podkreślił, że jego Cerkiew także przeżywała *raskoł*, ale dzięki modlitwie i Bożej pomocy został przezwyciężony. *– Nasza Cerkiew zawsze popiera Ukraińską Cerkiew Prawosławną i jej metropolitę Onufrego, wszystkich biskupów. Zanosimy modlitwy przed prestołem Najwyższego, żeby ochraniał i umacniał zwierzchnika Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej z biskupami, duchowieństwem i wierzącym ukraińskim narodem* – podkreślił.

Metropolita Tamasos **Izajasz** (Cypryjska Cerkiew Prawosławna) zwrócił uwagę na zagadnienie jedności Cerkwi w Chrystusie. *– Ciało Chrystusa jest jedno i kto jest związany z Ciałem Chrystusa, ten jest związany także z Nim. Powinienem powiedzieć: kto pozostaje w jedności z Ukraińską Cerkwią Prawosławną, ten jest w łączności także z nami. Tylko ona jest kanoniczną Cerkwią na Ukrainie* – podkreślił.

Metropolita Kitros, Katierini i Platomonu **Georgij** (Grecka Cerkiew Prawosławna) zauważył: *– Nasza obecność ma symboliczny charakter. Podczas Liturgii, którą sprawujemy dzisiaj razem z przedstawicielami innych lokalnych Cerkwi prawosławnych i biskupami Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, zaświadczamy o naszej wszechprawosławnej jedności wokół Czaszy Chrystusowej i w Świętym Duchu. Grecka Cerkiew Prawosławna i inne Cerkwie prawosławne uznają Ukraińską Cerkiew Prawosławną z metropolitą Onufrym na czele za jedyną kanoniczną Cerkiew na Ukrainie.*

Arcybiskup wrocławski i szczeciński **Jerzy** dodał: *– Chciałbym wezwać nas wszystkich do nasilenia modlitw o jedność świętego prawosławia, o to, by Pan darował wiele sił, duchowego wsparcia i łask metropolicie Onufremu i całemu episkopatowi w trwaniu w kanonicznym świętym prawosławiu, na które wylewa się łaska Świętego Ducha. A bez niej nie ma Cerkwi.*

Na podstawie pravoslavie.ru

oprac. **Ałła Matreńczyk**

ISSN 1899-9018
Nr indeksu 371416

сами о собі
сами о себе
самі про себе
самі пра сябе
samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny /105/ sierpień 2017



Настаўнік – Пісьменнік – Святар

У звычайным разуменні смерць кожнага чалавека, калі б яна ні з'явілася да яго, жывымі лічыцца заўсёды заўчаснай, а ў дачыненні да архіяпіскапа Сімана – шматкроць заўчаснай з увагі не толькі на выключны ягоны статус у іерархіі праваслаўнай Царквы ў Польшчы, але таксама незвычайную індывідуальнасць і непаўторнасць ягонай асобы, у якой арганічна аб'ядноўваліся два неразлучныя ў ім дзейнікі – вучань і настаўнік, слухач і аратар, паслушнік і эрудыт, чытач і пісьменнік, вернік і святар.

Калі перастала біцца ягонае сэрца, яшчэ мацней увідавочніліся ягоныя ўчынкі і здзяйсненні. З іх найбольш вылучаецца тое, што ў кожным чалавеку архіяпіскап Сіман умеў бачыць цэлы хрысціянскі космас і адначасова ў тым жа вялікім хрысціянскім космасе заўважаў простага чалавека з яго штодзённымі клопатамі, а не натоўп прыхаджан, царкоўную паству.

Такія адметныя рысы ягонага характару, узбуйненыя грунтоўнай вышэйшай філалагічнай адукацыяй, садзейнічалі выразнаму выспяванню ў ім патэнцыяльнага беларускага пісьменніка. З сённяшняй перспектывы можна ўжо сказаць, што ўсе тры ягоныя іпастасі (настаўнік – пісьменнік – святар) ад самага пачатку існавалі ў ім, як у зерні існуе ўся праграма ўсяго далейшага росту расліны: ад карэння да цвіцення і насення.

Невыпадкова пасля заканчэння ўніверсітэцкай вучобы ў Мінску Сымон Раманчук вяртаецца ў сваё роднае старонне і працуе ў Міхалове настаўнікам. І ў тым жа часе пачынае займацца літаратурнай творчасцю, далучаецца да літаратурнага асяроддзя беларускіх пісьменнікаў у Польшчы як асоба адораная,

Уладыка Сіман на аўтарскай сустрэчы ў Бельскім доме культуры, 29 кастрычніка 2013 года і ў Цэнтры праваслаўнай культуры, 28 кастрычніка 2013 года (с. 45)

тэарэтычна падрыхтаваная да такой працы і з шырока адкрытым кругасветам, і якая не кідае слоў на вецер.

За кароткі час сваёй працы настаўнікам Сымон Раманчук напісаў адзінаццаць апавяданняў і большасць з іх апублікаваў на "Літаратурнай старонцы" ў "Ніве" Георгія Валкавыцкага.

У гэтай першай рэфлексіі няма месца для паглыбленага аналізу ягонай пісьменніцкай творчасці. Аднак можна ўжо цяпер смела сказаць, абапіраючыся на новыя празаічныя творы Сымона Раманчука, апублікаваныя ім у апошнія гады жыцця і асабліва неапублікаваныя (у тым ліку і на аўтабіяграфію "Карэнні жывакосту"), што ў першым перыядзе свайго жыцця ён ішоў па тым жа жыцці, арыентуючыся ў выбары свайго далейшага шляху на культуровыя знакі, літаратурных герояў і сімвалы, каларытныя вобразы еўрапейскай культуры. Ужо ў сярэдняй школе, а затым і ва ўніверсітэцкія гады ён жыў, так бы мовіць, над грамадска-сацыяльнай рэчаіснасцю, поўнасцю паглыблены ў яе мастацкае адлюстраванне – музыку, песні, тэатр, оперу, кіно, высокую літаратуру.

Закладзены ў ім патэнцыял празаіка патрабаваў ад яго, аднак, канкрэтыкі, ведання рэальнай быційнасці жыцця. Напісаўшы дзесяць апавяданняў, Сымон Раманчук піша і наступнае, але гэтым разам цалкам іншае па зместу ды вобразных і лагічных сэнсах. У творы "Восень жыцця" аўтар нечакана падводзіць вынікі сваёй літаратурнай працы. У апавяданні выступаюць два героі – Алег і Саша. Па сутнасці ўсё ж аўтар гаворыць сам з сабою, размаўляе са сваім двайніком. Ягоны alter ego, Алег, вядзе дзённік. У сваіх кароткіх запісах (адрасаваных свайму сябру Сашу) ён развітваецца з жыццём – расчараваны ім, людзьмі, творчасцю.

Невядома, калі тое апавяданне было напісана Сымонам Раманчуком. Можна меркаваць, аднак, што напісаў яго аўтар у 1965 годзе (або годам-двума пазней), калі даспела ў ім перакананне, што быць шараговым, звычайным пісьменнікам і настаўнікам – яму замала, таму што ў гэтай прафесіі для яго няма ўсё ж чагосьці больш грунтоўнага, фундаментальнага, адзінага, за чым тужыць душа. І што ёсць магчымасць узыйсці на вышэйшы ўзровень працы настаўніка і пісьменніка – стаць духоўнікам, святаром. У тым жа годзе Сымон Раманчук стаецца студэнтам Праваслаўнай тэалогіі Хрысціянскай тэалагічнай акадэміі ў Варшаве.

Апавяданне "Восень жыцця" перадае якраз унутранае, псіхалагічнае змаганне аўтара з самім сабою. Аўтар піша: "У існаванні многа дзён, якія да мяне не належаць", "бачанае адпіхнула мяне ад людзей", "Заўтра зноў дзень барацьбы з самім сабою", "Хочацца ўцячы ў нейкі храм спакою і цішыні. Не знаходжу яго і ў гэтым уся мая трагедыя". У сваю чаргу Алег кажа пра Сашу: "Твой погляд на жыццё і людзей зусім іншы"; "Вы, літаратары, і рынуліся ў псіхалагізм". Затым голас Алега і Сашы зліваюцца ў адзін, і чытаем: "Усе мы ўзялі на аперацыйны стол адзінку-чалавека. Трэм яго, быццам хірургі рэжам, варочаем, а які толк?"

А ў заканчэнні апавядання Сымон Раманчук выяўляе сваё новае крэда: "Ёсць яшчэ і іншыя людзі (...) Іх трагедыя ў наіўнасці, у донкішоцтве. Гэтыя людзі, што ваююць з ветракамі, не знаюць спакою. Гэта нейкае дзіўнае змаганне, гэта боскі парыў. Да якіх людзей належу я? Да гэтых апошніх".

"Восень жыцця" Сымона Раманчука – твор, якім аўтар правёў, як паказвае ягоная далейшая біяграфія, непераходную мяжу паміж тым, што было да 1965 года і тым, што мела быць. Зыходзячы з культуровых арыенціраў, вучань бельскага педагагічнага ліцэя, студэнт універсітэта ў Мінску і настаўнік з Міхалова мэтанакіравана тварыў свой зямны лёс па высокіх духоўных узорах еўрапейскай хрысціянскай культуры. І не кідаў слоў на вецер да канца сваіх дзён. І зноў невыпадкова ў апошнія свае пяць-шэсць гадоў зямнога жыцця вярнуўся да літаратурнай творчасці, падкрэсліваючы гэтым цэласнасць сваёй індывідуальнасці і ўдзячнасці за падораныя яму таленты.

Светлая яму памяць!



Ян Чыквін
фото **Анна Радзюкевіч**

Восень жыцця

Званок зазваніў раз, другі. Шырокаплечы, са змучаным тварам і добрымі вачыма чалавек павольна ўстаў з-за стала, выпраставаўся і, не спяшаючыся, пайшоў да дзвярэй. На парозе стаяў нейкі незнаёмы ў чорным паліто і невялічкім капелюшы.

— Пан Віленскі? — спытаўся незнаёмы.

Чалавек са змучаным тварам са здзіўленнем аглядзеў незнаёмага.

— Так, я вас слухаю.

— У мяне да вас справа. Сур’ёзная...

— Тады прашу, заходзьце. Люба! — звярнуўся ён да кагосьці на кухні. — Мяне няма дома! — Прашу, — уваходзячы ў гасцінную, казаў гаспадар. — Калі ласка, сядайце. Я вас слухаю, — працягваў ён, пакуль госць уладкоўваўся ў крэсле.

— Вы знаеце Алега Северскага? — спытаў незнаёмы.

— Так... Але, з кім маю чэсць?..

— Міліцыя. Вось мой дакумент. Мы не хацелі раней вас турбаваць, перашкаджаць у працы, таму што многае трэба было высвятліць.

— Не разумею... — бляднеючы і прадчуваючы нешта нядобрае, сказаў Віленскі. — Выбачайце, не разумею... Міліцыя? Да мяне?

— Да вас. Вы ведалі Алега, праўда?

— Ведаў, але гэта мне яшчэ нічога не тлумачыць! — працягваў хвалявацца Віленскі.

— Выбачайце, я, здаецца, пералякаў вас. Але нам трэва ведаць — вы былі з ім знаёмы? Прашу адказаць, гэта важна. Супакойцеся, вы тут ні пры чым, проста ваш адказ патрэбен, каб лічыць справу закончанай.

— Гэта быў сябра майго юнацтва. Потым мы разышліся, а нават можна сказаць, раз’ехаліся. Я быў за граніцай, дзе быў што рабіў ён не ведаю. Мы не перапісваліся, хаця калісьці вельмі любілі адзін аднаго.

— А цяпер з ім што? Вы ведаеце? — спакойна спытаў незнаёмы.

— Не. Ведаю толькі, што ён жыў у Шчэціне. Год таму назад нечакана прыйшло ад яго пісьмо. Па поваду маёй кнігі апавяданняў. Дзякаваў. Я паслаў яму адказ, але пісьма больш не атрымаў. Гэтым, праўду кажучы, усё кончылася...

— А ведаеце, пане Віленскі, яго ўжо няма, — ціха сказаў незнаёмы.

— Вы пра што?

— Я кажу яго няма, Алега. Са снежня. Знайшлі мёртвым над каналам у Шчэціне. З гэтым сшыткам у кішэні паліто. Там было запісана. Ён прасіў аддаць сшытак вам...

— Але... не, гэта страшна! Чаму? Як гэта здарылася?.. — ускрыкнуў пан Віленскі.

— Урач сказаў, што ён замёрз. Мабыць, быў п’яны. Там яго і пахавалі, — гэтак жа ціха сказаў незнаёмы.

— Сёння я рашыў пабачыць вас і выпаўніць волю даўнейшага вашага знаёмага, а гэтым самым закончыць справу.

— Вы верыце, што яна гэтым закончыцца? — гледзячы недзе ў бок, спытаў Віленскі. — Чалавек можа загінуў не проста так, — быццам разважаючы з сабою, працягваў ён. — Вы, міліцыя, пішаце «Справа №», адкрываеце і закрываеце тэчку з паперамі гэтай справы, але ці тут канец? Вам патрэбны факты, але за кожным фактам стаіць кусочак чалавечай душы! З гэтым вы лічыцеся?

— Лічымся. Вельмі лічымся...

— Напэўна? — быццам забыўшыся, працягваў Віленскі. — Лічыцеся... А чалавека, усё ж, няма... Жаль, але ўжо позна. Вы сказалі, што сёння справа закончыцца. А для мяне справа толькі пачынаецца. Дзе гэты сшытак?.. Дзякуй.

Віленскі ўстаў, узяў памятыя лісты паперы, падышоў да акна, вярнуўся, зноў сеў.

— Я яшчэ вам патрэбен? — углядаючыся ў твар незнаёмага, ціха спытаў ён.

— Не, выбачайце, гэта ўсё. Усяго добрага! — развітаўся незнаёмы.

Віленскі працягваў сядзець. Вестка аб смерці даўняга сябра прыкавала яго да крэсла. Раптам яму зрабілася страшна, і ён паклікаў жонку.

— Любка, ты памятаеш? Я расказваў табе аб мастаку, сябры майго дзяцінства. Памятаеш? Вось, прынеслі мне сшытак і аб’явілі, што яго ўжо няма... Не, гэта немагчыма! — ажывіўся ён.

— Гэта несправядліва! Вось табе і Алежка! Кажуць, замёрз п’яны. І чамусьці захацеў, каб гэты сшытак аддалі мне толькі мне! Глядзі, колькі ён напісаў!..

* * *

«Саша! Я не ведаю, чаму мне раптам захацелася пісаць, але відавочна, так трэба. Чалавеку кепска, калі ён адзін. Хаця ты паслухай мяне... Я буду пісаць урыўкамі, будзь добры, не насміхайся, лепей пісаць не ўмею. Дат не стаўлю, рэдка іх памятаю... Прачытай, табе спатрэбіцца.

* * *

Як хутка бягуць дні! Быў учора на полі і бачыў умершыя,. пустыя палеткі. Пералякала мяне іх безнадзейнае адзіноцтва. Сярод аднавобразнай, шэрай раўніны я не прыкмеціў найменшага следу жыцця. Пуста ўсюды, толькі халодны вецер, быццам магілкавае дыханне, бязлітасна рве кроны дрэваў і нясе ўдаль умершае лісце таполяў, вербаў, дубоў Помніш? Мы вучылі.

Грустно н жутко. Заря умирает,
Чёрные лужи повсюду блестят;
Туча всё ниже н ниже сползает,
Меркнет, бледнея, закат.
Небо осеннее сыростью дышит.
Сердце трепечт, ему холодно.
Крикнуть о помощи...
Кто же услышит?
В поле безлюдно, темно.

Не ведаю, чаму мне гэтак сумна. Можа таму, што палі ўжо больш не зеляняцца. Але ж вясна зноў прыйдзе! Адкуль жа сум? Развітаўся я з думамі, спадзяваннямі, марамі. Адыходзіць не толькі лета, адыходзіць вясна майго юнацтва. Наступае восень. Восень жыцця...

* * *

У маім існаванні многа дзён, якія да мяне не належаць. Гэтыя дні напоўнены страшэннымі зданнямі, быццё якіх нельга вытлумачыць лагічным спосабам. Разумееш, раптам свет закрываецца нейкай чорнай сурветай, якаясьці дзіўная загадкавая сіла разбурае ўсё навокал мяне, — застаюцца толькі руіны. Сёння я магу спакойна гаварыць з табою; пішу і адпачываю. Калі-небудзь я раскажу табе гэту дзіўную гісторыю. Гэта яна прынесла з сабою буру, загадала перажыць фантастычны сон і зразумець — іменна зразумець — людзей з самага «дна» жыцця, як гэта вы, эстэты, прывыклі называць людзей уніжаных, якім плацяць за мінуты нізкай звярынай асалоды.

Я пазнаў гэты свет і бачанае яшчэ болей адапхнула мяне ад людзей, сярод якіх я жыву, з якімі сустракаюся. Між намі — бяздонне! Па-мойму, усюды «дно». Розніца вось у чым: адны з людзей — хітрэйшыя, больш спрытныя, якія жывуць як «дно», але ў іх ёсць вялікае ўменне — уменне маскіравацца, ашукваць.

Сэнс «дна» ў тым, што людзі адгэтуль не ўмеюць хітраваць, або гэткія заняткі ім ужо даўным-даўно абрыдлі. Ненавіджу ашуканства, хлусні і ведаю, мне не пазбегнуць адзіноцтва. Таму, калі прыйдзе маё крушэнне, пайду шукаць чалавечых пачуццяў на цёмныя вуліцы вялікіх гарадоў, да гэтых маўклівых поўных беспарапыннага чакання ценяў.

Крэсны ход, гарэўшыя навокал галоўні-лампадкі, напамінаюць нейкія цудоўна-таямнічыя хвіліны. Люблю гэты час, гэтае трапятанне чалавечых сэрцаў. Быў перапынак у набажэнстве. Раптам я прыкмеціў цябе! Ты ішоў з незнаёмай мне дзяўчынай.



* * *

Габэна ведаеш? Француз. Цудоўны «Парыжскі бадзяга». Ты бачыў гэты фільм? Кахаю Парыж, хаця і не быў там ніколі. Праўду кажучы, хачу пабачыць толькі два гарады: Горад Мадзільяні, Тулюз-Латрэка, Жэрар Філіпа, — і той другі, Парыж Паўночны, туманны і задуменны Ленінград. Ах, мары, мары? Зрэшты, гэтым я толькі і жыву.

Быў канец зімы, ці гэта была ўжо вясна (у святах я не разбіраюся) — не памятаю. Кінуў я Шчэцін, прыехаў на Беласточчыну, у нашу малую, раскінутую на скраю Белавежскай пушчы, вёсачку. Людзі святкавалі Вялікдзень. Пайшоў я ў царкву. Проста, мне хацелася пагледзець на людзей, пачуць хор, ты ж не забыў, як прыгожа ў нас спяваюць!

Мне зноў хацелася паглядзець на натоўп людзей, плывучы вакол белакаменнай царквы. Жонкай, нарачонай? Мне хацелася падысці, пагаварыць, але я стаяў, не мог ступіць ні кроку. Ты пайшоў, не заўважыў мяне. У тую ноч я больш цябе не бачыў. Ці пабачу калі-небудзь?

* * *

Мой спакой працягваецца, таму і пішу. Не ўдалося мне яшчэ, аднак, вызваліцца ад здарыўшагася. Калі б ты мог бачыць! Пэндзаль мой повен суму. Малюю нявінны тварык дзіцяці, а сум гаворыць, жыве. Гэта след тых трагічных, загінуўшых твараў... Бедаю, твой погляд на жыццё і людзей зусім іншы, больш вучоны, поўны сэнсу, інакш успрымаючы тыя ж самыя з'явы і факты.

Намаляваў табе лермантаўскага «Дэмана» У. Врубеля. Ён — увасабленне звышчалавечай сілы, след шалёных унутраных перажыванняў, барацьбы. Гэта сімвал парываючай прыгажосці, але прыгажосці, сеючай вакруг,

быццам вогненны меч, смерць разрушэння, збіраючай багаты ўраджай людскіх мукаў. На жаль гэты ўсемагутны дэман у сваёй прыгажосці, грозе і сіле — няшчасны і ніхто не зможа ніколі сказаць па якой прычыне, чаму?..

Твая кніжка вельмі мяне зацікавіла. Ты кахаеш людзей, гэта відна. Ты маеш адну пераможную якасць, даражэйшы дар — ты падабаешся ўсім з першага позірку. А я, вось, адзін. Сам сабе і блазен і кароль. Сам, таму што нельга вярнуць гуку, які прагучэў, як нельга сабраць з зямлі разлітую ваду...

Ты думаеш я адзін такі? Я знаю многіх паэтаў, артыстаў. Гляджу на іх, прыглядаюся. Ведаеш, што тут найбольш неспадзяванае? Гэтыя людзі, ці то з-за сваёй уражлівасці, ці поглядаў, ці творчых пошукаў, ідуць на касцёр чалавечых плётак і паддаюцца балючаму полымю інквізіцыі — жыццю. Уяві сабе, аказваецца, гэтым людзям якраз найлепш на кастры інквізіцыі. Здагадваешся, чаму? Адтуль лепш за ўсё відаць усякую подласць, людскую нікчэмнасць і ўсялякія іншыя свінствы. А ўсяго гэтага — быццам асенняга балота — няма магчымасці абмінуць.

Адсюль вы, літаратары, і рынуліся ў псіхалагізм. Не пярэчу, ты маеш рацыю, мастакі зрабілі тое ж самае. Усе мы ўзялі на аперацыйны стол адзінку — чалавека. Трэм мы яго, быццам хірургі рэжам, так і гэтак, варочаем, а які толк?

А то ёсць яшчэ і іншыя людзі. Трагічней яны ад упамянутых. Іх трагедыя ў наіўнасці, у донкішоцтве. Гэтыя людзі, ваюючыя з ветракамі, не знаюць спакою. Гэта нейкае дзіўнае змаганне, гэта боскі парыў. Да якіх людзей належу я? Да гэтых апошніх.

Нейкая сіла прыказвае ўзяць пэндзаль у рукі і маляваць. Кладу фарбы, як балота. Хачу, каб больш было ў ёй балота жыцця. Але ніколі мне ніхто праўды не скажа, чаго варта мая праца. Можа яна варта пахвалы, можа толькі пляўка?..

Калі акружаюць мяне цені, страшныя зданні, подласць і зло, тады я дарэмна шукаю збавення. Няма яго! Хочацца ўцячы ў нейкі храм спакою і цішыні. Не знаходжу я яго, і ў гэтым уся мая трагедыя.

* * *

Трагедыя мая павялічваецца з кожным днём. Ты думаеш, жанчына? Я прытрымліваюся думкі філосафаў: «Жанчына — забаўка, зробленая з паперы; яна цікавая датуль, пакуль яна цэлая; калі яна папсуецца — губляе ўсякую цікавасць, таму што выглядае як кусок парванай паперы».

Мае палотны — гладкае, ліхое балота. Ты, эстэт кахаючы прыгажосць, ці ж захочаш трымаць у сваім доме гэты абсурд — мой малюнак? Зразумела не, наіўны я чалавек! Я нічога на магу табе абяцаць! Не, не прасі мяне, я не магу прыехаць да цябе, я баюся сустрэчы. Яна будзе штучнай. Я чужы для цябе і баюся, мы можам чаго добрага пасварыцца. Вельмі многа змянілася ў нашым жыцці. Не вярнуць перажытага. Жыццё — акіян, а мне яго ніколі не перайсці. І крылляў у мяне няма, ды і лётаць я не ўмею...

Мінулае не вернецца, такі закон. Шкада мне нашай дружбы, шкада школьных год... Ты разумееш, шкада, быццам шкада жыцця. Праўду кажучы, я больш цаню і даражу тым першым. Даўно ўжо за поўнач. Пішу бог ведае як! Заўтра зноў дзень барацьбы з самым сабою, з безнадзейным жыццём. Адзіноцтва, як спрут, душыць мяне, высмоктвае кроў, мучыць, як павук муху.

Ведаю, ты ўжо больш ніколі не напішаш мне. Навошта табе такі псеўда-друг? Помні толькі — сярод усіх нас, знаўшы цябе, толькі я адзін па-сапраўднаму разумеў твой боль і расчараванні. Выбачай, гэты эгаізм дыктуе ўстаючы дзень. Баюся зноў быць адзін, адзін сярод людзей, сярод белага свету.

Пішы! Зрэшты... Калі атрымаеш гэтыя карткі, мяне ўжо не будзе. Я ведаю гэта. Са мной здарыцца тое ж, што здарылася з адным англійскім матросам, якога змыла вялікая хваля. Ты не чуў аб гэтай гісторыі?.. У 1868 годзе плыў карабель у Лондан. Адзін з членаў экіпажа ў ранак Хрыстова нараджэння бачыў сон: каля мыса хваля змые яго і яшчэ кагосьці, і яны загінуць. Сон паўтарыўся. Быў дан матросу прыказ спусціць шлюпку. Матрос адмовіўся. Начальства рашыла запісаць гэты факт у дзённік. Старшы ўзяў за пяро, а матрос прашаптаў: ведаю цяпер, хто другая асоба майго сну. Шлюпку з імі спусцілі, тут велізарнейшая хваля з такой сілай ударыла ў карабель; што шлюпка перавярнулася, а матрос са старшым назаўсёды адышлі з хваляй...

Гэтак і са мною будзе. Як гэта здарыцца — няважна. Але я ведаю, будзе канец. Мяне або заб'юць, або зап'юся да смерці, замерзну пад плотам, як нікому непатрэбны стары сабака...

Гэты сшытак прышлюць табе. Прачытай, успомні. Такі я быў не заўсёды. Гэта восень майго жыцця. Лісты гэтага сшытка — можа да чаго-небудзь і будуць прыгодны. Пра мяне не пішы нічога — я не варты гэтага. Не здзіўляйся, што менавіта табе я пішу аб усім. Калісьці мы разам марылі, помніш? Ты цяпер вялікі, пра цябе ў газетах пішуць. Дай Бог табе шчасця! Твой даўні сябра, Алег.

П. С. Пра мяне не пішы нічога. Не трэба, каб аба мне помнілі. Бацькоў ужо няма, памяць нікому, значыць, і не патрэбна. Будзь здароў, шчаслíў, славен!».

Сымон Раманчук
фото **Анна Радзюкевіч**

Strażnik białowieskiej przyrody

Dzięki powołaniu do życia Białowieskiego Parku Narodowego, część unikatowej przyrody Puszczy Białowieskiej przetrwała w stanie zbliżonym do naturalnego i cieszy serca oraz oczy przyrodników, a także licznie odwiedzających ten obszar turystów. Bezpośrednią pieczę nad Parkiem sprawują strażnicy, których zadaniem jest strzeżenie tego fragmentu puszczy przed ludzką ingerencją. Większość opiekunów białowieskiego matecznika, których było sporo, odeszła już do wieczności. Przypomnijmy jednego z nich – Aleksego Korniejczuka, w dwudziestą rocznicę jego śmierci.

Aleksy Korniejczuk należał do tego typu ludzi, którzy całkowicie oddają się swojej pracy. Jeden z dyrektorów Parku, **August Sławik**, w opinii o nim napisał, że „jest pracownikiem starannym, dobrze wypełniającym obowiązki". Podobnego zdania był bezpośredni przełożony Korniejczuka – leśniczy **Jacek Wysmułek**: „Aleksy Korniejczuk posiada duże doświadczenie w pełnieniu powierzonego sobie odcinka pracy. Cieszy się autorytetem i uznaniem tak u przełożonych jak i przybywających do Parku". Białowieski strażnik był ponadto przewodnikiem turystycznym i pszczelarzem, a do tego osobą niezwykle barwną i powszechnie znaną w Białowieży.

Ród Korniejczuków wywodzi się ze wsi Mokre, położonej na terenie gminy Kotra, w powiecie prużańskim (obecnie na Białorusi). Aleksy przyszedł na świat 20 sierpnia 1911 roku w kolonii Mariampol. Jego rodzice – **Mikołaj** i **Aleksandra** z domu **Kowalewicz** – byli zamożnymi gospodarzami, posiadali kilkadziesiąt hektarów własnej ziemi, w tym łąki i sady. Aleksy miał trzech braci: **Michała**, **Wasyla** i **Karpa**.

Po ukończeniu w 1923 roku czterech klas szkoły powszechnej Aleksy zaczął pomagać ojcu na roli, najmował się też okazyjnie do pracy w lesie. Związek małżeński zawarł 3 lutego 1935 roku w suchopolskiej cerkwi, jego żoną została **Maria Chometa**. W 1938 roku urodził się im syn **Aleksander**, który po odbyciu służby wojskowej w połowie lat 60. ożenił się i zamieszkał w Bytomiu. Zmarł w listopadzie 2015 roku, tam też jest pochowany. Córka **Olga** (zamężna – **Dworakowska**), przyszła na świat już po wojnie, w 1950 roku, mieszka obecnie w Białowieży.

W czasie wojny rodzina Korniejczuków (matka, trzej synowie z rodzinami oraz syn Michał, który był kawalerem) znalazła się na liście osób przeznaczonych przez władze radzieckie do wywózki do Kazachstanu, która nastąpiła 10 lutego 1940 roku. Głowa rodziny, Mikołaj, pełnił funkcję wójta, do tego posiadał duży majątek, więc uznano go za „kułaka". W początku 1940 roku został aresztowany i ślad po nim zaginął. Korniejczukowie trafili do miasta Atbasar w obwodzie akmolskim. Aleksy pracował jako cieśla. W 1943 roku został wcielony do tzw. „armii truda" i wysłany na Ural, do osady Niżniaja Sałda (w rejonie swierdłowskim), gdzie pracował w fabryce broni do połowy 1946 roku.

Brat Karp na zesłaniu wstąpił do armii Kościuszkowskiej. Po wojnie osiadł w Baranowiczach (BSRR), pracował na stanowisku zastępcy dyrektora w suszarni owoców. Brat Michał przeszedł cały szlak bojowy z Wojskiem Polskim wraz z synem swego brata Wasyla – **Janem**, który jeszcze żyje, mieszka w Gryfowie Śląskim, ma 95 lat. Michał trafił do niewoli niemieckiej, gdzie zmarł na zapalenie płuc i został pochowany we Frankfurcie nad Menem. Wasyl tuż po wojnie krótko mieszkał w Białowieży, później przeniósł się do Prużany (Białoruś).

Matka Aleksego pozostała w ZSRR, mieszkała w okolicy Prużany. Aleksy z rodziną przyjechał do Polski. Ich transport zatrzymał się 30 lipca 1946 roku we Wrocławiu. Do rodzinnej wsi nie mogli powrócić, bo właściwie nie było do czego. Po ustaleniu wschodniej granicy państwowej wieś znalazła się w BSRR, a cały ich majątek został przez władze radzieckie skonfiskowany. Z początkiem września 1946 roku Aleksy zatrudnił się jako robotnik w tartaku w miejscowości Pokrzywne na terenie gminy Przemków, wówczas znajdującej się w powiecie szprotawskim. Pracował w nim niecały rok, do 5 marca 1947 roku. Przyjechał do Białowieży. Tutaj zatrzymał się w obszernym domu należącym do krewnej żony – felczera **Olgi Smoktunowicz** (z domu Bajko) – jak się później okazało, na całe życie. Podjął pracę przy stawianiu płotów w rezerwatach żubrów i łosi. Najmował się także jako cieśla po okolicznych wsiach. Krótko pracował w tartaku w Strabli (woj. białostockie). Rodzina Korniejczuków gospodarki w Białowieży nie posiadała, jednak w pierwszych latach powojennych trzymała jedną krowę.

Nowy okres w życiu Aleksego rozpoczął się 16 listopada 1948 roku, gdy został zatrudniony jako strażnik w Białowieskim Parku Narodowym. Pracował w Ścisłym Rezerwacie Przyrody – najważniejszej części Parku, okresowo także w Parku Pałacowym w Białowieży.

Praca strażnika parkowego nie należała do łatwych. Nie wszyscy bowiem mieszkańcy Białowieży rozumieli i akceptowali ideę ochrony unikatowej białowieskiej przyrody. Parku trzeba było bronić przed kłusownikami, a także przed zbie-



Aleksy Korniejczuk w uroczysku Filipówka – z żoną Marią i wnukiem Krzysztofem (syn Aleksandra). Koniec lat 70.

raczami grzybów i jagód. Szkody mogli wyrządzać również turyści. Aleksy wytrwale i niezłomnie strzegł powierzonego mu obchodu przed wszelkimi ludzkimi zakusami. Oczywiście jego nieugięta postawa przysporzyła mu wrogów wśród ludzi, nie przestrzegających prawa. Grożono mu, starano się w różny sposób zaszkodzić. Ale Aleksy nie poddawał się, choć był moment, gdy złożył już podanie o przeniesienie go na podobne stanowisko w rezerwacie żubrów.

Oprócz wykonywania podstawowych obowiązków, Korniejczuk pomagał też licznym naukowcom w zbiorze materiału do badań naukowych. Na przykład w latach 1955-56 współpracował z **Józefem Ząbkiem** i **Ryszardem Zarębą**, którzy określali wiek i wymiary świerków w Puszczy Białowieskiej. Prowadził też, wraz z innymi strażnikami, obserwacje faz rozwoju roślin w okresie wegetacyjnym.

Kontakty z licznymi naukowcami, przyrodnikami, fotografikami przeradzały się z czasem w serdeczne przyjaźnie. Wśród przyjaciół Aleksego warto wymienić chociażby przyrodnika, fotografa, filmowca i pisarza **Włodzimierza Puchalskiego** (1908-1979) czy geobotanika, dendrologa, artystę-fotografika prof. **Janusza Hereźniaka** (1935-2016). Obaj często odwiedzali białowieskiego strażnika, korzystali również z noclegów w jego domu. Włodzimierz Puchalski wpadł jeszcze do Korniejczuka na krótko przed swoim ostatnim wyjazdem do Antarktyki w 1978 roku. Janusz Hereźniak po śmierci strażnika utrzymywał więzi przyjaźni z jego córką Olgą. W 2014 roku przysłał jej swój świeżo wydany album poświęcony drzewom, oczywiście – z dedykacją.

W ramach obowiązków służbowych Aleksy często oprowadzał grupy wycieczkowe. Nic więc dziwnego, że gdy 26 kwietnia 1959 roku w Białowieży powstało Koło Przewodników PTTK został jego członkiem, oczywiście – po zdaniu egzaminu przewodnickiego. W latach 1959-1960 pełnił funkcję członka Zarządu Koła Przewodników PTTK w Białowieży. W 1961 roku jako jeden z pierwszych przewodników otrzymał legitymację poświadczającą państwowe uprawnienia przewodnickie. Korniejczuk znalazł się także w gronie dwunastu osób, które 22 stycznia 1962 roku jako pierwsze w Kole złożyły przyrzeczenie przewodnickie. Był przewodnikiem bardzo aktywnym, rocznie oprowadzał ponad sto wycieczek. W 1984 roku Koło wręczyło mu dyplom honorowy – był wówczas jednym z pięciu najstarszych wiekiem i stażem białowieskich przewodników.

Czasem zdarzało mu się oprowadzać dziennikarzy, którzy z sympatią wspominali swego przewodnika w reportażach. Niektórzy z nich, jak na przykład dziennikarze „Expressu Wieczornego” w zimie 1969 roku uwieczniali Aleksego na zdjęciach, ilustrując nimi swoje artykuły.

W pracy Aleksy dał się poznać jako działacz związkowy. Od 1949 roku był członkiem Związku Zawodowego Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Piastował w nim m.in. funkcję męża zaufania grupy związkowej. Polityką się nie interesował, do żadnych partii nie należał. Był natomiast członkiem dwóch organizacji społecznych – PCK i TPPR.

Kierownictwo Parku doceniało jego sumienną pracę, wyrazem czego były przyznawane mu prawie każdego roku nagrody pieniężne. Na początku stycznia 1976 roku otrzymał awans na stanowisko starszego strażnika. Na emeryturę przeszedł 30 września 1976 roku, gdy osiągnął wiek emerytalny.

Pasją życia Korniejczuka było pszczelarstwo. – Ojciec zajmował się nim – jak wspomina córka Olga – od zawsze. Należał do Związku Pszczelarzy w Hajnówce. Był jednym z najbardziej znanych i cenionych na tym terenie pszczelarzy.

Białowieski strażnik i przewodnik odznaczony został odznaką „Zasłużony Białostocczyźnie”, medalem 40-lecia PRL oraz medalem „Za długoletnie pożycie małżeńskie” (50 lat).

Aleksy Korniejczuk zmarł 4 lipca 1997 roku. Jego żona Maria odeszła trzy lata później – 7 sierpnia 2000 roku. Oboje spoczywają we wspólnym grobie na białowieskim cmentarzu.

Piotr Bajko, fot. **z archiwum Olgi Dworakowskiej**

На бязмежнай «Трапінцы»

– На Падляшшы шукаем не толькі інспірацыі для ўласнага развою. Працуем над захаваннем памяці аб шматкультурнасці рэгіёна, хочам спрычыніцца да аховы яго прыроднага культурнага багацця. Прагнем супольна ствараць месца для сустрэч з літаратурай, мастацтвам, навукай і прыродай, прастору абмену і творчых дзеянняў. Трапінка з'яўляецца інтуіцыяй напрамку, прадчуваннем сцежкі, вытаптанай у Пушчы – таксама чалавекам. Сцежкі, якая таксама часам зарастае, час ад часу паяўляецца, неспадзявана і прывабна. Якраз на ёй хочам шукаць дыялогу прадбачваючага гатоўнасць слухання, адабрэнне і цікаўнасць да Іншага. Дзякуючы такой адкрытасці, лягчэй будаваць супольнасць суіснавання, пракрочваючы стэрэатыпы.

У Дварку Русо ў Свінароях каля Нараўкі група сяброў Пушчы, аматараў прыроды і энтузіястаў міжкультурнага Падляшша, жыхароў Нараўкі і яе ваколіц, гасцей з усяго рэгіёна і розных частак Польшчы і Еўропы стварылі «Трапінку – Асацыяцыю дзеля дыялогу». Хочуць яны садзейнічаць міжкультурнасці Падляшша, спрыяць развіццю гэтага незвычайнага рэгіёна, раздумваць над яго феноменам і ствараць прастору для сустрэч і дыскусій пра ўсё, што ім здаецца важным. Запрашаюць усіх падтрымаць свае дзеянні.

19 снежня 2015 г. згуртаванне завяршыла ўсе фармальнасці і «Трапінка» была зарэгістравана. Людзі, згуртаваныя вакол «Трапінкі», сталі працаваць афіцыйна і запрасілі ўсіх прыхільнікаў уступаць у асацыяцыю. Згуртаванне зарэгістраванае ў сталіцы На раўчанскай гміны, але ёсць сярод іх людзі з усёй Польшчы і іншых краін. У іх няма пастаяннай сядзібы. Таму зацікаўленыя ў членстве ў асацыяцыі і яе дзейнасці могуць звязацца з імі, адправіўшы запыт на іх сайт: www.tropinka.org.

Дні, калі збіраюцца трапінкаўцы, вельмі багатыя. Рады ўдзельнічаць яны ў розных мерапрыемствах. Адным з іх быў паказ фільма «Інакіня», пастаўленага Праваслаўным брацтвам з Гайнаўкі, другім – вечар рэлігійнай паэзіі «Праваслаўе ў паэтычным слове». Сардэчна запрашалі ўсіх на дэбаты, арганізаваныя наконт павелічэння высечак у Белавежскай пушчы, лічыўшы, што гэтая тэма, такая важная для нашага рэгіёну, павінна стаць



прадметам сур'ёзнай дыскусіі, выходзіўшай за межы вузкага кола спецыялістаў і не павінна спыніцца, калі сціхне шум у СМІ. Хацелі мець магчымасць гаварыць з усімі зацікаўленымі бакамі. Запрашалі ўсіх, хто мае ў душы лёс Белавежскай пушчы і заклікалі прыняць удзел у розных абмеркаваннях. Рэкамендавалі сустрэчу аб альбоме Дарафея Фіёніка пад загалоўкам «Бежанства. Дарогі і вяртанні 1915-1922». «Ён хацеў гаварыць, але ніхто не хацеў слухаць», – расказвала **Віялета Шымусяк-Парэда** пра свайго дзеда-бежанца; дзед сваю гісторыю ў рэшце рэшт запісаў. Адкрыты крыху выпадкова ягоны дзённік пачаў жыць сваім жыццём… Паказалі фільм пра «Сярожу», чалавека з пушчы, якую ён называе «часткай раю на зямлі» – ідэйны камуніст кідае партыйны білет, ідзе ў праваслаўную семінарыю, у год ваеннага становішча ўступае ў сялянскую «Салідарнасць», а затым 30 гадоў будуе драўляныя хаты, карчмы, цэрквы. Калі ў яго спыталіся, ці будаўніку не шкада, што столькі драўніны ў лесе марнуецца, адказаў: «У свеце няма нічога дарма. Гэта наша багацце, якое мы павінны прадаваць не ў выглядзе кубічных метраў драўніны, але як цікавы, не меўшы аналагаў ва ўсім свеце свет прыроды. Тут мы можам убачыць, як ён выглядаў». Выслухалі сярод зорак вечара таксама беларускага музыку **Зміцера Вайцюшкевіча-Тодара**. Збіраліся, каб паглядзець новыя эпізоды серыі «Чытанне Пуш-



чы» рэжысёркі **Беаты Хыжы-Чалпінскай**, творы легендарных аўтараў польскіх фільмаў пра прыроду – **Бажэны** і **Яна Валеніцкаў**, якія знялі больш за 50 фільмавых аповедаў – у асноўным пра Белавежскую пушчу, у тым ліку два першыя серыялы пра польскую прыроду, рэалізаваныя для TVP SA: «Пульс дрымучага лесу» і «Сага пра першабытны лес». Цыкл «Чытанне Пушчы» распавядае пра Белавежскую пушчу і людзей (стваральнікаў культуры, навукоўцаў, філосафаў, журналістаў, натуралістаў), якія трактуюць пушчу як месца сваёй мары, каб жыць, працаваць або весці даследаванні. Гэта не праграма строга натуральная, а хутчэй філасофская казка пра прыроду, адносіны чалавека да яе, і наша месца ў ёй. Вярнуліся да тэмы старых садоў, якую ініцыявалі некалькі гадоў таму. Вельмі хочуць сабраць калекцыю ўсіх сартоў садовых дрэў, якія да гэтага часу захаваліся на Паўночным Падляшшы. Для гэтага будуць інвентарызаваць старыя сады або асобныя дрэвы, каб апісаць іх, адзначыць разнастайнасць і ўзяць памаладкі для прышчэпак. Гэта не аднаразовая ініцыятыва. Інвентарызацыя і прышчаплянне будуць ісці паступова ў бліжэйшыя гады. Хацелі б сабраць інфармацыю як мага хутчэй, намеціць яе на карце і падчас плёну дастацца да гэтых фруктовых садоў. Пазначэнне сорту патрабуе часта спецыяльных ведаў і ў сувязі з гэтым супрацоўнічаюць з лепшымі спецыялістамі ў краіне. Акрамя таго, хочуць, каб узрасла адчувальнасць грамадства да гэтых пытанняў, каб паспрабаваць прадухіліць высечку да нашай пары пладаносячых фруктовых садоў, часта блізкія стагадовых. Трапінкаўцы заклікаюць таксама абшукаць усе існуючыя ў рэгіёне Белавежскай пушчы і Даліны верхняй Нарвы традыцыйныя сарты гародніны, кветак і зёлак.

Запрашаюць да размовы: «Мы група неаднародная, якая аб'ядноўвае жыхароў гэтых раёнаў і імігрантаў з іншых частак Польшчы і Еўропы. Ёсць сярод нас людзі ўсіх узростаў, часта з вельмі розным жыццёвым вопытам, прадстаўнікі розных прафесій. Яднае нас цікавасць да культуры і спадчыны памежжа, чэрпанне радасці з адкрывання духу гэтых гістарычна мультыкультурных раёнаў, вера ў тое, што можна «прыгожа і моцна адрознівацца», і што дацэньванне гэтай адрознасці мае вялікае значэнне і вядзе да плённай дыскусіі, пашырае нашы гарызонты... Як філосаф **Анджэй Ляшчынскі** ў тэксце «Прыгожае слова дыялог» нагадаў нядаўна, што самае лепшае, што вынайшлі грэкі, гаворыць аб выкрочванні (дыя-) па-за сябе – па-за сваю думку (логас). Дыялог – «розум удваіх», як называў яго **Юзаф Тышнер** – гэта адмаўленне менталітэту «глушцоў», якія такуюць усё па-свойму і глухія яны да навакольнага асяроддзя. У вузкім коле звужаецца думка, пісаў нямецкі аўтар **Фрыдрых Шылер**. Праўда гэта ствол, які вырастае з многіх каранёў, каб магчымым было спазнанне – павінна быць па меншай меры дзве пазіцыі. Чым больш іх будзе, тым больш надзейным будзе такі ствол. Культываванне дыялогу пачалі мы ў сваіх уласных шэрагах, запрашаем далучыцца да нас усім, хто верыць у яго магчымасці!» «Трапінка» спрабуе ўзнавіць гісторыю леснічоўкі ў Свінароях, сённяшняга Дварка Русо.

Хто бацькі «Трапінкі»? **Міхал Васілюк** – гайнавянін, пражываючы ў Нараўцы, па адукацыі інжынер механік: «Адкрыванне невядомых месцаў – асабліва на Падляшшы – гэта магчымасць «аднаўляння» нашага рэгіёна, гэта радасць і задавальненне, на якія разлічваем у „Трапінцы"». Кацярына Бяляўская – выпускніца Варшаўскага ўніверсітэта на факультэтах педагогікі і гістарычным (прагістарычная археалогія), ад гадоў займаецца ахоўваннем шматкультурнай спадчыны рэгіёна, атрымала ў Кракаве дыплом прызнання за заслугі ў галіне аховы яўрэйскай спадчыны, удзельніца Агульнапольскай канферэнцыі «Лідары дыялогу», арганізаванай Фондам «Форум дыялогу паміж Народамі». **Данель Пішчатоўскі** – германіст, літаратуразнаўца, навуковы супрацоўнік Варшаўскага ўніверсітэта. У ваколіцы Белавежы і Нараўкі прыязджае ад гадоў, прыцягваны культурнай адрознасцю і натуральнай красой гэтага рэгіёна. Хацеў бы, каб «Трапінка» стала месцам сустрэч і абмену на розных узроўнях. **Кацярына Андрасюк**, гайнавянка, англістка, аматарка творчага патэнцыялу абочын у культуры і на карце, поўная захаплення для традыцыйнага рамяства, у «Трапінцы» шукае спатканняў, размоў, інспірацыі і супольных дзеянняў гарманічнага суіснавання людзей і прыроды, а таксама радасці ад дзялення сваіх захапленняў з іншымі. **Кацярына Ляшчынская**, унучка бежанцаў, пасля вайны кінутых

на «Ziemie Odzyskane», па перакананнях грамадзянка Еўропы, якая курсіруе паміж Цюрыхам, Варшавай і Белавежскай пушчай. Чаго шукае ў «Трапінцы»? Шматкультурнага Падляшша. Крытычнай і салідарнай супольнасці, адкрытай на дыялог, цікавай Іншасці. Дзеянняў дзеля Прыроды. Нішы, якая падтрымлівае развой крэатыўнасці, якая робіць магчымым супольнае дзеянне, думанне і святкаванне. **Манфрэд Бехлер** (Bächler) – швейцарскі мікрабіёлаг ад больш чым 20 гадоў «заражаны» Падляшшам, якое адкрывае да сёння, паказваючы яго турыстам з Нямеччыны і Швейцарыі. Прырода ўсходняй Польшчы нагадвае яму дзяцінства ў Альпах Фрыбургскіх, дзе, на жаль, біяразнароднасць цяпер з'яўляецца толькі ўспамінам. Тым больш цэніць прыродныя і ландшафтныя скарбы Падляшша, асабліва Белавежскую пушчу. Верыць, што ахова прыроды і развой турызму не мусіць быць «зачынены ў запаведніку», а могуць яны быць пазітыўным імпульсам для мясцовых грамад: дзякуючы цікавым месцам працы, інспіруючым кантактам з людзьмі з усяго свету. Чаго шукае ў «Трапінцы»? «Буры мазгоў», дзеянняў дзеля прасоўвання рэгіёна і аховы яго прыроднай і культурнай спадчыны, дыялогу і інтэлектуальнага абмену думкамі па-над межамі. **Ларс Брыгс** – дацкі біёлаг, які шмат гадоў жыў і працаваў у Белавежы, адкуль родам яго жонка Малгажата Бушко. Надалей вяртаецца на ўсход да свайго старога драўлянага дома, які адрамантаваў згодна з тутэйшай архітэктурай. Захапляе яго асаблівы культурны краявід Падляшша і яго дзікая прырода. З'яўляецца аўтарам праектаў аховы і рэнатуралізацыі заліўных тэрыторый на Белавежскай паляне і ў даліне Нарвы на адрэзку Нарва – Візна. Аляксандра Саснова з Нараўкі, кончыла гебраістыку, яе захапленнем з'яўляецца бацькаўшчына, яе мова, гісторыя і прырода, назірае таксама гісторыю, сацыялогію і культуру Ізраіля і Беларусі. **Іаанна Ляшчынская**, **Паўліна Васілюк**, **Марыёля Зёмэк**, **Магдаліна Ляшчынская**, **Дар'юш Шульц**, **Катажына Корнцэцка-Налівайка**, **Анна Патаповіч**, **Марта Шульц**... **Лена** і **Мікалай Харкевічы**, жыхары рэгіёна Белавежскай пушчы ад гадоў, піянеры агратурызму і байдарак у Нараўчанскай гміне, лаўрэаты турыстычных і рэгіянальных кірмашоў, таму што бачаць і дацаняюць патэнцыял, які нясе з сабой лагодны турызм і залежыць ім на прасоўванні рэгіёна з яго ўраўнаважаным развоям.

Чарговы Беларускі дзень з цыкла Спатканні на мяжы адбыўся яшчэ вясной, у пандараўчанскіх Свінароях «Пад дубамі».

– Беларусь, якая блізкая да Польшчы, тут мала вядомая, – казала матушка **Аляксандра Саснова**. – Веды аб Беларусі абапіраюцца часта на інфармацыі СМІ наконт актуальнай палітычнай сітуацыі ды на стэрэатыпы. Замала часу аддаем беларускаму мастацтву, прыродзе, грамадству. Праз наступныя дні на фейсбукавай старонцы «Трапінкі» пісалася многа пра герояў дня, пісалі пра Беларусь, прадстаўлялі беларускую музыку і мастацтва. Нашу прыгоду адкрыў ткацка-жывапісна-паэтычны аповед **Кацярыны Сянкевіч**. Беларуская тканіна аказваецца быць глыбока сімвалічнай, што робіць яе вельмі цікавай у сённяшнім свеце мастацтва. Кацярына Сянкевіч расказала пра асаблівасці беларускай тканіны, прызналася да чаго дасталася, шукаючы ў мінскай бібліятэцы, і ў які спосаб захапленне ткацтвам уплывае на яе карціны і паэзію. Сустрэчу з К. Сянкевіч вяла **Міра Лукша**, якая таксама чытала свае вершы з новай кнігі «Радаслоў». **Тамаш Суліма**, культуразнаўца і антраполаг, беларускі дзеяч з Падляшша, павёў слухачоў праз палескія багны, паказваючы, якім блізкім нам з'яўляецца беларускае Палессе – вёў аповед пра прыроду, гаворкі і грамадскую мазаіку. Інтэрв'ю з Тодарам (Зміцерам Вайцюшкевічам) на тэму бягучых беларускіх спраў правяла



журналістка-трапінкавічка Беата Хыжы-Чалпінская – ад увядзення ў яе фільм «Чытанне Пушчы» з Тодарам.

Вечар завяршыў канцэрт Тодара. Кася са «Свойскай хаты» паявілася з півам і рэгіянальнымі стравамі. Было «пышна» – як ацэньвалі перш за ўсё самыя маладыя трапінкаўцы, хаця цяла як мячамі аграмадная наднараўчанская камарня, якой не напалохае ані агонь, ані мяжа.

Міра Лукша, фота **аўтаркі**



W ćwierćwiecze sąsiedzkich relacji

W Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie 27 czerwca kilka tysięcy osób uczestniczyło w uroczystościach obchodów święta narodowego Białorusi (oficjalne obchody 3 lipca). Zostały one w tym roku połączone z 25 rocznicą nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Białorusią.

Do zgromadzonych zwrócił się ze słowem ambasador Białorusi w Polsce **Aleksander Awierianow**. Mówił o potrzebie dobrosąsiedzkich relacji, które owocują rozwojem współpracy gospodarczej i wymiany kulturalnej. Zachęcał polskich przedsiębiorców do inwestowania na Białorusi, przypominając że spośród około trzystu firm, które weszły na białoruski rynek, żadna się z niego nie wycofała.

Wspaniały pokaz tańca i śpiewu dał białoruski państwowy akademicki zespół choreograficzny „Charoszki". Przeplatał lirykę z dynamiką, płynność z akrobacją wręcz, przekazując, głównie w tańcu, koloryt różnych epok w dziejach białoruskiej ziemi oraz kulturę różnych warstw na niej żyjących, od chłopskiej po książęcą. Zaprezentował doskonale dopracowane układy choreograficzne, pełne gracji, harmonii i nieoczekiwanych zwrotów. Po koncercie, przyjętym z aplauzem, wszystkich zaproszono na poczęstunek.

Stosunki dyplomatyczne w ciągu ćwierćwiecza między Polską i Białorusią przypominają mi taniec, w którym to Polska chce sobie rezerwować rolę wiodącego partnera, ale i nauczyciela tańca, bacznie czuwając, by jego partnerka nie popadła w objęcia Rosji.

Po przemianach ustrojowych Polska obrała kurs euroatlantycki, Białoruś natomiast nie chciała zrywać związków z Rosją. Każdy kraj miał własną wizję przyszłości. Ówczesna premier polskiego rządu, **Hanna Suchocka**, podczas wizyty 18 listopada 1992 roku w Mińsku, już w niecałe dziewięć miesięcy po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Polską i Białorusią, zwróciła uwagę na zbytnie zbliżenie białorusko-rosyjskie. To był zgrzyt dyplomatyczny. Kryzys we wzajemnych relacjach pogłębiał się zwłaszcza od końca 1993 roku, gdy Polska zdecydowała się wstąpić do NATO (jest członkiem od 1999 roku).

Od lipca 1994 roku prezydentem kraju staje się **Aleksander Łukaszenka**. Polskie media, ale i władze, jego rządy będą nieustannie określać jako reżimowe. W 1996 roku polska dyplomacja podjęła jednak próbę budowy tak zwanego trójkąta brzeskiego. Miał on zbliżyć trzy kraje – Polskę, Białoruś i Ukrainę, dwa ostatnie oddalając od Rosji. Ze strony polskiej była w tym okresie tak otwarta krytyka „antydemokratycznego reżimu Łukaszenki", że doszłoby zapewne do niemal całkowitego zawieszenia relacji między sąsiednimi krajami, gdyby nie obawy Polski, że ta sytuacja spowoduje zdominowanie Białorusi przez Rosję. Od 1996 roku polska dyplomacja przyjęła strategię tzw. „krytycznego dialogu", koncentrując się na ochronie praw mniejszości polskiej oraz polskich interesów gospodarczych na Białorusi. Popierała wszelkie inicjatywy izolacji Białorusi na arenie międzynarodowej.

22 stycznia 1999 roku uchwalono „Posłanie Sejmu do Narodu Białoruskiego", wyrażając chęć współpracy z tą częścią białoruskiego narodu, która pragnie demokratycznych przemian i budowy rynkowej gospodarki. Władze Białorusi potępiły ten krok. Mogły go uznać za zbyt daleko idącą ingerencję w jej wewnętrzne sprawy. W tym samym roku polski rząd wsparł finansowo stację Radio Racja, z założenia prozachodnią. W 2001 roku polska strona skrytykowała przebieg prezydenckich wyborów na Białorusi.

Potem próbowano przełamać impas. W 2003 roku doszło do wizyty na Białorusi marszałka Senatu **Longina Pastusiaka** i premiera polskiego rządu **Leszka Millera**.

Ale po pomarańczowej rewolucji na Ukrainie w 2004 roku, prezydent Łukaszenka, bojąc się powtórki podobnych zamieszek w swoim kraju, zaostrzył kontrolę opozycji, także mediów, a w czerwcu 2005 roku doszło do wydalenia z Białorusi polskich dyplomatów. Łukaszenka krytycznie odniósł się do „Karty Polaka", dającej pewne przywileje obywatelom Białorusi polskiej narodowości.

Następuje kryzys w obustronnych stosunkach.

Polska jednak wychodzi z kolejną inicjatywą – programem Partnerstwo Wschodnie, do którego chce włączyć także Białoruś. W 2008 roku Białoruś odwiedza minister spraw zagranicznych **Radosław Sikorski**. W kolejnym roku, przy wsparciu strony polskiej, jest przełamywana izolacja Białorusi na międzynarodowej arenie i przy udziale prezydenta Łukaszenki zainaugurowano program Partnerstwo Wschodnie.

Polski rząd zacieśnia obecnie polsko-białoruskie relacje. Włącza się w proces poprawy stosunków na linii Mińsk – Unia Europejska i szerzej Białorusi z Zachodem. W 2016 roku Polska była trzecim partnerem handlowym Białorusi i dziewiątym inwestorem. Dla Białorusi jest szóstym rynkiem eksportowym. W czerwcu 2010 roku pełniący obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej **Bronisław Komorowski** zatwierdził umowę o małym ruchu granicznym, dzięki której mieszkańcy około tysiąca podlaskich miejscowości, leżących do 30 kilometrów od granicy, mogliby bez wiz przekraczać polsko-białoruską granicę. Umowa jednak nie weszła w życie, ponieważ nie podpisał jej prezydent Białorusi.

Od października 2016 roku obywatele Unii Europejskiej mogą bez wiz wjechać na pięć dni na Białoruś. Wymagany jest paszport i dokument, wydany przez białoruskie biuro podróży. W województwie podlaskim w ten sposób można przekraczać granicę na przejściach w Kuźnicy-Bruzgi i Rudawka-Lesnaja.

Polska ma na Białorusi trzy placówki dyplomatyczne – ambasadę w Mińsku i konsulaty generalne w Grodnie i Brześciu. Białoruś ma ambasadę w Warszawie, konsulaty generalne w Białymstoku i Gdańsku oraz konsulat w Białej Podlaskiej.

Anna Radziukiewicz
fot. **autorka**

Добрина у Казимежі

Друге місце в категорії «Фольклор – продовження» на Загальнопольському фестивалі капел та народних співаків у Казимежі над Віслою зайняв ансамбль «Добрина» з Білостока. На цей найпрестижніший конкурс фольклору в Польщі український молодіжний колектив потрапив після відбірного концерту, який пройшов минулого року в Чорній-Білостоцькій. Про участь у конкурсі розповідає Анна Качук, учасниця «Добрини».

Людмила Лабович: – У цьогорічному фестивалі в Казимежі ваш ансамбль «Добрина» зайняв друге місце. Чи їхали на цей конкурс з думкою про нагороду?

Анна Качук: – Ми свідомі, що в Казимежі дуже високий рівень, але, очевидно, хотіли зайняти добре місце. Не було так, що їдемо тільки тому, що хочемо показатися. Дуже хотіли, щоб це було високе місце і боялися – займемо щось чи ні. Не знали, як нас приймуть, бо в Казимежі виступають переважно польські колективи, а ми співали український репертуар. Однак після нашого виступу ми зустрілися з позитивним відгуком. Було велике зацікавлення, приходило до нас багато людей та організаторів інших концертів. Говорили, що їм подобалось і просто нас запрошували на свої фестивалі. Так що ми після виступу набралися більше відваги і зрозуміли, що ми є в доброму місці. Ми дуже задоволені з того другого місця.

– Як готувалися на цей конкурс?

– Приготування до фестивалю в Казимежі ми почали вже давно. Разом з керівник ансамблю Олександрою Іванюк я їздила до бабусь з села Добривода. Ми записували від них пісні з такою думкою, що виберемо якусь найгарнішу до Казимежа. Хотіли заспівати підляський репертуар, бо знали, що метою фестивалю є презентація свого регіону, своєї культури. У нашому репертуарі є пісні і з Підляшшя, і з України. У Казимежі ми хотіли представити лише підляський фольклор. Так що ми записали пісні в Добриводі, пізніше їх прослуховували і вибрали найкращу. Тоді почалися репетиції, на початку вони були раз на тиждень, а вже перед самим фестивалем ми зустрічалися двічі на тиждень. Так що репетиції були інтенсивні.

– Заспівали пісні тільки з Добриводи?

– Перша пісня, яку ми презентували в Казимежі, це була пісня «Туга моя туга» з Добриводи. Раніше ми виконували її на конкурсі «З підляської криниці» в Більську-Підляському. Я не чула, щоб на Підляшші хтось інший її співав. Інші також говорили, що ще ніколи її не чули. Бабусі з села Добривода, зрештою, підкреслювали, що то їх місцева пісня. Коли вони були молодші, співали її на різних фестивалях. Багато перших місць завоювали саме з тою піснею.

Друга пісня, яку ми співали, це була «Ой там на травку, там на муравку». Це підляська веснянка. Третя пісня – «Цвіте терен» – більш відома. Ми її опрацювали на три голоси.

– У Казимежі звертають увагу не тільки на репертуар, але також на костюми.

– Одяг, в якому співали, були суто підляський. На жаль, це не були наші костюми, ми просто



їх позичили. Два саяни, тобто спідниці, ми позичили від жінок з Добриводи. Від них ми також мали хусточки і фартушки. А решту костюмів позичили від «Родини» – від бабусь з Дуб'яжина, Підбілля.

– Які враження від самого фестивалю?

– Мої враження дуже сильні. Це справжній, великий фестиваль. Польська культура, яку ми там побачили, є різноманітна, я навіть про це не знала. Багато костюмів, які я побачила на фестивалі, були для мене невідомі. Я усвідомила собі, що варто довідатися більше про польську культуру різних регіонів, окремі місцеві традиції і передовсім костюми. Фестиваль справив на мене велике враження.

– Уже перед вами в Казимежі виступали інші підляські колективи, які виконують український фольклор, між іншими «Полудниці» чи «Слов'яночки» з Білостока. Частина учасників «Добрини» співала колись зі «Слов'яночками»…

– Я якраз не співала зі «Слов'яночками» в Казимежі, але три дівчата, які зараз з нами їздили, раніше виступали в Казимежі.

Це нам придалося, бо вони вже знали, що є важливе на фестивалі – що костюми і пісні, які треба приготувати, мають бути регіональні.

– Ваш ансамбль відносно молодий – ви співаєте разом п'ять років. Чим для «Добрини» є нагорода на такому престижному фестивалі?

– Виступ на такому великому фестивалі це для нас нагода, щоб просто стати популярними. Дякуючи таким фестивалями ми пізнаємо нових людей, пов'язаних з культурою, фольклором, до яких пізніше можемо поїхати на фестиваль.

Уже появилися пропозиції виступу. Думаю, що для такого молодого ансамблю як наш це дуже добра справа їздити на такі фестивалі, бо через те наш колектив розвивається.

– Дякую за розмову.

fot. **Maciej Niewiński**

Апавяданні з тутэйшага жыцця

Аўдосіна неба

— Намалюй мне, Федзя, на полапе сонца ды хмаркі, калі ўжо фарбаваць будзеш, — сказала баба Аўдоська. Калісь бяліла бэлькі глінкай-сінькай пе-рад кожным святам, пэндзлем з мяккае рачное травы. Але пакойны Сідар роўна абіў іх плітай, памаляваў васільковай алейнай фарбай, і цяпер ужо клопату няма. Але ж выцвіла ўсё.

Маляваць нанава трэба. Грошы Аўдося мела з рэнты, невялікія, але на такі рамонт хопіць. Ну, які ёй вялікі трэба, бо ўсё паскрэбла, памыла, але ж столі сама не памалюе, на драбіну ж не палезе! Ну, а каб цікавей было — давай, Федзя, тыя сонца ды воблачкі. Нескладаная ж справа.

— Я маляр пакаёвы, не мастак, — закіпеў гонарам Федзя Барбушын. — Вам яшчэ сонца ды хмары! Яшчэ можа і месяц! Хто то бачыў такое, палацы!

— А што, не зможаш? — здзівілася бабуся. — То ж і дзіця, і тое сонца першае малюе, бо бачыць. Ну, пляшку дам.

— І за пляшку, і за грошы — на такую дурноту на драбіну не палезу, дзякуй! Смешная вы кабета, баба Аўдося.

— То ж не з цябе смяяцца будуць. Намалюеш добра, то і пахваляць яшчэ.

— Як хочаце, то за пляшку вам зробяць гэта студэнты, яны ў Карпа пасяліліся. Такія то жарты любяць. Да таго — замежныя, хоць па-нашаму гавораць.

Патэпала з калочкам бабуля да маладых, а маляваць яны сапраўды ўмелі — у акадэміі ў Мінску маляваць навучаныя. І вывелі яны на бабулінай столі і сонца, як жывое, паўднёвае, гарачае, і воблачкі белыя, пёрыстыя, і бурыя хмары, і ружовыя як пад захад, а сярод іх нават самалёцік цягне белую смужку, а над печкай — срэбны маладзік сярод зорак.

Цешыліся, смяяліся. І Аўдося, лежма ўжо, у нядузе, успамінае тую радасць, той смех, гледзячы на сваё неба.

Міра Лукша

Perepelica w Toporkach

23 lipca mieszkańcy Toporek w gminie Kleszczele zaprosili do swojej wsi tych, którzy chcieli zobaczyć, jak dawniej wyglądały żniwa i dowiedzieć się, czym właściwie była perepelica.



Z wyjaśnieniem znaczenia obrzędu pospieszyła **Zoja Majstrowicz**. W pięknie wyszywanym fartuchu, z sierpem w ręku, opowiadała: – To wyganianie przepiórki z ozimego zboża w jare. Jak przepiórka przylatuje do nas, to znaczy, że w młodym życie zaczyna się pojawiać kłos. Zakłada w zbożu gniazdo i już jej żaden jastrząb ani kruk, ani lis nie złapie. Tam wysiaduje jajka. Trzy tygodnie. Potem są pisklaki. Przez ten czas, dopóki kłos cały wyskoczy, gdzieś do *Pietra*, małe przepiórki wylecą i zaczynają się żniwa. I jak rolnicy koszą zboża, to i tak ganiają tę przepiórkę. Jak skoszą żyto, to ona biegnie do pszenicy ozimej.





– Oj, tak to nie ciągnęło się kłosów, oj nie! – idąc za ludźmi, którzy nieumiejętnie zbierali skoszone zboże, mówi **Wiesława Bakun**, sołtys wsi Toporki, i opowiada: – Najpierw mężczyźni szli z kosami, kobiety podbierały, a dzieci grabiami albo rękoma zbierały wszystkie kłosy. Cenny był każdy kłos! Chcieliśmy ludziom pokazać, jak kiedyś było, jak się zaczynało żniwa, jak kończyło. Stąd pomysł, by zrobić takie pokazy.

– Jak gospodarz zakończył żniwa, to na skraju pola, przy drodze, żeby wszyscy widzieli, stawiał *perepelicę* – mówi **Walentyna Marcinowicz**. To wiązka zboża, związana przy kłosach i ozdobiona jarzębiną. Wokół niej wypielano rżysko, a pod nią wkładano płaski kamień. Znalezienie odpowiedniego powierzano dzieciom. Kamień przykrywano szmatką, a na niej kładziono chleb. *Zajęczym chlebem* go nazywano. – Jeśli jakieś dziecko długo nie mówiło albo się jąkało, czy nie rosły mu zęby, to mama szła za wieś i po wszystkich polach szukała, czy jeszcze gdzieś *zajęczy chleb* nie został – opowiada **Witalis Socha**. – I pomagało tym, którzy wierzyli. Z dzieciństwa pamiętam, jak rodzice przynosili chleb „od zajca”. Choćby i najbardziej suchy i tak dziecku wydawał się najsmaczniejszy.

Inna nazwa *perepelicy* to *wdowiny snop*. Powszechnie przyjęte było, że wdowy mogły taki snopek



zabrać, a także zebrać z pola kłosy, jeśli jeszcze jakieś zostały.

Z *perepelicy* robiono *kwitkę*. Wybierało się z niej najładniejsze kłosy, ozdabiano kwiatami i niesiono do cerkwi, by poświęcić na *Splinje* – opowiada Walentyna Marcinowicz. – Potem *kwitkę* kłosami w dół zakopywano i z tego miejsca gospodarz zaczynał siać zboże.

– W Toporkach spotykamy się po raz drugi – mówi **Małgorzata Klimowicz**, dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji w Kleszczelach, który wraz z sołtysem i radą sołecką wydarzenie zorganizował. – W ubiegłym roku pokaz obrzędów z *perepelicą* odbył się w ramach projektu Etnograficzny Szlak Turystyczny i było bardzo duże zainteresowanie, więc uznaliśmy, że warto to kontynuować. We wsi jest jeszcze kilku rolników. Jeden z nich udostępnił pole. Gospodynie przygotowały tradycyjne potrawy. I znów znalazło się wielu chętnych, by tu przyjechać.

Chlebem i solą mieszkańcy Toporek witali burmistrza Kleszczel **Aleksandra Sielickiego**. – Żeby Bóg tak podzielił, by wszystkim ludziom wystarczyło – brzmiały życzenia.

Spotkanie w Toporkach było też bardzo smakowite. *Tołkanica*, kasza, zsiadłe mleko, słonina, tych i innych wyrobów miejscowych gospodyń można było nie tylko spróbować, ale i najeść się do woli. – Wszystkim wystarczy. Zapraszamy – nawoływał Witalis Socha. I miał rację, nikt głodny z Toporek nie wyjechał.

Dawne żniwa to też żniwne pieśni. Kiedyś nawet wsie leżące obok siebie miały swoje *zaśpiewy*. W niedzielę w Toporkach też śpiewano. Przyjechali „Orlanie” z Orli. Były i młode śpiewaczki z Białegostoku, czyli zespół „Dobryna”, których glosy harmonijnie się splotły z głosami pań z Dobrywody.

Natalia Klimuk, fot. **autorka**



Na szlaku wokół królewskiego miasta

Nie jest długi, bo nie wychodzi poza teren jednej gminy, ale ciekawy. Etnograficzny szlak rowerowy gminy Kleszczele powstał w ubiegłym roku. W internecie znaleźć go łatwo. Jego adres to etnoszlak.pl.

– Najciekawiej przemierzyć go rowerem, ale można to zrobić też samochodem czy pieszo – mówi **Małgorzata Klimowicz**, dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji.

Uwadze turystów zaproponowano cztery miejscowości: Dobrywodę, Saki, Toporki i Dasze.

Sąsiadująca z Kleszczelami Dobrywoda, jak mówią ludzie, „od zawsze” słynęła z wypieku *korowaja* weselnego. Tradycja ta nie jest tak żywa jak dawniej, ale ostatnio *korowaje* bywają zamawiane częściej, bo i więcej narzeczonych dowiaduje się, jakie znaczenie ma ten obrzędowy wypiek. Warto w Dobrywodzie poznać historię cudownego źródła przy cerkwi, posłuchać śpiewu tutejszych śpiewaczek.

Kolejnym miejscem na mapie szlaku są Saki. To miejsce, gdzie znajduje się monaster św. Dymitra z Salonik, a na szlaku zaznaczone jest z powodu zwyczaju wypiekania



busłowych łap – ciasta drożdżowego przygotowywanego z okazji święta Zwiastowania Bogarodzicy, 7 kwietnia.

Obok Sak są Toporki. Tutaj, raz w roku, pokazywany jest obrzęd *perepelicy*, zakończenia żniw, ale o zwyczaju i historii wsi można przeczytać na tablicy szlaku (podobne stoją w innych miejscowościach) albo zapytać mieszkańców.

Są jeszcze Dasze. „Wieś zamieszkała przez ludność prawosławną zawsze zaczynała się od krzyża najczęściej drewnianego" – czytamy na etnoszlak.pl. „Było to miejsce szczególne – mała codzienna świątynia. Przechodzący tędy dziadek zdejmował czapkę, żegnał się i odmawiał pacierz. To było miejsce spotkania z Bogiem, takie swojskie. Krzyże stawiano przy rozstajach dróg dla orientacji, upamiętniając wydarzenia, w intencji dziękczynnej, ochronnej (przed głodem, chorobą, wojną), *za zdrawije* mieszkańców. Krzyże są przykładem znakomitej sztuki ludowej, pokazują, jak ważna była wiara chrześcijańska dla pokoleń naszych przodków".

– Jeśli ktoś chce wziąć udział w warsztatach z pieczenia *korowaja* czy *busołowych* łap, powinien zgłosić się do nas, do ośrodka. My już pokierujemy, co zrobić dalej. Zapraszamy szkoły, grupy zorganizowane i wszystkich chętnych – mówi Małgorzata Klimowicz.

Poza tymi czterema wsiami warto zatrzymać się też w innych miejscowościach. Na przykład nad zalewem w Repczycach, chyba jednym z ładniej położonych w regionie, z wygodną infrastrukturą.

Są i same Kleszczele. Warto odwiedzić tutejsze zabytki, przespacerować się między niskimi drewnianymi domami. Informacja turystyczna mieści się w „Hładyszce".

Kleszczele niegdyś słynęły z wyrobów garncarskich, a *hładyszką* nazywano gliniane naczynie bez ucha, którym zbierano śmietanę. Teraz na terenie gminy nie ma ani jednego garncarza, ale dla zachowania tradycji w pamięci mieszkańców budynek Miejskiego Ośrodka Kultury, Sportu i Rekreacji otrzymał nazwę „Hładyszka". W tym samym budynku jest też wystawa rzeźb **Sławomira Smyka**. Co prawda nie sposób przejechać przez Kleszczele i ich nie zauważyć, wrosły już w tutejszą przestrzeń miejską, ale warto wejść i pod dach, gdzie jest ich jeszcze więcej. W „Hładyszce" jest też i Ametystowa Komnata, największa w Polsce kolekcja minerałów, którą zebrał **Mikołaj Podlaszczyk**.

Warto odwiedzić ziemię kleszczelowską.

Natalia Klimuk

Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Rekreacji w Kleszczelach mieści się przy ulicy 1 Maja 19, tel. 85 681 80 54.

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416
Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego
Redaguje zespół: Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (red. naczelny), Doroteusz Fionik
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji), Anna Petrovska, Anna Radziukiewicz
Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka
Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz
Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57
e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl/samiosobie



Pielgrzymowaliśmy po Serbii

Podróż 37 pielgrzymów do Serbii rozpoczęła się od molebna w cerkwi św. Mikołaja Velimirovicia na białostockich Bacieczkach. Duchowym opiekunem i przewodnikiem był o. **Michał Czykwin**, absolwent Belgradzkiej Duchownej Akademii.

W patriarszej cerkwi św. Archanioła Michała w Belgradzie powitał nas jej proboszcz, o. **Petar Lukić**. Była to niedziela *Żen Mironosic*, toteż obdarował pięknymi ikonami Matki Bożej *Trojeruczycy* trzy nasze pątniczki – dwie Marie i Martę. Odwzajemniliśmy sie, przekazując o. Petarowi ikonę św. Michała. Wręczyła ją jej autorka, nadinspektor policji, pierwsza kobieta generał, **Irena Doroszkiewicz**.

Na obiad zostaliśmy zaproszeni do siedziby Pierwszego Belgradzkiego Towarzystwa Śpiewaczego. Chór, o podnadstuletniej tradycji, dwukrotnie gościł w Polsce, a na festiwalu muzyki cerkiewnej w Hajnówce w 2013 roku zajął pierwsze miejsce w kategorii chórów cerkiewnych. Honorowymi członkami Towarzystwa Śpiewaczego są między innymi o. **Marek Wawreniuk**, o. Michał Czykwin – duchowni białostockiej cerkwi św. Jana Teologa.

Zwiedzaliśmy monaster *Wwiedienija Preswiatoj Bogorodicy*, w którym to miały miejsce postrzyżyny metropolity **Sawy**, także żeński monaster Ravanica, założony w XIV wieku. To tutaj, w cerkwi *Wozniesienija*, od 1392 roku spoczywają *nietlenne moszczy* św. cara Łazara, który poniósł męczeńską śmierć na Kosowym Polu w 1389 roku w Vidovdan – w dzień św. Wita, 28 czerwca.

Dotarliśmy do Studenicy, męskiego monasteru z XII wieku, wpisanego na listę UNESCO, fundatorem którego był król Stefan Nemania (św. Symeon *Mirotoczywyj*), ojciec św. Sawy. W głównej cerkwi Zaśnięcia Matki Bożej podziwialiśmy pozostałości wspaniałych fresków, niszczonych wielokrotnie przez Turków, m.in. najsłynniejsze chyba *Raspiatije* – na ciemnoniebieskim tle. Ów barwnik, wydobywany z jaskiń, był tak cenny, że za jego kilogram płacono kilogramem czystego złota. To w tej cerkwi znajdują się w kamiennym sarkofagu relikwie króla Stefana Nemani, który rok po odejściu swego syna na Świętą Górę Atos abdykował i został mnichem na Atosie, budując wraz z synem monaster Chilandar. U dołu sarkofagu wyżłobione są otwory, którymi spływało niegdyś z relikwii miro. Przed ikonostasem, po obu stronach, leżą relikwie żony Stefana Nemani, która później także została mniszką, przyjmując imię Anastazja, oraz ich syna św. Simona (Stefana *Pierwowienczannago*), który w 1217 roku był koronowany na króla Serbii, a swój żywot dokończył również jako mnich, przyjmując mnisze postrzyżyny od swego brata, św. Sawy.

W monasterze Studenica posługę niesie ośmiu braci i czterech *posłuszników*. Przyjęli nas niezwykle serdecznie. O piątej rano rozpoczęła się *utrennia*, potem Liturgia, którą celebrowali ihumen monasteru oraz o. Michał. Wielu z nas przystąpiło do spowiedzi i Eucharystii.

Zwiedziliśmy pozostałe monasterskie cerkwie, św.św. Joachima i Anny, św. Mikołaja oraz pozostałości po cerkwi św. Jana Chrzciciela, starą *trapiezną* św. Sawy, budowaną na wzór atoskich, z marmurowymi stołami, ławami, kamienną podłogą.

Kruševac, miasto św. Łazarza. Zwiedzamy cerkiew *Łazarica* (1376-1380), poświęconą św. archidiakonowi Stefanowi, ufundowaną na cześć narodzin pierworodnego syna Łazarza, Stefana (później to św. Stefan Despota Serbski). Żona św. Łazarza po śmierci męża została mniszką Eufimiją, bardziej znaną jako św. Milica. Nieopodal znajduje się Muzeum Narodowe, w którym przechowywane są prehistoryczne znaleziska, starożytna ceramika, biżuteria, broń, stare rękopisy, utensylia cerkiewne, fragmenty fresków i wiele bezcennych eksponatów kultury serbskiej.

Stamtąd jedziemy do małej miejscowości Lelicz, do męskiego monasteru na święto *slavy* św. Mikołaja Velimirovicia, w rocznicę sprowadzenia w 1991 roku jego relikwii do Serbii i pochowania w rodzinnej mogile. Św. Mikołajowi, który wyzwolenia doczekał w Dachau, władze komunistyczne Serbii nie zezwoliły na powrót do ojczyzny. Został skazany na dożywotnią emigrację. Zmarł w USA 18 marca 1956 roku. Pochowano go w serbskim monasterze św. Sawy w Libertville. Kanonizacja św. Mikołaja miała miejsce w Belgradzie 24 maja 2003 roku. Liturgię w tym dniu celebrowali biskup **Milutin**, ihumen monasteru o. **Awwakum** oraz kilkunastu duchownych z Ukrainy na czele z metropolitą zaporoskim i melitopolskim **Łuką**. W monasterze znajduje się muzeum poświęcone św. Mikołajowi, gdzie oprócz mnóstwa zdjęć z różnych okresów jego życia, przechowywane są osobiste rzeczy

świętego, *obłaczenija*, rękopisy, jest też trumna, w której przewożono jego relikwie z USA.

Jedyną cerkwią na świecie poza granicami jurysdykcji Serbskiej Cerkwi Prawosławnej, poświęconą św. Mikołajowi Velimiroviciowi, jest białostocka cerkiew w parafii św. Jana Teologa, którą wyświęcał biskup Milutin.

W żeńskim monasterze Ćelije pokłoniliśmy się relikwiom św. Justyna Popowicza, duchowego syna św. Mikołaja Serbskiego. Do monasteru prowadzi 930 stopni, specjalnie przystosowanych do chodzenia po stromym zboczu.

Odwiedzamy żeński monaster w Rakovicy, gdzie spoczywa ciało patriarchy **Pawła**, zmarłego w 2009 roku. Nagrobek, choć marmurowy, jest skromny. Umieszczono na nim słowa patriarchy Pawła: „Bądźmy ludźmi, nigdy nieludźmi". W wybudowanej niedawno małej cerkiewce ściany pokrywają freski. Umieszczono tu i fresk, przedstawiający patriarchę Pawła, na razie bez aureoli. Wszyscy przekonani są o jego świętości, tym bardziej, że na jego grobie już mają miejsca cudowne uzdrowienia.

Jedziemy do monasteru Žiča. Powstanie monasteru było wyrazem bratniej miłości między wielkim żupanem Stefanem *Pierwowienczannym* i jego bratem św. Sawą, który w tym czasie był już archimandrytą monasteru Studenica, i który tylko co powrócił z atoskiego Chilandaru, wioząc relikwie ich ojca, św. Symeona *Mirotoczywego*. Stefan, biorąc za przykład ojca, postanawia zbudować nową cerkiew, podobną do Studenicy. Budowa trwała w latach 1206-1216. Cerkiew tę bracia poświęcili Chrystusowi, zaś boczne paraklisy patronom – św. archidiakonowi Stefanowi i św. Sawie Oświęconemu. Tęskniąc za Świętą Górą Atos św. Sawa wyjechał do Chilandaru. Stefan w 1217 roku został koronowany na króla Serbii. Do tego momentu Žiča jest już zbudowana, ale nieukończona. W 1220 roku do monasteru wraca św. Sawa, który wcześniej w Nicei otrzymał chirotonię i został pierwszym serbskim arcybiskupem. Z Konstantynopola przywozi najlepszych rzemieślników, kamieniarzy i ikonopisców, którzy upiększają monaster. Król Stefan postanawia uczynić Žiča centrum arcybiskupstwa, miejscem koronacji królów czy chirotonii biskupów. Pod koniec XIII wieku, w czasie napadów Bułgarów, monaster podupada, toteż centrum arcybiskupstwa zostaje przeniesione do Peći. Po pewnym czasie Žiča znów zostaje rezydencją arcybiskupów i patriarchów. XVI i XVII wiek to czas zniewolenia tureckiego. Monasterskie życie odnawia się na krótko w pierwszym roku powstania przeciwko Turkom w 1804 roku, któremu przewodzi wódz Karadjordje. Niedługo potem Turcy, mając świadomość, że Žiča to fundament serbskiego państwa, podpalają monaster. Remonty mają miejsce w 1855 roku, ale bombardowania w okresie II wojny światowej czy trzęsienie ziemi w 1987 roku uszkadzają główną cerkiew i inne budynki. Žiča był monasterem męskim, dopiero po II wojnie światowej na jego ruiny przyjechały mniszki i bez niczyjej pomocy przywróciły do życia. Dzisiaj to prężnie działający monaster z czterdziestoma siostrami, które między innymi piszą ikony. Mają 120 hektarów ziemi, a na niej sady, ogrody, winnice. Produkują soki owocowe bez dodatku wody, cukru i konserwantów, likiery, wino i owocową rakiję.

Wielkie wrażenie zrobiła na nas belgradzka cerkiew św. Sawy na wraczarskim wzgórzu. To cerkiew pomnik narodu serbskiego. To na tym miejscu w 1594 roku Turcy spalili relikwie św. Sawy. Jest to chyba najdłużej budująca się cerkiew na świecie. Choć idea zrodziła się pod koniec XIX wieku, to fundament pod cerkiew położono dopiero w 1939 roku. Budowa, przerwana II wojną światową i trudnym okresem komunizmu, została ukończona dopiero w 1989 roku. Największa kopuła (jedna z trzynastu) była wciągana na świątynię szesnastoma dźwigami przez dwadzieścia dni i przed Vidovdanem, 26 czerwca 1989 roku, pierwszy raz odsłużono w niej Liturgię. W 2003 roku cerkiew obłożono białym marmurem i granitem. Przez cały czas trwają prace wykończeniowe. Wysokość świątyni wraz ze złotym krzyżem ma 82 metrów. Stojąca na wzgórzu cerkiew jest najwyższym budynkiem Belgradu i życzeniem władz cerkiewnych i państwowych jest, aby żaden budynek w przyszłości jej nie przewyższał. Gdy cerkiew zostanie ukończona, będzie największą cerkwią prawosławną na świecie. Może pomieścić około 10 tysięcy osób. Są w niej miejsca na trzy chóry, każde na siedemset osób. Naścienna mozaika będzie się rozpościerać na 17 tysiącach metrów kwadratowych. Dolna cerkiew już posiada wspaniałe freski i mozaiki, a poświęcona jest św. Łazarzowi. Na placu przed cerkwią stoją dwa pomniki, św. Sawy oraz inicjatora pierwszego powstania serbskiego przeciw Turkom, Karadjordje. Cerkiew jest naprawdę olbrzymia, ale co zadziwiające, nie przytłacza swoimi gabarytami.

Czekając przed soborem patriarszym na wieczorne nabożeństwo, ujrzeliśmy po drugiej stronie ulicy wychodzącego z patriarszego domu patriarchę **Irinieja**. Zamknął kluczem potężne drzwi domu, zszedł po schodach, udzielił błogosławieństwa o. Petarowi, który czekał na niego tuż przed przejściem dla pieszych. Przeszli ulicę. Wszystko tak zwyczajnie. Podeszliśmy wszyscy po błogosławieństwo. Zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia. Jeszcze tylko raz spotkamy się z patriarchą Iriniejem, także przed soborem św. Archanioła Michała, kiedy wręczy każdemu z nas ikonkę Matki Bożej i każdego pobłogosławi.

Wracaliśmy do Polski obwieszeni pamiątkami z napisami: Monaster Ravanica, Monaster Studenica, Žiča. Duchowego bagażu nie widać, bo choć jest ogromny, mieści się w naszych sercach i pamięci.

Pielgrzymi

Parafia św. Jana Teologa w Białymstoku organizuje kolejną pielgrzymkę do Serbii w terminie 15-21 października 2017. Wszystkie informacje na stronie www.bacieczki.cerkiew.pl

Odeszła, aby zmartwychwstać

2 lipca 2017 roku odeszła do Pana **Łarysa Pawelec**, wieloletnia *popieczielnica* cerkwi św. Mikołaja w Dratowie koło Łęcznej. Miała 87 lat. Uroczystościom pogrzebowym, na których zebrali się prawosławni i rzymscy katolicy, przewodniczyli o. **Jerzy Łukaszewicz**, wikariusz parafii katedralnej Przemienienia Pańskiego w Lublinie, o. **Andrzej Konachowicz** i protodiakon **Marek Waszczuk**.



Przed odprowadzeniem ciała zmarłej na cmentarz o. Jerzy Łukaszewicz powiedział m.in.: – Na środku świątyni znajduje się trumna ze zmarłą śp. Łarysą Pawelec. Tyle razy spotykaliśmy się z nią. Ileż serca wkładała na rzecz tej niewielkiej parafii. Dobrze znamy jej zasługi dla Cerkwi prawosławnej, jej troskę, która została nagrodzona orderem św. Równej Apostołom Marii Magdaleny. (...) Żegnamy ciało zmarłej, które powstało w prochu ziemi i w proch się obraca. Ale wiem też, że dusza człowieka jest wieczna. Śp. Łarysa była do tej wieczności przygotowana: przyjęła sakramenty chorych, spowiedzi i Eucharystii. (...) W dłoniach zmarłej widzimy ikonę św. Mikołaja Cudotwórcy, patrona tej świątyni. Ilekroć rozmawialiśmy ze śp. Łarysą, zdumiewaliśmy się, jak wiele nadziei pokładała w tym świętym. Mówiła, że czuła jego obecność i przy każdej obecności w tej cerkwi modliła się za jego wstawiennictwem. Był dla niej drogowskazem na drodze, którą podążała za Chrystusem. I rzeczywiście, jak wiemy, śp. Łarysa wdrażała w swoje życie te cnoty, o których Chrystus mówił: miłość do bliskich, troskliwą opiekuńczość, dobroć… A to są Boże cechy ewangeliczne, którymi zmarła ogarniała wszystkich, których spotykała. Przepełnia nas smutek, ale wiemy dzięki temu, że jesteśmy ludźmi wiary, że nadejdzie radosny dzień – jak nastąpił po Wiekim Piątku i Sobocie dzień Zmartwychwstania, kiedy śp. Łarysa zmartwychwstanie. Każdy z nas, chrześcijan, powinien o tym pamiętać.



Łarysa Pawelec z domu Saczewa urodziła się 20 lutego 1930 roku w rodzinie chłopskiej. Urodziła pięcioro dzieci, doczekała się dwanaściorga wnucząt i 15 prawnuków Do końca swoich dni, pomimo nieuleczalnej choroby, troszczyła się o wspólnotę parafialną, stan cmentarza i cerkwi, interesowała się troskami i radościami gromadzących się na Liturgii. Jeszcze kilka miesięcy temu rozdawała słodycze, własnoręcznie wykonane ozdoby choinkowe, artystycznie wykonane jajka wielkonocne. Obecność *nowopredstawlennoj* Łarysy w cerkwi dratowskiej cementowała naszą społeczność. Religijność okazywana przez nią podczas kilku pobytów w szpitalu w Łęcznej była wspaniałym świadectwem wiary i promocją prawosławia, co podkreślają duchowni parafii Przemienienia Pańskiego w Lublinie i rzymskokatolicki kapelan ks. **Marek Maj**. Cieszyła się, gdy turyści (na zdjęciu u dołu uczestnicy rajdu rowerowego w maju 2017 przed cerkwią w Dratowie) i pielgrzymi odwiedzali „jej cerkiew".

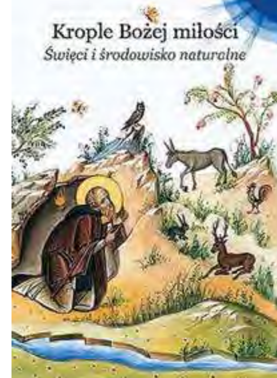
To druga w ostatnich trzech latach, po nagłym odejściu **Romana Pracza**, poważna strata dla diasporalnej wspólnoty w Dratowie. Otuchą napełnia fakt, że *zaupokojnaja Liturgija* w niedzielę 9 lipca zgromadziła, oprócz krewnych zmarłej, kilkudziesięcioosobową grupę przyjaciół i nieco nowych osób.

Mir prachu Twojemu, Pani Łaryso!

Grzegorz Jacek Pelica, fot. **autor**

Sprostowanie

W poprzednim numerze w tekście „Chór Sacrum promuje" błędnie podano nazwisko proboszcza parafii w Piotrkowie Trybunalskim. Jest nim od 2002 roku o. Jan Jakimiuk.



Dobra książka

Żyjemy w czasach nadmiaru pozorności. Na przykład książka, kiedyś rzecz sama w sobie wartościowa, teraz niekoniecznie taka jest. Po latach książek prawie pozbawionych ilustracji, drukowanych na szarym papierze, wydaje się, że to co kolorowe i ma twarde okładki samo przez się jest dobre dla dzieci. Och, jakże często nie jest! Nie są wolne od tego i religijne wydawnictwa dla dzieci.

Bywa i inaczej. Ukazała się, przygotowana przez Wydawnictwo Warszawskiej Metropolii Prawosławnej, książka „Krople Bożej miłości. Święci a środowisko naturalne". To piękna książka! Spójna i w treści, i w grafice. Składają się na nią żywoty świętych prawosławnych, a właściwie te ich fragmenty, które traktują o Bożym stworzeniu, naturze, dobrych relacjach między ludźmi a środowiskiem naturalnym. O konieczności ochrony środowiska naturalnego dużo słyszymy, a mało robimy, z troską pielęgnujemy kwiaty w doniczkach, a bezrefleksyjnie zapełniamy kosze na śmieci. Może sekret tego tkwi w tym, że nie mamy właśnie prawdziwych, osobistych relacji z naturą, jak mieli święci?

Podoba mi się dobór bohaterów książki. Obok starotestamentowego proroka Daniela jest współczesny starzec Paisjusz Hagioryta, obok Greka świętego Kosmy z Etolii są święci Melangela z Walii i Serafin z Rusi.

Ilustracje to rysunki wzorowane na kanonicznych ikonach. Są na nich i współczesne elementy. Ładne.

Pewna rzecz w książce mnie poruszyła. Na końcu jest słowniczek. Znajdziemy tu wyjaśnienia różnych słów i pojęć, na przykład – skit, monaster, metanoia, Imperium Bizantyńskie, herezja. Są też wyjaśnione przymiotniki. Barbarzyński, gorliwy – faktycznie, mogą być dla współczesnych dzieci niezrozumiałe. Ale w słowniczku jest też, i to mnie zaskoczyło i zasmuciło, słowo skromny. Książkę przetłumaczyło (oryginalne teksty i ilustracje to opracowanie greckiego, dokładniej kreteńskiego, monasteru Chrysopigi), zredagowało i konsultowało grono fachowców. Ojcowie **Artur Aleksiejuk** i **Anatol Szymaniuk**, matuszka **Elżbieta Aleksiejuk**, **Jarosław Charkiewicz** – wszyscy są wieloletnimi praktykami szeroko pojętej katechizacji dzieci i dorosłych, a prywatnie rodzicami. Warto zaufać im i ich wyczuciu i wiedzy. Zatem ufam i wnioskuję: współczesne dzieci nie znają słowa skromny. Ba! Sama w tym miejscu biję się w piersi. Moje dzieci, oglądając nawet te bardziej wartościowe kreskówki, słuchając książek (same jeszcze nie czytają) i rozmów dorosłych domowników między sobą (kto wie, czy to nie najważniejsze źródło poszerzania słownictwa przez małe dzieci), słowa skromny, a i pewnie wielu innych „dobrych słów", nie słyszały...

Potrzebujemy takich książek. Tak, my. Nie tylko nasze, często przebodźcowane, dzieci, ale my, rodzice czy dziadkowie, wspólnie z nimi czytający. Właśnie takich. Dających dobre treści i grafikę, ale przede wszystkim poczucie spokoju, ładu i harmonii.

Natalia Klimuk

Krople Bożej miłości, Święci i środowisko naturalne, Warszawska Metropolia Prawosławna, Warszawa 2017, ss. 112.

By modlitwę zatrzymać przy sobie na dłużej

S bohohłaśnika Позови мена Господь to kolejna już płyta, a właściwie tym razem to dwupłytowe wydawnictwo, przygotowane przez chór parafii świętego wielkiego męczennika Jerzego z białostockiej dzielnicy Nowe Miasto.

– Dzięki takim płytom można atmosferę nabożeństwa zatrzymać przy sobie na dłużej, zabrać ją do swoich domów – mówił o. **Grzegorz Misijuk**, proboszcz parafii, któremu i jego matuszce chórzyści zadedykowali jeden z utworów.

Chórzyści, którymi dyryguje matuszka **Anna Cyrkun**, rośli wraz z nowo budowaną cerkwią i doskonalili swoje umiejętności. Te były niejednokrotnie doceniane na festiwalach i przeglądach, czy po prostu przez indywidualnych słuchaczy. Chórzyści cenią trud swojej matuszki Ani. Teraz, kiedy kilku z nich też jest dyrygentami, z chęcią podkreślają, że wyszli właśnie spod jej skrzydeł.

Swoimi talentami służą też inni. Na płycie znajdują się oryginale kompozycje i opracowania **Michała Warszyckiego**, członka chóru parafialnego i dyrygenta chóru młodzieżowego, absolwenta Uniwersytetu Muzycznego w Białymstoku. Okładkę płyty i rysunki na niej przygotowała również członkini chóru, **Katarzyna Woszczenko**.

Zawartość płyty to fragmenty z różnych nabożeństw, ale przede wszystkim szeroko pojęte pieśni z *bohohłaśnika*. Bo wbrew pozorom jest na nie zapotrzebowanie. Widać to w internecie, choćby po tym, jak często są odtwarzane kompozycje mniszki **Julianii** (**Denisowoj**).



Chór cerkiewny przede wszystkim ma pomagać w modlitwie. To chórzystom z Nowego Miasta zgrabnie się udaje. W cerkwi, w czasie nabożeństw, pomagają wspólnie modlić się wszystkim zebranym, a dzięki płycie z ich wsparcia w modlitwie można skorzystać w domu czy samochodzie.

Natalia Klimuk

S bohohłaśnika... Позови мена Господь, chór parafii św. Jerzego w Białymstoku, CD2, Białystok 2017.

ROCZNIKI PRZEGLĄDU OPRAWIAMY

Możemy oprawić bieżące roczniki Przeglądu Prawosławnego w cenie 70 zł za tom liczący 816 stron. Ofertę kierujemy głównie do bibliotek, zwłaszcza parafialnych. Ale i prywatni czytelnicy mogą w ten sposób mieć uporządkowany zbiór Przeglądów. Zamówienia zbieramy przez cały rok. Zamówienie można przesłać na adres redakcji (ulica Składowa 9, 15-399 Białystok, telefon 85 / 742 18 57, adres e-mail: redakcja@ przegladprawoslawny pl).

Oprawione tomy będzie można odebrać w redakcji albo zostaną wysłane pocztą. Koszt wysyłki pokrywa odbiorca.

Przegląd Prawosławny, miesięcznik
ISSN 1230-1078 Nr indeksu 371416

Wydawca
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego

Redaguje zespół w składzie
Michał Bołtryk, Eugeniusz Czykwin (redaktor naczelny)
Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk (sekretarz redakcji)
Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Stale współpracują
Jarosław Charkiewicz, Doroteusz Fionik, o. Marek Ławreszuk, o. Włodzimierz Misijuk
Aleksander Naumow (Wenecja), Grzegorz Jacek Pelica, Anna Petrovska, o. Aleksy Petrovski
Anna Rydzanicz, o. Stanisław Strach

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Projekt okładki: Anna Miszczuk-Stankiewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9
tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

E-mail: **redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl**

Redakcja Przeglądu Prawosławnego działa na swoją odpowiedzialność.
Nie angażując autorytetu Cerkwi, stara się jej wiernie służyć

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca, a także zastrzega sobie prawo skracania tekstów niezamówionych

Nakład: 5000 egz.

PRENUMERATA

„Przegląd Prawosławny” można zaprenumerować w urzędzie pocztowym na terenie kraju, u listonosza lub za pośrednictwem redakcji

Prenumerata za pośrednictwem redakcji (koszt egzemplarza i wysyłki):

miesięczna: Polska 8,60 zł; Europa 16,00 zł, USA i Kanada 19,00 zł, Australia 19,00 zł; **kwartalna:** Polska 25,80 zł, Europa 48,00 zł, USA i Kanada 57,00 zł, Australia 57,00 zł; **półroczna:** Polska 51,60 zł, Europa 96,00 zł, USA i Kanada 114,00 zł, Australia 114,00 zł; **roczna:** Polska 103,20 zł, Europa 192,00 zł, USA i Kanada 228,00 zł, Australia 228,00 zł. Przegląd można prenumerować poprzez PP Pocztę Polską (w urzędzie pocztowym lub u listonosza). Jest do kupienia w parafiach prawosławnych, kioskach Ruchu i sklepach spożywczych na Białostocczyźnie.

Dowód / pokwitowanie dla zleceniodawcy

Nr rachunku odbiorcy
98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Odbiorca:
Fundacja ks. Konstantego Ostrogskiego
ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

Kwota: ....

Wpłacający: ....

....

....

Zamawiam prenumeratę
„Przeglądu Prawosławnego”

Podać okres prenumeraty:

....

Wpłata gotówkowa

F U N D A C J A K S. O S T R O G S K I E G O

ul. S K Ł A D O W A 9 15-399 B I A Ł Y S T O K

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

Numer rachunku odbiorcy:

Kwota PLN:

Kwota słownie:

Imię i nazwisko zleceniodawcy:

Adres zleceniodawcy:

P r e n u m e r a t a P P

Tytułem:

Podać okres prenumeraty:

....
(opłata)

Dowód / pokwitowanie dla odbiorcy

Jeśli chcą Państwo wesprzeć działalność Fundacji, wpłat można dokonywać na konto:
Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, ul. Składowa 9, 15-399 Białystok

98 1240 5211 1111 0010 3993 4278

z dopiskiem „Wsparcie działalności statutowej”

E-wydanie Przeglądu Prawosławnego w prenumeracie

Roczna prenumerata e-wydania kosztuje 48 zł – 4 zł za jedno wydanie. Jak zaprenumerować e-wydanie? Wystarczy wpłacić odpowiednią kwotę na nasze konto (podane u góry), podać adres e-mailowy, a Przegląd w plikach PDF będziemy wysyłać zaraz po jego złożeniu.

Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego poleca



Po książce Anny Radziukiewicz „Na Wschód od Zachodu” (2008) ukazała się jej kolejna pozycja, owoc wielu podróży, lektur, rozmów i przemyśleń. To „Bliski mi Wschód”, rzecz usiłująca zrozumieć wiele zjawisk, które kształtowały prawosławny Wschód. Jej rozdziały to m.in. Ruski, Rzym, Pytanie o Polskę, Nad Niemnem, Lament wiary greckiej, Napoleon i Serafim. To rozważania o historii, wierze i kulturze, o trwaniu na granicy dwóch światów – prawosławnego i rzymskokatolickiego. To rzecz dojrzała, frapująca, bogato ilustrowana. **Cena 1 egzemplarza (w tym 5% VAT) u wydawcy** – **45 zł**. **Cena 1 egz. (z wysyłką)** – **52 zł**, 2 egz. – 107 zł, 3 egz. – 152 zł, 4 egz. – 200 zł, 5 egz. – 245 zł, 6 egz. – 290 zł, 10 egz. – 475 zł.

Książkę można zamawiać poprzez wpłatę na konto wydawcy, Fundacji Ostrogskiego, z dopiskiem: „Bliski mi Wschód”. Nr konta: **98 1240 5211 1111 0 010 3993 4278**.

Można też złożyć zamówienie telefonicznie i mailowo: wydawca: (85) 742 18 57, autorka: 510 278 970; e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl



Kim jesteśmy, skąd pochodzimy, dlaczego tak się nazywamy?

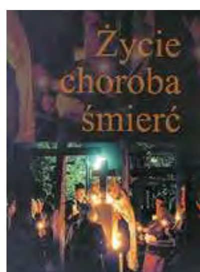
W odpowiedzi na te pytania może nam pomóc książka prof. Michała Kondratiuka „Nazwy geograficzne i osobowe Białostocczyzny”. Prof. Michał Kondratiuk jest autorem ponad dwustu publikacji, w tym dziewięciu książek, dotyczących wielu zagadnień językoznawstwa słowiańskiego i bałtyckiego. W książce znalazły się prace naukowe i popularnonaukowe, studia, artykuły, opracowania z zakresu toponimii i mikrotoponimii oraz antroponimii pogranicza polsko-wschodniosłowiańskiego. Pierwszy rozdział zawiera informacje o historii badanego terenu, jego osadnictwie, dziejach politycznych, drugi bada nazwy osobowe (imiona, nazwiska, przezwiska) Białostocczyzny, trzeci poświęcono nazwom miejscowym i terenowym badanego obszaru, ich powstaniu, historii, zmianom. **Cena u wydawcy 70 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 80 zł**



Eseje o trzech twórcach wielkiej literatury rosyjskiej – Dostojewskim, Gogolu i Tołstoju – i bohaterach ich utworów, zawsze w kontekście ich relacji z Bogiem, poszukiwania i odrzucania, dróg wiodących ku zatraceniu i zmartwychwstaiu. **Cena książki w wydawnictwie 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 13 zł**



NIEŚĆ POKÓJ, KOCHAĆ LUDZI. Arcybiskup Miron, ordynariusz wojskowy, władyka hajnowski, pierwszy ihumen monasteru w Supraślu po jego odrodzeniu, zginął w katastrofie prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. O hierarsze mówią duchowni, politycy, dyplomaci, dziennikarze. W książce przedstawiono też dzieje prawosławnego duszpasterstwa polowego. **Cena 15 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 22,30 zł**



Wywiad z metropolitą Antonim Bloomem i jego rozważania, wypływające z doświadczeń jako lekarza i kapłana. Do książki dołączono panichidę za zmarłych i akatyst o *upokojenii usopszych*, po cerkiewnosłowiańsku, w transkrypcji na łacinkę i w przekładzie o. Stanisława Stracha.
Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 13 zł



Zbiór wybranych artykułów, tu zebranych tematycznie w rozdziały. Teksty złożyły się na kompendium wiedzy o prawosławiu – jego historii, dziejach najnowszych, punktach zapalnych i duchowości.
Cena 10 zł (w tym 5% VAT), z wysyłką 15 zł

Książki można kupić u wydawcy (Białystok, ul. Składowa 9, tel. 85 / 742 18 57) albo wpłacając na konto Fundacji **98 1240 5211 1111 0010 3993 4278** z dopiskiem tytułu zamawianej pozycji.



Parafia w Kłokowicach prosi o pomoc

Dziękujemy czytelnikom Przeglądu Prawosławnego – ofiardawcom, którzy wspomogli remont cerkwi Pokrowy Matki Bożej w Kłokowicach. W ciągu dwóch lat wymieniliśmy podwaliny, umocniliśmy fundamenty i obłożyliśmy je kamieniami, wykonaliśmy drenaż. W tym roku zrobiliśmy fartuch dookoła cerkwi i pokryliśmy blachą, zaimpregnowaliśmy ściany i wymieniliśmy część szalówki. Jeszcze w tym roku planujemy rozpocząć remont dachu. Nasza parafia liczy dziewiętnastu wiernych i sami sobie nie poradzimy. Zwracamy się do ludzi dobrej woli z prośbą o wspomożenie nas w ratowaniu tej zabytkowej cerkwi. Za ofiary serdeczne Bóg zapłać.

proboszcz, **o. Wiaczesław Janiel**

Parafia prawosławna Pokrowa Matki Bożej w Kłokowicach
37-734 Fredropol – numer konta 35 9093 1020 2016 0160 0068 0001

ZBLIŻENIA

ANNA. Lat 65, inżynier, finansowo niezależna, pozna pana z centralnej Polski, z co najmniej średnim wykształceniem. Tel. 512 409 183

ALA. Lat 65 z okolic Hajnowki, pozna pana, ktoremu również doskwiera uczucie osamotnienia. Tel. 690 179 047

ASIA. Lat 36, wykształcenie wyższe, pozna pana w stosownym wieku. E-mail: matrioshka.pl@gmail.com

KAWALER, lat 39, spokojny, pracowity, bez nałogów, prowadzący dobrze prosperujące gospodarstwo rolne, pozna pannę w odpowiednim wieku w celu nawiązania poważnej znajomości. Tel. 518 248 426

PANNA, 44 lata, pozna pana w stosownym wieku, najlepiej mieszkańca Białegostoku, bez nałogów i zobowiązań, lubiącego dobrą książkę i kino, mile widziane wyższe wykształcenie. E-mail: nadzieja.2017@wp.pl.

PANNA. Lat 44, domatorka, po studiach, pozna odpowiedzialnego i pracującego pana bez nałogów i zobowiązań, najchętniej z Bielska Podlaskiego, Hajnówki lub Siemiatycz. E-mail:powazna.znajomosc@onet.pl

SZUKAJĄCY rozsądny, odpowiedzialny, dowcipny, stabilny finansowo, pozna pannę w wieku 25-33 lata, wierzącą, dobrą, uczynną, rozsądną, poważnie myślącą o życiu. E-mail: prawoslawny_ja@wp.pl

Kajakowa pielgrzymka Gródek – Supraśl

Po raz szósty parafia Narodzenia Bogarodzicy w Gródku we współpracy z Bractwem św. Mikołaja z Białegostoku organizuje kajakową pielgrzymkę na święto ku czci Supraskiej Ikony Matki Bożej w Supraślu.

Pielgrzymi w dwa dni pokonają łącznie ponad sześćdziesiąt kilometrów rzeką Supraśl. Zgodnie z ustną tradycją ponad pięćset lat temu tą właśnie rzeką przepłynęli za niesionym wodą krzyżem mnisi, założyciele supraskiej ławry. Przenieśli wówczas monaster z gwarnego Gródka, gdyż bezpośrednie sąsiedztwo zamku Chodkiewiczów nie wpływało pozytywnie na ich życie monastyczne.

Koordynatorem pielgrzymki jest dr hab. med. **Jan Kochanowicz**, przewodniczący Bractwa św. Mikołaja, doświadczony kajakarz.

Pielgrzymi wyruszą 8 sierpnia po zapisach i molebnu w cerkwi w Gródku. Zbiórka o godz. 7.00.

Kontakt i zapisy:

Jakub Greś – tel. 795 874 747 (sms-em trzeba podać imię i nazwisko, pesel, adres) – do 5 sierpnia!

Wpisowe w kwocie 15 zł przyjmą organizatorzy w dniu pielgrzymki.

Osoby do 18 roku życia będą przyjmowane na podstawie pisemnego zezwolenia rodziców lub prawnych opiekunów. Do piętnastego roku życia obowiązkowo z pełnoletnim opiekunem.

Na pielgrzymki

w roku 2017

na Świętą Górę Atos od 19 do 26 września i od 3 do 10 października

na Cypr śladami apostołów Pawła i Barnaby od 8 do 15 grudnia

w roku 2018

na Świętą Górę Atos od 26 lutego do 5 marca

na Paschę w Ziemi Świętej od 29 marca do 8 kwietnia

do Bari od 20 do 23 maja

zaprasza diakon Sławomir Ostapczuk, tel. 509 747 858.

Więcej informacji na stronie www.molitwa.pl

FUNDACJA
IM. KSIĘCIA
KONSTANTEGO
OSTROGSKIEGO

Fundacja Ostrogskiego poleca:



BLISKI MI WSCHÓD

ANNA RADZIUKIEWICZ

*Po książce **Anny Radziukiewicz „Na Wschód od Zachodu**" (2008) ukazała się jej kolejna pozycja, owoc wielu podróży, lektur, rozmów i przemyśleń. To „**Bliski mi Wschód**", próba zrozumienia zjawisk, które kształtowały prawosławny Wschód. To podzielone na rozdziały, m. in. Ruski, Rzym, Pytanie o Polskę, Nad Niemnem, Lament wiary greckiej, Napoleon i Serafim, rozważania o historii, wierze i kulturze, o trwaniu na granicy dwóch światów – prawosławnego i rzymskokatolickiego. To rzecz dojrzała, frapująca i bogato ilustrowana.*

ISSN 1230-1078
9 771230 107005